

**CZARNA SERIA**

**INGRID  
HEDSTRÖM**

**NAUCZYCIELKA Z VILLETTE**

Pierwsza część doskonałej serii kryminalnej

INGRID  
HEDSTRÖM

**NAUCZYCIELKA Z VILLETTE**

Przełożyła

**Halina Thylwe**

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2013

Przeszłość jest stale obecna  
Maurice Maeterlinck,  
*Le temple enseveli* (Pogrzebana świątynia)

Akcja powieści rozgrywa się w Villette-sur-Meuse, belgijskim mieście, które nie istnieje w rzeczywistości. Żeby usytuować je nad Mozą, gdzieś między Namurem i Dinant, pozwoliłam sobie na pewną dowolność w traktowaniu geografii, topografii i geologii tej części Belgii. Wydarzenia i postaci są fikcyjne, a ich ewentualne podobieństwo do prawdziwych – całkowicie niezamierzone. Aż nadto prawdziwy jest natomiast akt ludobójstwa w Rwandzie i śmierć zabitych tam belgijskich żołnierzy. Autentyczne są również cytaty z belgijskich mediów dotyczące tych zająć.

Ingrid Hedström

# OSOBY

Martine Poirot, sędzia śledcza w Vilette-sur-Meuse

Thomas Héger, jej mąż, profesor historii

Philippe Poirot, jej brat, barman w Brukseli

Benoît Vercammen, zastępca prokuratora w Pałacu Sprawiedliwości w Vilette

Julie Wastia, kancelistka w Pałacu Sprawiedliwości w Vilette

Dominic di Bartolo, szef kancelarii w Pałacu Sprawiedliwości w Vilette

Christian de Jonge, komisarz kryminalny

Willy Bourgeois, komisarz kryminalny

Annick Dardenne, inspektorka kryminalna

Alice Verhoeven, profesorka i lekarka sądowa

Tony Deblauwe, właściciel restauracji À la Justice Aveugle

Brigitte Onckelinx, adwokatka

Louis Bougard, adwokat

Justin Willemart, adwokat

Jeanne Demaret, emerytowana nauczycielka

Gilberte de Ridder, właścicielka domu i miłośniczka kotów

Didier Marchal, inspektor lokalnej policji

Victor Florival, emerytowany inspektor lokalnej policji

Jean-Louis Lemaire, polityk, przewodniczący parlamentarnej komisji sprawiedliwości

Guy Dolhet, polityk, były minister spraw wewnętrznych

Jacques Daelmans, polityk, były przewodniczący związku zawodowego w stalowni Forvil

w Vilette

Jean-Bastien Theroux, wojskowy, były minister obrony

Nicolas Forgeron, polityk z obiecującą przyszłością

André Fontaine, lekarz, polityk z mniej obiecującą przyszłością

Astrid Fontaine, jego żona

Ghislain Fouché, ksiądz-robotnik

Domitien Rolland, ksiądz, bibliotekarz zbiorów katedralnych

Michèle Luys, doktorantka historii

Luc Devos, prywatny kierowca

Michel Pirot, wicedyrektor stalowni Forvil

Jacques Pelgrims, dyplomata

Valerie Delacroix, dziennikarka, przyjaciółka Martine

Bruno Wastia, handlarz samochodami

# PROLOG

Sierpień 1961

Nico w ogóle nie interesował się dziewczynami, ale kiedy myślał o takiej jednej, którą poznał koło starej szkoły, jego jedenastoletnie ciało przeszywał dziwny dreszcz tęsknoty i niepokoju. Nazywała się Marie-Félice. Jej skóra była gładka jak jedwab i miała taki sam kolor jak kawa z dużą ilością mleka. To dlatego, że jej tata był Belgiem. Tak mu powiedziała. Jej młodszy brat Christophe był równie ciemny jak inni.

Zapalił latarkę pod kołdrą, żeby poczytać *Przygody Sprycjana i Fantazjo*. Nico lubił letnie miesiące, bo wtedy przenosił się z bratem Daniele do dobudówki na tyłach małego domu rodzinnego w Aubermont. Ten dodatkowy pokój zrobił tata. Drewnianą podłogę ułożył niemal na gołej ziemi, dlatego w zimie było zbyt chłodno, żeby tam mieszkać. Zimą Nico i Daniele spali w dużym pokoju, rodzice w jednej sypialni, a w drugiej trzy siostry.

Kiedy wszystkie dzieci potrzebowały jakiegoś kąta, żeby w ciszy i spokoju odrobić lekcje, nie bardzo miały gdzie. A nauka była ważna, jeśli myślały o czymś więcej niż o pracy w kopalni, w której harował tata i jego bracia. Między innymi z tego powodu rodzice Nica liczyli na mieszkanie w jednym z nowych bloków w Messières, budowanych dla robotników z kopalni i huty żelaza Forvil. Na piękne mieszkanie z prawdziwą łazienką i mnóstwem miejsca dla wszystkich.

Tak czy inaczej, Nico wiedział, że będzie mu brakowało Aubermont. Zwłaszcza latem, bo uwielbiał spędzać noce w dobudowanym pokoju. Tam czuł się jak u siebie, jak w swoim szałasie, do którego miał osobne wejście. Tata nie odważył się wybić otworu w tylnej ścianie domu, ponieważ nie był on ich własnością.

Wieczorami mógł leżeć i czytać przy latarce, mimo że powinien już spać, a Daniel – tylko mama nazywała go Daniele – mógł się wymykać, gdzie chciał, bez wiedzy rodziców.

Nico nie wiedział, co myśleć o nocnych eskapadach Daniela. Kiedy wracał, czuł od niego zapach papierosów, czasami coś jeszcze, chyba coś takiego, czym można się upić. W każdym razie ubóstwiał starszego, prawie dorosłego brata, który pracował, żeby zarobić na motocykl, i zawsze był dla niego dobry. Poza tym Daniel na wszystkim się znał i wszyscy go lubili.

Zwłaszcza dziewczyny. Mówiły, że z ciemnobrązowymi oczami i czarnym lokiem na czole wygląda jak gwiazdka filmowa.

Czasami przekazywały za jego pośrednictwem listki do brata, co wprawiało go w duże zażenowanie, bo nie miał pojęcia, dlaczego Daniel tak się interesuje dziewczynami.

Chociaż Sprycjan też się interesował i kiedy Nico myślał o Marie-Félice, zaczynał to rozumieć.

Zresztą nie tylko o Marie-Félice. Czasami odczuwał dziwne mrowienie, myśląc o madame Demaret, ich nowej nauczycielce. W połowie semestru zastąpiła madame Houllin, która złamała nogę, i od razu chodzenie do szkoły stało się o wiele przyjemniejsze. Madame Demaret była młoda i sympatyczna. Miała niebieskie oczy i całkowicie czarne włosy ułożone w duże błyszczące fale. Kiedy pierwszy raz pochwaliła go za wypracowanie, nie było rzeczy, której by dla niej nie zrobił. W madame Demaret kochali się wszyscy chłopcy, a wszystkie dziewczyny chciały być takie jak ona.

Nica zaczęła ogarniać senność. Próbował się skupić na komiksie, ale powieki same mu opadały. W końcu zgasił latarkę i postanowił czekać do powrotu Daniela. Zawsze trochę się niepokoił, kiedy brat wychodził.

Mimo wszystko zasnął. Ledwie Daniel wślizgnął się do pokoju, gwałtownie się poderwał. Musiało być okropnie późno, prawie rano. Widział przez okno, że nad wzgórzami niebo jest czerwone.

Daniel od razu zwałił się na łóżko, nawet nie zdjął kurtki, i milczał. Na pewno był bardzo zmęczony, ale chyba nie tylko.

Nico miał złe przeczucia. Musiał się odezwać, żeby brat przynajmniej na niego spojrzeł.

– Mój nowy komiks o przygodach Sprycjana jest bardzo fajny – powiedział. – Pożyczę ci, jeśli chcesz.

Daniel nie zareagował, chociaż nie, niezupełnie, bo trzęsły mu się ramiona, jakby się śmiał.

Trochę mu ulżyło, podszedł do niego i usiadł w nogach łóżka.

– Czy jak kupisz motor, to na pewno ja pierwszy będę mógł się z tobą przejechać?

Starszy brat jak zawsze pachniał dymem, ale tym razem wyjątkowo mocno. I wciąż nic nie mówił. Nico usiadł przy jego głowie, pochylił się i wtedy usłyszał coś najbardziej



przeróżającego w swoim jedenastoletnim życiu: Daniel płakał, od jego gwałtownego szlochu drżało całe łóżko.

Niebo za oknem przybrało kolor głębokiej czerwieni.

# ROZDZIAŁ 1

Wtorek 5 kwietnia 1994

Było dwoje świadków. Gdyby nie oni, wyglądałoby to na jeszcze jeden nieszczęśliwy wypadek na Chaussée de Namur, gdzie zdecydowanie za dużo samochodów jeździło zdecydowanie za szybko. Didier Marchal, inspektor lokalnej policji, nie miał jednak stuprocentowej pewności, czy może na nich polegać.

Dotarł na miejsce przed karetką, bo akurat był w pobliżu. Zmartwiony popatrzył na leżącą kobietę o ziemistoszarej twarzy, przykrytą czym się dało i co tylko ludzie mogli znaleźć w domach, żeby ją ogrzać. Kelnerki z Auberge de Luton przyniosły całe naręczna wykrochmalonych serwetek. Żyła. Tak mu się przynajmniej wydawało. Kiedy dotknął jej nadgarstka, wyczuł słaby i przyspieszony puls. Do przyjazdu karetki nie miał odwagi zrobić nic więcej prócz dopilnowania, żeby było jej ciepło.

Już wiedział, kto to jest. Osobiście jej nie znał, ale dużo osób, które zgromadziły się wokół miejsca wypadku, krzyknęło, nie kryjąc wzburzenia: „To madame Demaret!”.

– Madame Demaret? – powtórzył, żeby się upewnić.

– Jeanne Demaret, nauczycielka!

Usłyszał syreny. Gapie się rozstąpili. Z karetki, która zatrzymała się przy przejściu dla pieszych, wyskoczyli dwaj sanitariusze, pochylili się nad Jeanne Demaret i ostrożnie wsunęli pod nią nosze.

Jeden z nich podniósł wzrok.

– Czy ktoś widział, jak to się stało? Uraz głowy? Upadła na plecy?

– Świadkowie mówią, że kiedy trafił w nią samochód, wyrzuciło ją w powietrze – poinformował Didier Marchal.

Sanitariusz ponuro pokręcił głową.

– Hm, nie wygląda to dobrze, zabieramy ją do szpitala Saint Michel.

Karetką zawróciła. Po chwili syreny umilkły.

– Umarła – cicho powiedział jeden z gapiów.

Kilka osób się przeżegnało. W grupce ludzi stojących wokół plamy krwi na przejściu dla pieszych nie było żądy sensacji, tylko powaga i współczucie. Didier Marchal zrozumiał, że dla wielu Jeanne Demaret coś znaczyła.

Teraz musi jeszcze raz przesłuchać świadków w ciszy i spokoju i ocenić ich zeznania. Nie wyglądali na sensatów. Zgodnie z jego prośbą czekali na niego w pewnej odległości od innych. Starszy mężczyzna i młoda dziewczyna.

Westchnął.

– Monsieur, mademoiselle, czy zechcieliby państwo udać się ze mną, żebyśmy mogli porozmawiać w bardziej komfortowych warunkach?

Poszli do tchnącego nowością komisariatu przy Place Marie de Bourgogne, w którym jeszcze nie wyschła zaprawa murarska i nikt nie zdjął folii ochronnej ze zlewozmywaka. Ale maszyny do pisania przeniesione z komendy przy rynku w Vilette pamiętały zapewne lata trzydzieste, kiedy budynek oddano do użytku. I bardzo dobrze, bo palce wskazujące Marchala przywykły do nich. Na szczęście był nowoczesny automat do kawy. zaproponował świadkom po filiżance i postanowił zacząć od rozmowy z mężczyzną.

Potem długo siedział i czytał zeznania, które solennie podpisali.

Eric Bussart, emerytowany nauczyciel, dobrze znał Jeanne Demaret. Właśnie wyszedł ze sklepu z gazetami przy Chaussée de Namur, gdzie kupił „Le Soir” i „La Libre Belgique”, żeby przeczytać najświeższe wiadomości o rozwoju sytuacji w Rwandzie, kiedy zauważył madame Demaret schodzącą stromym zboczem Clos des Lilas po drugiej stronie *chaussée*. Pomachał do niej i zawołał. Chciał ją zaprosić na kawę do jednej z kafejek przy Place Marie de Bourgogne. Usłyszała go, pomachała mu i ruszyła do przejścia dla pieszych.

Zanim weszła na jezdnię, uważnie się rozejrzała w obie strony i ledwie zrobiła parę kroków na Chaussée de Namur, dobiegł go dźwięk coraz wyższych obrotów silnika i zobaczył czarny samochód, który z bardzo dużą szybkością jechał prosto na Jeanne. Mógłby przysiąc, że w nią celował. Zszokowany patrzył, jak wyrzuca ją wysoko w powietrze. Nie wiedział, dokąd pojechał samochód, interesowała go wyłącznie Jeanne (Marchal zwrócił uwagę, że mówiąc o niej, Bussart nie wymieniał jej nazwiska), ale nie wykluczał, że skręcił w lewo, w wąską Rue des Cerisiers. W każdym razie był niemal pewny, że nie skręcił w prawo, w stronę Place Marie de Bourgogne.

O marce samochodu nie miał pojęcia. „Wszystkie teraz wyglądają podobnie”. Wie, że był duży i czarny. Nie zapamiętał numeru rejestracyjnego. Odniosł wrażenie, że tablica była czymś przykryta albo bardzo brudna, bo nie widział cyfr.

Siedemnastoletnia Sandrine Ferron zeznała z grubsza to samo. Marchal podejrzliwie zareagował na jej zielone pasemka we włosach i zielony lakier na paznokciach, ale okazało się, że dziewczyna ma głowę na karku. Też rozpoznała Jeanne Demaret. Nie, nie była jej nauczycielką, madame Demaret uczyła jej mamę i brata, którzy dobrze o niej mówili. Sandrine szła do szkoły lewą stroną Chaussée de Namur. We wtorki mogła pospać dłużej, na chwilę się zatrzymała, żeby porozmawiać z przyjaciółką, Irlandką, pracującą jako *au pair*, która wybrała się na zakupy do Delhaize. Wtedy „kątem oka” zauważyła duży czarny samochód. Powolutku nadjechał Rue des Pommiers i zamiast skrócić w *chaussée*, stanął z włączonym silnikiem. Zwróciła uwagę na nieczytelne, upaprane gliną numery, nawet powiedziała do Mary, że „pewnie jeździł w terenie”. Pożegnały się i kiedy skierowała się do przejścia dla pieszych, a Mary udała się w przeciwną stronę, usłyszała, że samochód za jej plecami nagle ostro rusza, z dużą szybkością wyjeżdża na *chaussée* i uderza w kobietę, która właśnie weszła na pasy. Podbiegła do niej i zobaczyła, że to madame Demaret. Tak, była absolutnie pewna, że samochód najechał na nią z rozmysłem. Nie potrafiła opisać kierowcy, szyby były przyciemnione, od auta dzieliła ją prawie cała jezdnia, ale wydawało jej się, że w środku siedziała tylko jedna osoba. O marce samochodu mogła powiedzieć jedynie tyle, że nie był to ani mercedes, ani bmw. Nie zauważyła, dokąd pojechał po uderzeniu w Jeanne Demaret.

Didier Marchal włożył zeznania świadków do teczki i zafrasowany wbił wzrok w gołą ścianę. Nie uśmiechała mu się praca inspektora dzielnicowego w Luton. Ściganie nielegalnych opiekunek do dzieci na terenie willowym i papierkowa robota związana z wywozem samochodów niewiele miały wspólnego z jego marzeniami. Chciał się dostać do wydziału kryminalnego prokuratury w Pałacu Sprawiedliwości i nie byłoby dobrze, gdyby wyszedł na nadgorliwego dzielnicowego waźniaka, który udaje Bóg wie kogo, robiąc z banalnego wypadku drogowego morderstwo.

Nic innego mu jednak nie pozostało. Dwoje zrównoważonych świadków było przekonanych, że kierowca czarnego samochodu z premedytacją przejechał Jeanne Demaret. A więc to morderstwo. Musi zadzwonić do prokuratury. Musi się włączyć sędzia śledczy.

Położył dłoń na słuchawce telefonu, kiedy w drzwiach ukazała się głowa dyżurnego komisariatu.

– Marchal, masz gościa.

Dyżurny wyszczerzył się w uśmiechu i odsunął na bok, co nie było konieczne, ponieważ interesantka bez trudu przeszłaby pod jego ramieniem, nawet gdyby się wyprostowała na całą swoją wysokość, czyli sto pięćdziesiąt cztery centymetry.

Didier Marchal znał jej wzrost, bo nie raz, nie dwa widział jej dowód. Szalona Gilberte obstawała przy okazywaniu dowodu, ilekroć musiał interweniować, kiedy ktoś skarżył się na jej koty, na to, że nie usuwa zielska ze swojej części chodnika albo odstrasza klientów okolicznych sklepów. Mieszkała sama na parterze dużej willi przy Clos des Lilas. Dom popadał w ruinę, bo o niego nie dbała, ale był jej własnością, więc nikt nie mógł na to nic poradzić.

Zastanawiał się, czego teraz od niego chce.

Miała na sobie wyświechtany niebieski płaszcz i pomięty kapelusz, modny w latach sześćdziesiątych, i paskudnie pachniała, ale jak zawsze, kiedy otwierała usta, zaskakiwał go jej głos: mocny, czysty, świadczący o wykształceniu i obyciu.

– Mój młody Didierze, przychodzę do ciebie, bo jesteś powołany do Chrystusowego dzieła w tej materii – zaczęła kategorycznie. – Pani Demaret, choć próżna i świecka, była dobrym człowiekiem, dlatego muszę coś powiedzieć. Otóż widziałam pomocnika Szatana. Ukrył się w moim ogrodzie i myślał, że nikt go nie zobaczy. Nie dość, że go zobaczyłam, to udało mi się dostrzec jego szatańskie znaki, po czym pojawił się samochód, który przejechał Demaret. Mój młody Didierze, ta dobra kobieta została zamordowana!

Sanitariusz Eddy Brouwers, bardzo poruszony, siedział w karetku przy Jeanne Demaret, kiedy wydała ostatnie tchnienie. Otworzyła duże, wciąż piękne modre oczy i popatrzyła na niego tak, jakby chciała go prosić, by zapamiętał, co mu powie. Ale mówiła cicho, ledwie słyszalnie, i nie był pewien, czy dobrze ją zrozumiał. Ponieważ nie miała rodziny, którą mogłyby zainteresować jej ostatnie słowa, zastanawiał się, czy powinien je komukolwiek powtórzyć.

Co takiego powiedziała?

– Źle zrobiliśmy... Prawdy... nigdy nie wolno ukrywać.

# ROZDZIAŁ 2

Wtorek 5 kwietnia 1994

Dzień, w którym zaczyna się przewartościowywać całe swoje dzieciństwo, nie jest najlepszy do spotkań z duchami z mniej odległej przeszłości. Tymczasem w sali audiencyjnej Pałacu Sprawiedliwości nagle objawił się jej eks-kochanek. Może powinna się była tego domyślić. Przecież miał przyjechać minister sprawiedliwości.

Kiedy z poczucia obowiązku wymieniła uścisk dłoni z ministrem stojącym pośrodku sali w otoczeniu notabli z Villette, Lucien Valvekens, najstarszy i najszacowniejszy sędzia śledczy w mieście, ujął ją za łokieć i zaprowadził do mężczyzny, którego swego czasu znała aż za dobrze.

– Monsieur Lemaire, pozwoli pan, że przedstawię naszą nową sędzię śledczą, madame Martine Poirot.

Jean-Louis Lemaire, przewodniczący parlamentarnej komisji sprawiedliwości, rozpromienił się na jej widok. Ostatnio widziała go dziesięć lat temu. Jego ciemne kręcone włosy przetykały nitki siwizny, a nad paskiem wydymał się brzuch, którego nie miał w czasach, kiedy w przerwach na lunch kochali się w jego biurze. Ale nie zmienił się blask jego brązowych oczu ani woda po goleniu, której zapach wyczuła na odległość.

Z przerażeniem uświadomiła sobie, że dawny urok zaczyna działać. Ogarnęła ją szaleńcza ochota, żeby wsunąć mu dłoń pod koszulę i dotknąć jedwabistego paska włosów poniżej pępka.

– Madame Poirot i ja jesteśmy starymi znajomymi – powiedział swobodnie. – Poznaliśmy się w Liège lata temu i muszę przyznać, że wspaniale wyglądasz, Martine, piękniej niż kiedykolwiek.

Wysoka kobieta u jego boku prychnęła dyskretnie, acz słyszalnie. A więc wierna Anne-Marie wciąż z nim była. Martine zastanawiała się, ile młodych kochanek musiała po niej znieść.

– Dziękuję, Jean-Louis – odparła uprzejmie. – Cieszę się, że ci się powiodło, przewodniczący komisji i tak dalej...

Wiedziała, że wbija mu szpilkę. Jego kariera polityczna, która tak obiecująco się zapowiadała dziesięć lat temu, spaliła na panewce i na pewno był rozczarowany.

Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Miło mi to słyszeć, że śledzisz moją karierę, Martine. Starzy przyjaciele nie powinni tracić ze sobą kontaktu.

Niby niewinna wymiana zdań, ale ich mowa ciała chyba zdradzała jakieś wewnętrzne zawirowania i napięcia, bo Martine nagle zauważyła, że gwar wokół nich ucichł, i kątem oka dostrzegła, że patrzą na nich wszyscy pracownicy zgromadzeni w sali audiencyjnej Pałacu Sprawiedliwości, żeby w towarzystwie ministra świętować jakiś jubileusz. Za nic nie mogła sobie przypomnieć jaki.

Coś tam niewyraźnie mruknęła i szybko się wycofała, czując na sobie ciekawskie, natrętne spojrzenia. Wiekowa sala audiencyjna biskupów Villette wydawała się ogromna, a wypolerowany parkiet w elegancką szachownicę był śliski jak lodowisko. W okazałych lustrach weneckich między oknami widziała swoje zwielowokrotnione odbicie, przed którym nie mogła uciec: szczupła trzydziestoczworoletka w czarnej garsonce Armaniego, jasne włosy zebrane w nisko upięty kok. Jak zwykle kiedy była zdenerwowana, kosmyki wysunęły się jej z koka i zaczerwieniła się na twarzy.

Rozejrzała się za jakimś wybawicielem, dobrym znajomym albo sprzymierzeńcem. W głębi sali zobaczyła Tony'ego Deblauwe, właściciela restauracji À la Justice Aveugle<sup>1</sup>, który odpowiadał za catering. Był pochłonięty liczeniem butelek i wydawaniem poleceń kelnerkom roznoszącym tace z drinkami i tartinkami.

Chwyciła kieliszek szampana i opróżniła dwoma łykami. Wśród szarych i granatowych garniturów dostrzegła coś czerwonego i z ulgą skierowała się w tamtą stronę.

To była jej kancelistka, Julie Wastia. Czarne kręcone włosy, jasnoczerwona sukienka i grube złote koła w uszach. Brakowało jej tylko tamburynu i kart tarota. Martine mnóstwo razy słyszała, że obecność kogoś z tej rodziny po właściwej stronie krat w Pałacu Sprawiedliwości graniczy z cudem. Pamięć o powojennych transakcjach dziadka Julie na czarnej giełdzie wciąż była żywa, podobnie jak pogłoski o podejrzanym handlu samochodami jej wuja i jego skłonnościach do wdawania się w bójki. Julie nie próbowała ukracać plotek, tonując choćby swoją egzotyczną powierzchowność. Była doskonałą kancelistką, miała pełną kontrolę nad wszystkimi aktami, w papierach, które przeszły przez jej ręce, nigdy nie było najmniejszych uchybień formalnych.

---

<sup>1</sup> Ślepa sprawiedliwość (wszystkie przypisy tłumaczki).

Teraz rozmawiała z Willym Bourgeois, jednym z komisarzy kryminalnych z Pałacu Sprawiedliwości. Nie zaliczał się do faworytów Martine. Był doświadczony, ale leniwy i pełen uprzedzeń.

Kiedy do nich podeszła, Julie potrząsnęła ciemnymi lokami i powiedziała ze słodyczą w głosie:

– Niestety, komisarzu, nie mam czasu, dzisiaj wieczorem kastruję mojego kocura. Widzi pan, to jedyny sposób, żeby nie oznaczał swojego rewiru i wszystkiego nie ostrzykiwał.

Willy Bourgeois właśnie zdążył włożyć tartinkę do ust. Uwięzła mu w gardle. Zakasłał, aż zachybotał się talerzyk z górą przekąsek, który trzymał w ręku, i o mały włos nie wylał wina z kieliszka, wsuniętego w zmyślną plastikową obejmę przymocowaną do talerzyka.

Martine zastanawiała się, czyby go nie stuknąć w plecy, szybko się jednak pozbierał i zniknął między garniturami.

– Co za idiota – syknęła Julie. – Dlaczego mu się wydaje, że chciałabym się z nim umówić? Jest ode mnie dwa razy starszy, ma nadwagę i żonę na dokładkę.

– Obyś go tylko zanadto nie przepłoszyła, przecież musimy z nim współpracować w sprawie tych napadów rabunkowych na sklepy – mruknęła Martine.

Wiedziała, że znów się czerwieni, bo Julie wspomniała o żonatych mężczyznach, którzy podrywają młode dziewczyny. Pomyślała o Jeanie-Louisie.

– E tam – powiedziała Julie – prędko o tym zapomni, przecież jestem zwykłą kancelistką. A ciebie się boi. – Z zaciekawieniem zerknęła na Martine. – Kim była ta szycha, z którą rozmawiałeś? Coś między wami iskrzyło.

– Przewodniczący komisji sprawiedliwości, Jean-Louis Lemaire – obojętnie, na odczepnego wyjaśniła Martine.

Julie popatrzyła na nią badawczo, ale nie zadawała dalszych pytań i zmieniła temat.

– Zgarnij trochę jadła i kieliszek wina i przysiadźmy się do Dominica. Widzisz go? Jest przy oknie.

Dominic di Bartolo, szef kancelarii w Pałacu Sprawiedliwości, podniósł się z atencją, ustępując im miejsca na wyściełanej ławie, a sam oparł się o słupek okienny. Uśmiechał się do nich, zwłaszcza do Julie.

Martine przyglądała mu się. Dominic był bez dwóch zdań najelegantszym mężczyzną w Pałacu Sprawiedliwości. Zawsze bajecznie dopasowane garnitury i perfekcyjnie dobrane koszule



i krawaty. Dla większości dość tajemniczy i – co w pewnym sensie niepojęte – samotny, mimo że ani trochę nie aspołeczny.

Julie z pewnością się nim interesowała, ale czy on nie jest dla niej ciut za stary? Znów poczuła, że się czerwieni, kiedy sobie uświadomiła, że między Julie i Dominikiem była mniej więcej taka sama różnica wieku jak między nią a Jeanem-Louisem. Dominic przynajmniej nie miał żony. Był godnym pożądania kawalerem, który spotykał się z wieloma dziewczynami, ale z żadną nie związał się na dłużej.

– Czy przywitały się panie z ministrem? – spytał.

– Tak – odparła Julie. – Dziwnie na mnie spojrział, pewnie z powodu sukienki i kolczyków. Chciałam mu powiedzieć, że pracuję na etacie wieszczki i jestem ekspertką od wróżenia z fusów, ale ktoś do niego podszedł, żeby uścisnąć mu dłoń. Co my właściwie świętujemy, dwusetną rocznicę ścięcia kardynała Massarta czy coś w tym stylu?

Dominic uśmiechnął się.

– Nie, dwudziestopięciolecie otwarcia aneksu Pałacu Sprawiedliwości, kamienia milowego w nowoczesnej historii prawa w Vilette.

W aneksie, z filcowymi igłowanymi wykładzinami, aluminiowymi listwami okiennymi i złą wentylacją, urzędowali sędziowie śledczy i policja kryminalna. W latach sześćdziesiątych wyburzono cały kwartał średniowiecznej zabudowy, żeby mogły powstać nowe pomieszczenia na użytek tutejszego aparatu sprawiedliwości.

Julie prychnęła.

– Jakby było co świętować! Ciekawe, dlaczego nie jesteśmy w aneksie.

– Przypuszczalnie dlatego, że ktoś, kogo nie wymienię z nazwiska, zapraszając ministra na relatywnie mało istotne przyjęcie, chciałby pokazać sieć swoich kontaktów i wpływów na odpowiednio wysokim poziomie – powiedział Dominic, starannie dobierając słowa.

Julie łypnęła na niego.

– Kogo masz na myśli? Powiedz, proszę!

Martine milczała. Silny zastrzyk adrenaliny, który jej zafundował eks-kochanek, przestawał działać. Była blada, nieobecna i miała dreszcze. Jej myśli pomknęły ciemną spiralą w przeszłość, ku tajemnicom matki, o których się niedawno dowiedziała, i bolesnym wspomnieniom, jakie obudziło w niej spotkanie Jeana-Louisa.

Tęskniła za mężem. Po ich wspólnie spędzonej Wielkanocy został w południowej Francji, żeby wziąć udział w seminarium i poprowadzić kilka wykładów na uniwersytecie w Aix-en-Provence. W domu miał być dopiero w środę.

Tego wieczoru wybierała się do Brukseli na kolację z najlepszymi przyjaciółkami, Valerie i Denise. Wiedziała, że dzięki nim poczuje się lepiej. Jak wiele razy wcześniej wysłuchają jej, będą zadawały sensowne pytania, powiedzą, co można zbagatelizować, a co potraktować poważnie.

W głębi sali zauważyła jakiś ruch. Ktoś szybko i zdecydowanie przebiegał się przez leniwe fale zaproszonych gości. W jej stronę zmierzał zastępca prokuratora Benoît Vercammen, który podczas przyjęcia miał w swojej pieczy biuro prokuratora.

– Mam coś dla ciebie, Poirot – zaczął, opierając się o słupek okienny.

Wszyscy troje patrzyli na niego, kiedy opowiadał o kobiecie, która została przejechana na pasach w Luton na Chaussée de Namur i zmarła.

Martine wyteżyła umysł, żeby otrząsnąć się z mrocznych myśli i powrócić do rzeczywistości. Ale chyba coś jej umknęło.

– Ucieczka z miejsca wypadku – powiedziała, marszcząc czoło. – Czy trzeba w to włączać sędziego śledczego? Przecież może się tym zająć lokalna policja.

– Otóż, co właśnie próbuję wyjaśnić – cierpliwie kontynuował Vercammen – jest dwoje rozsądnych świadków, którzy są absolutnie pewni, że kobieta została przejechana z premedytacją i mamy do czynienia z morderstwem.

– Co to za kobieta? – spytała zaciekawiona Julie.

Vercammen zajrzał do faksu lokalnej policji.

– Madame Demaret, lat sześćdziesiąt, wdowa...

Julie i Dominic przerwali mu, wykrzykując chórem:

– Chyba nie Jeanne Demaret?!

To byłoby komiczne, gdyby nie ich wzburzenie. Ciemnoniebieskie oczy Julie pociemniały, a oliwkowa, opalona twarz Dominica tak pobladła, że granatowy zarost, którego nigdy nie udawało mu się pozbyć, był bardziej widoczny niż kiedykolwiek.

– Tak, Jeanne, a co, znaliście ją?

Zaczęli mówić jednocześnie, w końcu się opanowali. Jeanne Demaret była nauczycielką w Villette od początku lat sześćdziesiątych, kiedy jako młoda i świeżo owdowiała dziewczyna

podjęła pracę na zastępstwo w osiedlach górniczych wokół Messières. W tamtych czasach obowiązywała żelazna dyscyplina, nauczyciele chętnie sięgali po trzcinkę, ale Jeanne Demaret nigdy nie stosowała kar ani metod zastraszania. Była znakomitym, prawdziwym pedagogiem, umiała inspirować swoich uczniów i rozpalać ich zainteresowania. Dominic di Bartolo powiedział, że większość dzieciaków z rodzin robotniczych z Villette, które wyrosły na ludzi, uczyła właśnie Jeanne Demaret, na przykład Nicolasa Forgerona, który po najbliższych wyborach parlamentarnych ma duże szanse na ministerialną posadę.

Julie, mówiąc o madame Demaret, która uczyła ją w latach siedemdziesiątych, i o jej bezcennym wsparciu, miała wilgotne oczy.

– Dlaczego ktoś chciałby ją zamordować?! – wybuchnęła. – To kompletnie niezrozumiałe.

– Najczęściej chodzi o pieniądze albo seks – sucho skonstatował Benoît Vercammen.

– Miała chciwych spadkobierców czy zazdrosnych kochanków?

– O spadkobiercach możemy zapomnieć – powiedział wolno Dominic di Bartolo. – Nie wyszła ponownie za męża i nie miała dzieci. Mówiła, że jej jedyna rodzina to uczniowie.

– Czyli mniej więcej wszyscy z Villette, którzy coś osiągnęli w życiu. To otwiera różne możliwości – w zadumie przyznała Martine. – Jeśli mamy do czynienia z morderstwem, musimy odebrać tę sprawę lokalnej policji, prawda? Czy nie mogłaby się tym zająć Monique Delmotte? – Popatrzyła z nadzieją na Benoîta Vercammena. – Pochodzi z Villette, a to w tym wypadku duży plus.

Vercammen pokręcił głową.

– Delmotte ma mnóstwo pracy, siedzi nad napadami rabunkowymi na sklepy. Pewnie weźmie to Christian de Jonge, właśnie zakończył ostatnią sprawę.

Martine podniosła się.

– Okej. Julie, zorganizuj spotkanie z de Jongem u mnie w gabinecie za godzinę. Potem pojedziemy do Luton i zaczniemy badać, co się przytrafiło twojej nauczycielce.

Julie wstała, ruszyła do drzwi i krętymi pasażami starego pałacu biskupiego dotarła do aneksu. Martine opuściła salę audiencyjną i wyszła na dziedziniec Pałacu Sprawiedliwości. Tęskniła za słońcem i wiosną, które mogła znaleźć na Place de la Cathédrale, gdzie po raz pierwszy od dawna roilo się od gości w knajpkach na świeżym powietrzu.

Ktoś uruchomił fontannę na dziedzińcu, wiosenne słońce lśniło w kroplach wody wyrzucanej przez trytony i delfiny. Między potężnymi wieżami katedry Saint Jean Baptiste, naprzeciwko Pałacu Sprawiedliwości, niebo było lodowato niebieskie. Umiarkowany wiatr z nad rzeki łopotał czarno-żółto-czerwonymi flagami na masztach. Kiedy wyszła na plac, wybiła druga. Głuchemu dźwiękowi mosiężnych dzwonów Saint Jean Baptiste towarzyszył jaśniejszy z Sainte Catherine przy rynku po drugiej stronie Mozy i piskliwy dyszkant z najstarszego kościoła w Villette, kaplicy Świętej Waldetrudy na skale poniżej cytadeli na prawym brzegu rzeki.

Śledztwo w sprawie zabójstwa pozwoli jej się skupić nie tylko na własnych problemach. Nie powinna była pić wina na przyjęciu. Potrzebuje trochę czasu, żeby dojść do siebie.

Usłyszała kroki za plecami. Przyłączył się do niej Tony Deblauwe, niezwykle schludny, w szarym garniturze i białej koszuli. Marynarka, zbyt opięta w barach, zasłaniała tatuaże na masywnych przedramionach, ale trzech kropek między kciukiem a palcem wskazującym nie dało się ukryć.

Upłynęło osiem lat, odkąd kasiarz Tony Deblauwe po dłuższej odsiadce oświadczył, że przez wzgląd na swoją młodą żonę i córeczkę postanowił się zmienić i że będzie się utrzymywał z uczciwej pracy restauratora. Mało kto mu uwierzył i kiedy kupił podupadły bar na rogu Rue des Chanoines i Rue du Palais przy Pałacu Sprawiedliwości w Villette i nazwał À la Justice Aveugle, pracownicy szacownego urzędu zgrzytali zębami. Przez pierwsze lata policja raz po raz urządzała naloty na jego lokal, szukając trefnego towaru, zbiegłych więźniów albo zaginionej broni. Zawsze bez skutku. Obecnie personel Pałacu Sprawiedliwości należał do stałych bywalców À la Justice Aveugle, a nowa restauracja na piętrze była polecana w wielu przewodnikach.

– Co słyhać, pani sędzio? – spytał Tony.

– To chyba nie jest mój najlepszy dzień.

Poznała Tony'ego w Uccle. Była jedenastoletnią chłopczycą z rozczochną czupryną i traktowała swoje lalki Barbie jak tajne agentki i podróżniczki. Jej ojciec, Gustave Poirot, komisarz policji w Uccle, jako jeden z pierwszych schwytał młodego Tony'ego Deblauwe i jako pierwszy chciał dać szansę bystremu chłopakowi, żeby wyszedł na prostą. Chociaż mu się nie powiodło, zyskał szacunek Tony'ego. Później brat Martine, Philippe, bronił go w sądzie. Tony też odegrał pozytywną rolę w życiu rodziny Poirot. Dzisiaj był kimś w rodzaju sprzymierzeńca, z którym mogła porozmawiać, ilekroć natrafiała na mur przeciwności i niemożności.

– Czy mogę cię zaprosić na kawę, zanim wrócisz do pracy? – zapytał Tony.

– Czytasz w moich myślach, właśnie tego mi trzeba – z wdzięcznością odparła Martine.

Poszli na Rue des Chanoines, gdzie nad wejściem do À la Justice Aveugle kołysał się na wietrze szyldek ze ślepą boginią i szalami wagi.

Martine wspięła się na stół przy barze i machała nogami.

– Tony, czy ty poznałeś moją mamę?

Pokręcił głową, robiąc dwie espresso w syczącym aparacie.

– Wtedy, kiedy byłem u was w domu? Nie.

Popijając pachnącą czarną kawę, Martine zatopiła się w myślach. Wiedziała, że Tony nie zakłóci jej spokoju.

W poniedziałek wracała samochodem z południowej Francji, mąż został w Aix, i w drodze do domu zjechała do Dinant, do stryjenki Lucienne. Przy kolacji rozmawiały o rodzicach Martine, którzy zmarli sześć lat temu, i nagle Lucienne rzuciła mimochodem coś, co wywróciło do góry nogami obraz jej dzieciństwa.

– Renée i Gustave przypuszczalnie pobraliby się wcześniej, gdyby Renée nie zesłano do Ravensbrück.

Martine nie wierzyła własnym uszom. Jej mamę? Do osławionego obozu koncentracyjnego dla kobiet w nazistowskich Niemczech? Lucienne na pewno chodzi o inną Renée.

– Co masz na myśli...?

Martine odstawiła kieliszek, który właśnie wycierała, i usiadła na jednym z wyściełanych krzeseł stryjenki.

Lucienne popatrzyła na nią, wyraźnie zmieszana.

– Moja droga, sądziłam, że wiesz. Wprawdzie się o tym nie mówiło, ale sądziłam, że wszyscy wiedzą.

– Nie rozumiem, przecież kiedy wojna się skończyła, mama miała... zaledwie osiemnaście lat...

– No cóż, będę musiała ci o tym opowiedzieć. Usiądź, dziecko, przy stole, przyniosę zupę.

Martine miała jakieś takie pojęcie, że pod koniec wojny ojciec był w ruchu oporu, chociaż nikt o tym nie wspominał, ale mama?

Lucienne Poirot chodziła do tej samej katolickiej szkoły dla dziewcząt, co dwa lata od niej starsza Renée Collignon, jej przysła bratowa. Uczennice z wyższych klas, wśród nich siedemnastoletnia Renée, włączyły się w działalność ruchu oporu.

– To nie było nic wielkiego – powiedziała Lucienne. – Przypuszczam, że przekazywały wiadomości, zbierały informacje o tym, co robią Niemcy, takie rzeczy.

W każdym razie wpadły. Renée i jeszcze jedną dziewczynę, Simone Janssens, złapało gestapo, przesłuchiwało w kwaterze głównej na Avenue Louise w Brukseli i wysłało do Ravensbrück. W kwietniu 1945 roku Renée Collignon znalazła się w grupie siedmiu tysięcy kobiet, które Czerwony Krzyż ewakuował z obozu.

– Wszyscy myśleli, że nie żyje, a tu nagle zapukała do drzwi rodziców. Sama skóra i kości.

Renée nikomu się nie zwierzała, co przeżyła na gestapo i w Ravensbrück.

– Chciała zapomnieć – kontynuowała Lucienne. – Dzisiaj pewnie dostałaby wsparcie psychologiczne, ale wtedy mało kto o tym myślał.

– A co się stało z Simone Janssens? – spytała Martine odrętwiałymi wargami.

Stryjenka spojrzała na nią ze smutkiem.

– Nie wróciła. Dobrze ją pamiętam, była przeurocza, niesamowicie uzdolniona matematycznie, czasami dawała mi dodatkowe lekcje.

Po rozstaniu z Lucienne Martine nie mogła o tym zapomnieć. Czuła, że musi przemyśleć całe swoje dzieciństwo, zobaczyć wszystkie swoje wspomnienia w nowym, innym świetle.

Renée była dość chłodną matką, rygorystyczną katoliczką, często chodziła do kościoła. Cierpiała na bliżej nieokreśloną przypadłość, którą nazywano słabością nerwów, i czasami wyjeżdżała na leczenie. Zaledwie kilka razy Martine miała uczucie, że się naprawdę zbliżyła do matki, i te krótkie chwile wzmagały jej apetyt na więcej.

Teraz lepiej rozumiała i tę słabość nerwów, i chłód. Kiedy miała sześć lat i dopiero co nauczyła się jeździć na rowerze, pojechała z Renée do Bois de la Cambre, przewróciła się, obtarła kolana i była bliska płaczu. Matka oczyściła kolana chusteczką, obiecała, że pokaże jej sekretne miejsce w lesie, gdzie bawiła się w dzieciństwie, i zabrała na polanę pełną motyli, okoloną krzakami kwitnących jeżyn. Ożywiła się i była beztroska jak mała dziewczynka.

Jak wtedy, zanim złapało ją gestapo i zesłało do Ravensbrück, pomyślała Martine ze smutkiem. Takiej Renée nigdy nie poznałam.

Ma dużo czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Teraz musi się zająć morderstwem.

Podziękowała Tony'emu za kawę. Rozbrzmiał dzwonek w drzwiach. Przecięła Rue des Chanoines i poszła do aneksu, gdzie czekał na nią Christian de Jonge.

# ROZDZIAŁ 3

Wtorek 5 kwietnia 1994

Luton, tonące w zieleni przedmieście willowe, wyrosło w okresie przemysłowego rozkwitu Villette na początku wieku. Wyżsi urzędnicy państwowi, pracownicy umysłowi i kupcy, których nie było stać na wybudowanie sobie okazałych rezydencji w stylu art déco przy Avenue Leopold i Boulevard de Hainaut, wyjeżdżali poza granice miasta w poszukiwaniu czegoś tańszego. I przy starej szosie między Dinant i Namurem odkryli idylliczną wieś Luton. Tam z dumą wzniesli swoje wille, na dużych działkach założyli ogrody i pili kawę na nowym brukowanym Place Marie de Bourgogne, który szybko przyćmił skromny wiejski rynek.

Martine rozglądała się po salonie. Dom, wymuskany jak dla lalek, Jeanne Demaret wynajmowała od jednego z wielu uczniów, którzy wspominali ją z wdzięcznością. Stąd wyszła przed południem i nie wróciła. Na stole pod oknem stała filiżanka po kawie, obok leżał otwarty lokalny dziennik „Gazette de Villette”.

Nie bardzo wiedziała, dlaczego natychmiast postanowiła pojechać do Luton. Nie musiała. Nie było tu żadnych tajemnic do odkrycia, nie tutaj dokonano przestępstwa. Morderstwo, jeśli to morderstwo, zostało popełnione w biały dzień na oczach świadków. Ofiara trafiła do kostnicy, ponieważ nie zmarła na miejscu zbrodni, tylko w karetce. Zeznania świadków, jakie otrzymała od lokalnej policji, były wyczerpujące. Gdyby potrzebowali dodatkowych wyjaśnień, mógł się tym zająć Christian de Jonge i o wszystkim ją poinformować. Miała na głowie aż nadto innych śledztw, które wymagały jej uwagi.

Ale morderstwo to jednak morderstwo. Poza tym, co przyznała sama przed sobą, marzyła o pracy w terenie. Chciała wyjść z biura i robić coś konkretnego. Między innymi żeby nie myśleć o swoich rozterkach.

W tym morderstwie, domniemanym morderstwie, było coś zaskakującego. Mimo jego całkowitej jawności zeznania naocznych świadków prowadziły donikąd. Nie znali marki samochodu, numeru rejestracyjnego ani drogi ucieczki, chociaż sporo przemawiało za tym, że sprawca skręcił w Rue des Cerisiers.



Oczywiście zrobią co w ich mocy, żeby odnaleźć samochód. Christian de Jonge zmobilizował wszelkie dostępne siły i środki, zarządził przeszukanie okolicznych warsztatów, postawił na nogi policjantów z drogówki, czekał na informacje od wszystkich, którzy widzieli uszkodzone auta i dziwnie zachowujących się kierowców.

Ale Martine czuła, że klucza do wyjaśnienia morderstwa (jeśli to, rzecz jasna, morderstwo) trzeba szukać w życiorysie Jeanne Demaret i jej latach spędzonych w Villette. Z tego powodu była w jej mieszkaniu i zastanawiała się, o czym myślała, dlaczego wyszła, czy podejrzewała, że czyha na nią czarny samochód z przyciemnionymi szybami, czy wiedziała, co się stanie, kiedy usłyszała coraz wyższe obroty silnika na Chaussée de Namur.

W salonie było dużo zdjęć. Stare, szkolne zajmowały całą ścianę. Najstarsze, sądząc po ubraniach i uczesaniu, pochodziły z początku lat sześćdziesiątych, najnowsze – może sprzed pięciu. Na miejscu honorowym, nad kominkiem, wisiała powiększona, oprawiona w ramki, ślubna fotografia, przypuszczalnie z końca lat pięćdziesiątych. Prześlizgnęła się ciemnowłosa panna młoda i smukły, może zbyt szczupły, jasnowłosy pan młody. Oboje promienieli szczęściem.

Martine pamiętała fotografię ślubną swoich rodziców, którzy pobrali się w roku 1954, i zauważyła pewne podobieństwo. Suknie zapięte pod szyję i sztywne fryzury. Ale z Renée nie emanowała nadzieja. Zbyt dużo przeszła, pomyślała, żeby ufnie patrzeć w przyszłość. Ciekawe, czy Jeanne Demaret przeżyła coś, co zgasiło blask w jej oczach.

– Piękna, prawda? – cicho powiedziała Julie. – On chyba zmarł na gruźlicę parę lat po ślubie.

– Dlaczego nigdy nie wyszła drugi raz za mąż? – spytała Martine.

– Nie mam pojęcia, na pewno nie z braku adoratorów.

Julie zbierało się na łzy, ale nie okazywała wzruszenia, jakby śmierć Jeanne Demaret w ogóle jej nie obeszła. Później się rozplącze. Nigdy nie była w tym domu na Clos des Lilas, meble i fotografie pamiętała skądinąd – z wcześniejszych wizyt u swojej ulubionej nauczycielki – i wspomnienia, jakie w niej obudziły, były tak żywe, że nie chciało jej się wierzyć, że już nigdy więcej nie spotka Jeanne Demaret.

Gdyby nie ona, Julie najprawdopodobniej zostałaby fryzjerką jak jej mama, na pewno najgorszą w Villette. Nie radziła sobie z przedmiotami praktycznymi, ale robiła postępy w geometrii i algebrze. Logika, harmonia i konsekwencja sprawiały jej niekłamaną przyjemność, co pozostawało w ostrym kontraście do chaosu panującego w domu dziadków, w którym dorastała,

gdzie liczne dzieci i wnuki Bernarda i Marii wchodziły i wychodziły, kiedy chciały, i nocowały, kiedy chciały.

Świetnie zapamiętała jeden wieczór, jakby to było wczoraj. Siedziała na czerwonym fotelu Jeanne Demaret, obok stała filiżanka parującej angielskiej herbaty, i opowiadała o swoim nierealnym marzeniu, żeby pracować w zawodzie prawniczym. Jeanne Demaret pomogła jej, dowiedziała się, że może zostać kancelistką, co nie wymaga kilkuletnich studiów akademickich.

O czym marzyła Jeanne Demaret? Dlaczego ponownie nie wyszła za mąż? Julie nigdy się nad tym nie zastanawiała. Jak wszyscy potraktowała jej pomoc jako rzecz oczywistą. Teraz dręczyły ją wyrzuty sumienia.

Coś w tym domu niemile ją dotknęło, nie potrafiła tego nazwać, w każdym razie odczucie było silne i natrętne. Julie Wastia ufała swojej intuicji, jednej z nielicznych cech odziedziczonych po bałaganiarskich krewnych, której się nie wstydziła.

– To dziwne – powiedziała do Martine, krążącej po pokoju z rękami założonymi do tyłu – ale coś mi się nie podoba. Mam wrażenie, że osoba, która tutaj mieszkała, była nieszczęśliwa.

Martine popatrzyła na kancelistkę, wyraźnie zaskoczona. Odniosła identyczne wrażenie i nie wiedziała dlaczego. Na ogół nie kierowała się intuicją, przeszkadzały jej sygnały wysyłane przez podświadomość podsuwającą rozwiązania, których nie potrafiła ogarnąć rozumem.

Nagle dotarło do niej, że w salonie Jeanne Demaret czuje się równie nieswojo, jak podczas wizyt u brata Philippe'a i jego żony, zanim się w końcu rozwiedli. Zapamiętała irracjonalny niepokój, jaki ją ogarniał w ich urządzonej ze smakiem, pedantycznie wypucowanej willi, idealnym gniazdku pięknej młodej pary i ich przeuroczej córeczki. Okazało się, że to odpicowana fasada, za którą kryły się kłamstwa i tajemnice.

Kłamstwa i tajemnice. Jej rodzice mieli tajemnice. Jej brat miał tajemnice, ona też je miała. A Jeanne Demaret? Martine próbowała odczytać wiadomość zaszyfrowaną w skrupulatnie pogrupowanych rzędach szkolnych fotografii. Ładna panna młoda, doskonała, ubóstwiana nauczycielka. Kapliczka miłości i życia ofiarowanego innym.

– Meble – powiedziała Julie. – Czy pomyślałaś, że wszystko w tym pokoju wygląda jak w latach pięćdziesiątych, kiedy wyszła za mąż? Jakby czas stanął w miejscu.

Christian de Jonge przepatrzył gabinet na parterze i wszedł na piętro. Nie odstępował go na krok inspektor lokalnej policji, Didier Marchal, który nie pozwolił się splawić. Martine zauważyła irytację Christiana.

Nie pierwszy raz zżymała się na walki o rewir, niejako wbudowane w belgijski system, w którym istniał podział na policję lokalną, podległą ministrowi spraw wewnętrznych państwową półwojskową żandarmerię i podległy ministrowi sprawiedliwości wydział kryminalny prokuratury.

Christian de Jonge, komisarz z wydziału kryminalnego prokuratury, który miał koordynować działania policji w sprawie o morderstwo, przeniósł się z Brukseli do Villette kilka lat temu. Mocno zbudowany czterdziestolatek, z krótką ciemną brodą, konserwatywny, uparty i niestrudzony w pracy. Martine lubiła go. Był skuteczny, bezpretensjonalny i zdecydowanie mniej toporny, niż się wydawał przy pierwszym spotkaniu.

Wolałaby jednak, żeby aż tak ostentacyjnie nie lekceważył młodego inspektora, który sprawiał wrażenie inteligentnego i ambitnego. Szybko, rozsądnie zareagował na tragiczną śmierć Jeanne Demaret, a poza tym jego znajomość terenu na pewno może się przydać.

– Nic nie znalazłem – poinformował Christian de Jonge. – Żadnych dziwnych listów ani zapisków w kalendarzu. Zabierzemy wszystko, co miała w biurku, i oczywiście dokładnie przejrzymy, ale na pierwszy rzut oka nie widzę nic podejrzanego.

– Czy to nie jest zastanawiające – z namysłem powiedziała Martine – że zostawiła na stole filiżankę po kawie i otwartą gazetę? Wiem, że podobnie robimy w pracy, ale tutaj panuje nienaganny porządek i raczej bym się spodziewała, że przed wyjściem odniesie filiżankę do kuchni i złoży gazetę. Chyba że nagle musiała się bardzo spieszyć...

Christian de Jonge wolno pokiwał głową.

– Może jakiś telefon? Poprosimy Belgacom o billingi.

Martine zwróciła się do Julie:

– Zajmiesz się tym, Julie? Zwróć się z formalną prośbą do Belgacomu... i nie zapomnij o notatce, że zabieramy zawartość biurka.

– Jasne, ale czy nie powinniśmy wziąć szkolnych fotografii? Jeśli śmierć Jeanne Demaret ma jakiś związek z jej przeszłością, mogą nam dostarczyć bardzo ciekawych informacji.

Martine przytaknęła.

– Masz rację. Weźmiemy zdjęcia.

Didier Marchal odchrząknął.

– Mogła się spieszyć z innego powodu. Na przykład przeczytała coś w gazecie.

Nieglupia sugestia. Spojrzeli na dziennik, otwarty na wiadomościach lokalnych. Artykuł o protestach przeciwko zamknięciu linii produkcyjnej w ostatniej walcowni Forvil w Messières, fotoreportaż z przygotowań do corocznego pochodu świętojańskiego na Île Saint Jean, tekst o planach budowy parku rozrywki w opuszczonej wiosce górniczej Foch-les-Mines, które mogą nie dojść do skutku z uwagi na ochronę środowiska, i wywiady z dwoma znanymi politykami o całkowicie odmiennych wizjach, jako ciąg dalszy i swoiste uzupełnienie popularnego programu telewizyjnego.

Martine chciała się spotkać z Gilberte de Ridder, która podobno widziała mężczyznę dającego znaki czarnemu samochodowi na Rue des Pommiers.

– Czy jej zeznania nie wydają się trochę dziwne? – spytała Didiera Marchala.

– Mówią o niej „szalona Gilberte” – ponuro odparł Marchal. – Jest absolutnie pewna, że w jej ogrodzie jakiś mężczyzna dał znak kierowcy, który przejechał madame Demaret.

– Nie potrafiła go opisać?

– Nie potrafiła albo nie chciała. Kiedy ją o to pytałem, zaczęła te swoje religijne wywody i nic sensownego nie udało się z niej wyciągnąć.

– Do jakiego stopnia jest szalona?

– Nie wiem. – Marchal zaraźliwie się uśmiechnął. – Czasami wydaje mi się, że bierzemy ją za wariatkę tylko dlatego, że chodzi w płaszczu cuchnącym kocimi szczynami i sama obcina sobie włosy, a tak naprawdę zachowuje się jak dama z lat trzydziestych, która znalazła się w niewłaściwych czasach i w niewłaściwym otoczeniu.

– Mieszka na Clos des Lilas, czyli po drugiej stronie ulicy?

– Tak, ma ogromną posesję na rogu Clos des Lilas i Chaussée de Namur. Chodzę tam czasami, kiedy długo się nie pokazuje, i zaglądam przez okno, żeby sprawdzić, czy żyje.

– Chciałabym z nią porozmawiać, zobaczyć, gdzie stał ten mężczyzna, i upewnić się, czy rzeczywiście można stamtąd dawać znaki komuś na Rue des Pommiers.

Christian de Jonge zaproponował, że pojedzie na Rue des Pommiers, żeby się przekonać, czy zauważy jakiś sygnał z narożnego ogrodu.

Posesja Gilberte de Ridder była cienista i mroczna. Otaczał ją niski mur, drzewa i krzewy, które od lat rosły jak chciały, nie przepuszczały słonecznego światła i tworzyły zielone sklepienie nad długim podjazdem. Wśród chaszczki połyskiwały żółte oczy.

– Koty – powiedział Didier Marchal. – Nie wiem, ile ich ma.

Duży niszczący dom, niegdyś okazały. Zalatywało stęchlizną od sfatygowanych piwnicznych okien, przez które wskakiwały i wyskakiwały koty. Większość okien na parterze zasłaniały ciężkie żaluzje, od dawna niepodnoszone, o czym świadczyła łuszcząca się farba. W oknie najbliżej wejścia wisiała brudna tiulowa firanka. Martine dostrzegła za nią jakiś ruch.

Didier Marchal zastukał do drzwi kołatką ze zmatowiałego mosiądzu.

Otworzyła kobieta wzrostu dziecka. Siwe, nierówno obcięte, krótkie włosy, twarz pomarszczona jak zimowe jabłko. Miała na sobie fartuch i poplamiony, wyświechtany żakiet. Martine gotowa była przysiąc, że to oryginalny Chanel z lat sześćdziesiątych. Gdyby mogła go odkupić, jej bratanica Tatia na pewno coś by z nim zrobiła. Ale przyszła tu służbowo i nie wypadało o to pytać.

Za staruszką snuły się niczym cienie rude, czarne i bure koty. Natychmiast poczuli silny zapach ich moczu.

– Dzień dobry, madame Gilberte – odezwał się uprzejmie Didier Marchal. – Przychodzę z sędzią śledczą madame Poirot, która chciałaby usłyszeć coś więcej o tym, jak została zamordowana Jeanne Demaret, i z jej kancelistką, mademoiselle Wastią.

Starsza pani popatrzyła na Martine. Miała szarozielone oczy, przepastne jak Morze Północne zimą.

– Dzień dobry, młoda damo, powinnaś być w domu i dbać o męża, żeby nie chodził do innych kobiet.

Miała zaskakujący głos: głęboki, czysty i modulowany.

– Pomyślę o tym, madame – z atencją powiedziała Martine – ale obecnie prowadzę śledztwo w sprawie śmierci madame Demaret.

Gilberte de Ridder zaśmiała się zgryźliwie.

– Sama będziesz sobie winna. Ja dobrze znam mężczyzn. Jeśli się ich nie pilnuje, chodzą do Murzynek, Filipinek i wszelkiej maści lafirynd.

Didier Marchal nie dawał za wygraną.

– Chcielibyśmy zobaczyć, gdzie stał ten mężczyzna.

Gilberte de Ridder bez słowa poczłapała do ogrodu w swoich rozdeptanych kapciach.

Ziemia pod drzewami, gdzie rzadko przebijało się słońce i trawę zastąpił mech, była wilgotna i miękka. Zapadały się w niej obcasy pantofli Martine od Brunona Magliego. Miała nadzieję, że je ocali.

Dopiero tuż przed murem, na rogu Chaussée de Namur i Clos des Lilas, zrobiło się trochę jaśniej. Ogród leżał na wzniesieniu, zwieńczenie szerokiego muru dzieliły od ulicy co najmniej dwa metry. Martine wspięła się na mur. Mimo że liście osłaniały ją od przechodniów, miała dobry widok na Clos des Lilas i w prawo, na Chaussée de Namur. Dwieście metrów dalej zobaczyła samochód Christiana de Jonge'a, parkujący na jednej z bocznych ulic. Clos des Lilas szły dwie małe dziewczynki z niesfornym szczeniakiem na smyczy. Martine podniosła rękę i pomachała do Christiana.

Nacisnął klakson. Zobaczył jej znak.

Nieco później, kiedy Martine zakończyła odpytywanie Gilberte de Ridder, zatrzymali się na Chaussée de Namur obok przejścia dla pieszych, gdzie połowa jezdni wciąż była odgradzona i samochody sunące w obu kierunkach w godzinach szczytu przypominały niemrawą blaszaną rzekę.

– Nawet jeśli to niewiele da, zanim usuniecie blokadę, będziemy musieli tu ściągnąć techników z Pałacu Sprawiedliwości – powiedziała z ubolewaniem.

Didier Marchal, zrezygnowany, pokiwał głową.

Sprzed wjazdu do Auberge de Luton szybkim krokiem podeszła do nich młoda kobieta. Miała na sobie długą czarną spódnicę i pasiastą bluzkę, strój z przełomu wieków, jaki nosiły kelnerki w tej restauracji, i rudoblond włosy, upięte stosownie do epoki.

– Jesteście z policji, prawda? – spytała, zadyszana. – Pracuję w Auberge de Luton, byłam tutaj, kiedy doszło do wypadku, i chciałabym się upewnić, czy znaleźliście list.

– List? – bezmyślnie powtórzyła Martine.

Wszyscy, nie wyłączając Didiera Marchala, wyglądali jak żywe znaki zapytania.

– Tak, list. Nazywam się Virginie Bonnard, przybiegłam chyba jako pierwsza i widziałam, że potrącona kobieta trzyma w ręku list. A kiedy wnosili ją do karetki, listu nie było. – Popatrzyła na nich ze zmartwioną miną. – Pomyślałam, że ten list mógł być ważny.

# ROZDZIAŁ 4

Wtorek 5 kwietnia 1994

Philippe Poirot otworzył ciężkie drzwi i szarmanckim gestem zaprosił siostrę do środka. Na klatce zalatywało piwniczną stęchlizną. Oświetlała ją jedyna czterdziestowatowa żarówka na podeście dwa piętra wyżej. Rzuciła tak słaby blask, że łatwo się było przewrócić i skręcić kark na zniszczonych i wyslizganych marmurowych schodach.

Z wahaniem popatrzył na Martine. Po zakrapianej kolacji z przyjaciółkami i jeszcze jednej butelce wypitej w barze, gdzie je spotkał, wyraźnie się zataczała na swoich wysokich obcasach, kiedy szli od stacji metra przy Rond Point Schuman. Wyobraził sobie, jak potyka się na schodach i powoli stacza w dół, głową naprzód. Wspaniałe spotkanie po latach.

– Trzymaj się poręczy – poradził, popychając ją przed sobą. – Trzecie piętro.

Zachichotała, demonstracyjnie chwyciła poręcz dwiema rękami i ruszyli noga za nogą.

Niemal pokonali pierwsze piętro, kiedy na podeście otworzyły się drzwi i wyjrzała madame Leyens, jedyny oprócz Philippe'a lokator, a dokładniej lokatorka kamienicy do rozbiórki. Towarzyszył jej astmatyczny mops.

– A, to pan, monsieur Poirot – odezwała się z ulgą w głosie i spojrzała na niego, nie kryjąc podziwu.

Znał to spojrzenie. Tak zawsze patrzyły na niego wszystkie kobiety niezależnie od wieku, ale ponieważ madame Leyens miała co najmniej siedemdziesiątkę i była wykrzywiona reumatyzmem, przyjął to ze spokojem.

Podejrzewał, że otworzyła drzwi, bo usłyszała chichot Martine i chciała zobaczyć, z kim przyszedł. Anne-Marie Leyens była urodzoną plotkarą, o czym zdążył się przekonać, mieszkając z nią w tym domu od pół roku, mimo że teraz nie miała o czym plotkować. Wbiła w jego siostrę przenikliwe spojrzenie małych brązowych oczu i bez żenady obcięła ją od góry do dołu, od jasnych włosów po drogie buty Magliego.

– Pozwoli pani, że przedstawię moją siostrę, madame Héger – rzekł pospiesznie.

Martine wyciągnęła rękę w stronę starszej kobiety.

– Bardzo miło mi panią poznać, madame – powiedziała z ledwie wyczuwalnym bełkotem i solennie uściśniła zniekształconą reumatyzmem dłoń madame Leyens.

Kiedy madame Leyens zamknęła drzwi, Martine znów zachichotała.

– Była zazdrosna! Gdybyś któregoś wieczoru czuł się samotny, masz tutaj wielbicielek.

Żartobliwie poklepała go po ramieniu.

Philippe zaczął się zastanawiać, czy zaproszenie jej do siebie było dobrym pomysłem.

Najbardziej się zirytował, kiedy wparadowała do hotelowego baru, w którym pracował, z dwiema przyjaciółkami. Martine Poirot, Valerie Delacroix i Denise van Espen, nierozłączne od pierwszego dnia w szkole, ciągle trzymały się razem i ich widok obudził w Philippe przykre wspomnienia. Nastoletnie Valerie i Denise durzyły się w nim. Do dzisiaj czuł w żołądku narastający lęk, spowodowany kompletnym brakiem zainteresowania ich tęsknymi spojrzeniami, miękkimi wargami i pączkującymi piersiami pod obcisłymi pastelowymi bluzkami.

Najgorsza była Valerie. Denise, skromna dziewczyna z dobrej mieszczańskiej rodziny, nigdy się nie narzucała, za to rudowłosa Valerie nie przepuściła żadnej okazji, żeby posłać mu znaczące spojrzenie, usiąść na poręczu jego krzesła albo flirtować, dotykając stopą, kiedy siedzieli przy jednym stole. Właśnie wtedy nauczył się sarkazmu, żeby ukryć to, co czuje. Albo nie czuje.

Teraz wiedziały, że nie warto się było trudzić. Tak mu się przynajmniej wydawało. Słyszał od Martine, że Denise jest mężatką i razem z mężem prowadzi sklep z antykami. Valerie była sama i pracowała jako dziennikarka w gazecie, która obok wiadomości telewizyjnych i plotek zamieszczała reportaże śledcze. Czasami czytał jej artykuły. Były naprawdę dobre.

Valerie jednak nie przeszło. Pochyliła się nad kontuarem i pocałowała go. Celowała w usta, ale odwrócił głowę i poczuł jej wargi koloru byczej krwi na policzku.

– Philippe, kopę lat! – odezwała się przytłumionym, ciemnym głosem.

– A mnie się wydaje, jakby to było wczoraj – odparł obojętnie.

Mogła to sobie tłumaczyć, jak chciała.

Wieczór był dość spokojny, mimo że gości nie brakowało. Na Boulevard Anspach jak zwykle przyszli podróżujący służbowo, turyści i żądne przygód dziewczyny pracujące jako *au pair*.

Martine i przyjaciółki zajęły stolik tuż przy kontuarze, zamówiły butelkę wina i zatopiły się w ożywionej, chichotliwej konwersacji. Philippe przyglądał się im. Jego młodsza siostra,



sędzia śledcza, w czarnej garsonce Armaniego, długonoga bohemiczna Valerie w czarnych dzinsach i aksamitnej haftowanej bluzce, przesadnie wymuskana sprzedawczyni antyków Denise w pastelowym bliźniaku i koralach na szyi.

Nagle uświadomił sobie ironię tej całej sytuacji. Kiedy on zdał egzamin licencjacki i rozpoczął dobrze się zapowiadającą karierę, najpierw jako adwokat, potem jako prawnik w Komisji Europejskiej, Martine harowała w Liège na dwie zmiany jako kelnerka, żeby zarobić na studia prawnicze, które zdaniem rodziców były jedynie zwykłą ekstrawagancją ślicznej córeczki. Teraz on stał za barem i obsługiwał klientów, a ona była sędzią śledczą.

Przypuszczalnie powinien czuć upokorzenie, zwłaszcza wobec Valerie i Denise, ale już dawno temu postanowił nie dopuszczać do siebie takich myśli. Miewał takie chwile o brzasku, kiedy ogarniał go paniczny lęk i palił jak roztopiony ołów, bo zmarnował swoje życie, ale wystarczyło, żeby sobie przypominał, jak to było budzić się co rano obok Bernadette i pragnąć własnej śmierci. Wszystko, byle nie to.

Martine i przyjaciółki zostały do zamknięcia baru. Wtedy przysiadł się do ich stolika, dołączyli też koledzy z pracy, Stéphanie i Saïd, i zrobiło się naprawdę przyjemnie. Do tego stopnia, że w nagłym przypływie braterskiej troski zaproponował Martine, żeby u niego przenocowała, zwłaszcza że nie mogłaby w takim stanie prowadzić samochodu. Zaparkowała w pobliżu Rue Arenberg, niedaleko Gare Centrale, rano dojedzie tam metrem.

Dotarli na trzecie piętro. Philippe otworzył drzwi i zapalił lampę.

– Pięknie tu u ciebie! – zakrzyknęła Martine, zaskoczona.

– Dzięki – odrzekł z ironią. – Nie wiedziałaś, że geje mają wrodzony talent do urządzania wnętrz?

Ugryzła się w język. Miała nadzieję, że go nie uraziła. Chociaż z Philippe'em nigdy nic nie wiadomo.

Od wielu lat tułał się po tanich obskurnych pokojach hotelowych albo spał u przyjaciół, których Martine nie chciałaby spotkać, ale teraz już nie ćpał, pił w normie, miał pracę i mieszkanie. Dwupokojowe lokum mieściło się na ostatnim piętrze jednej z kamienic w Quartier Leopold, które przeznaczono do rozbiórki, żeby postawić w tym miejscu nowy gmach parlamentu. Załatwił mu je jakiś kolega, znajomy właściciela domu, i płacił tyle co nic. Opowiedział jej o tym po drodze, kiedy wysiedli z metra.

Było naprawdę ładne. Drzwi otwierały się na duży pokój, dwa wysokie okna wychodziły na ulicę, sufit zdobiły piękne sztukaterie. Ściany w ciepłym żółtym kolorze były pomalowane nieco po amatorsku, więc uznała, że to robota Philippe'a. W pokoju dominowała kanapa i dwa fotele w stylu Ludwika XVI, obite ciemnomorelowym aksamitem.

Na ich widok Martine poczuła ucisk w gardle. To były odświętne meble z ich rodzinnego domu, na których wolno im było siadać tylko w wyjątkowo uroczystych chwilach i pod warunkiem że nie pobrudzą aksamitu. Kiedy Philippe miał sześć lat, a ona dwa, zrobiono im zdjęcia na tej kanapie przed świętami Bożego Narodzenia. Wyszły wspaniale, fotograf długo je eksponował w swoim atelier przy Place Sankt Job. Philippe, śliczny i poważny chłopczyk w marynarskim ubranku, obejmował opiekuńczym ramieniem naburmuszoną dużooką Martine w sukience z falbankami i białych rajstopkach. Wyglądała tak, jakby chciała uciec z kanapy, żeby się pobawić.

Dywan też był z domu ich rodziców. Na ścianach wisiały plakaty, nonszalancko przypięte pinezkami. Pozostałe meble były anonimowe: sosnowy stół i cztery krzesła pod oknem, jedna prosta półka na książki i jedna wysoka szafka.

– Reszta jest z Ikei – powiedział Philippe. – Pomogło mi to wnieść paru silnych chłopców w skórach. Madame Leyens była zafascynowana.

Postawił na stole butelkę wina, którą wziął z baru, i odwrócił się do szafki po korkociąg.

Martine usiadła na kanapie i patrzyła na jego piękny profil. Mimo że Philippe miał ciemne włosy, a ona jasne, byli do siebie tak podobni, że wszyscy od razu brali ich za rodzeństwo. Ale podczas gdy ją można było uznać za ładną, uroda brata zwałała z nóg. Nie mogły się jej oprzeć tabuny kobiet. Mężczyzn pewnie też. Tak przypuszczała, ale wolała o tym nie myśleć, bo czuła się zażenowana. Nawet teraz, chociaż miał prawie czterdzieści lat i nałogi zrobiły swoje, ludzie wciąż się za nim oglądali na ulicy.

Philippe znalazł korkociąg, wbił końcówkę w korek i znieruchomiał.

– Może wolisz kawę? Chyba nie chcesz być jutro na kacu? Piętro niżej mam kuchnię, mogę zejść i zagotować wodę.

– Wino, proszę – powiedziała Martine, zrzucając pantofle, żeby podwinąć nogi pod siebie.

Philippe postawił na stole dwa tanie kieliszki do wina i nalał.

– Tylko trzymaj kieliszek w dwóch rączkach, żebyś niczego nie pobrudziła, Titine.

Zachichotał szyderczo i usiadł w fotelu.

Uśmiechali się do siebie niepewnie, sondując.

– Co Eva i Thomas na to, że Szwecja zostanie w końcu łaskawie przyłączona do Europy?

Cały Philippe, pomyślała Martine, nie widzieliśmy się od sześciu miesięcy, a on zaczyna od polityki. Jej szwedzka teściowa Eva Lidelius zrobiła na nim duże wrażenie, co dość wyjątkowe, i powiesił sobie na ścianie reprodukcję jej najstynniejszego obrazu *Adoracja Baranka*. Martine wiedziała o zakończeniu rozmów członkowskich, ale nigdy nie słyszała, żeby Eva kiedykolwiek się tym interesowała. Philippe na pewno wiedział więcej. Mimo że od pięciu lat nie pracował w komisji, wciąż dobrze się orientował, co i jak.

– To jeszcze nic pewnego – odparła. – Szwedzi będą najpierw głosować i nie wiadomo, czy powiedzą „tak”.

Zastanawiała się, czy Philippe wciąż jest na nią zły. Widziała, jak się zachmurzył, kiedy weszła do baru z Valerie i Denise. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, ale na swoją obronę miała to, że chciała sprawić przyjemność Valerie. Valerie, przez lata poważnie zakochana w Philippe i zdruzgotana jego chłodem i sarkazmem, rozpromieniła się na myśl, że mogłaby go znowu zobaczyć, kiedy Martine powiedziała, że pracuje zaledwie kilka przecznic od restauracji, w której jadły kolację.

Chociaż gwoli uczciwości musiała przyznać, że kierowały nią również niskie pobudki. Kochała brata, ale zawsze z nim rywalizowała, co nie miało sensu, bo rodzice widzieli tylko swojego pięknego, wspaniałego synka, a od córki oczekiwali wyłącznie odpowiedniego męża i wnuków. Tymczasem wygrała. Zadowolona, że rodzice nie dożyli krachu jego kariery i małżeństwa, chciała jednak, żeby ktoś był świadkiem jej triumfu.

– Czy to możliwe – powiedział Philippe – że nie słuchasz z należytą uwagą mojej dogłębnej analizy stosunku monopolu państwa szwedzkiego na handel alkoholem do praw wspólnoty?

– Przepraszam, zamyśliłam się.

– Tak to jest, kiedy się osiadzie w zapadłej walońskiej dziurze. Przestałaś się interesować wielkim formatem, bo zajmujesz się kradzieżą kur i bijatykami w miejscowych knajpach.

Znów szyderczo zachichotał.

– Villette nie jest zapadłą dziurą – zaprotestowała. – Nie widziałeś programu Christine Blanchard w zeszłym tygodniu? „W Villette trwa konfrontacja dwóch diametralnie odmiennych wizji przyszłości Belgii”.

– Nie widziałem, ale czytałem. Fontaine i Forgeron, prawda? Neofaszysta i nowa nadzieja lewicy.

André Fontaine, lekarz z Villette, niedawno założył własne, wyjątkowo zajadłe ugrupowanie faszystowskie po zerwaniu z jako tako zadomowionymi walońskimi neofaszystami. Jeździł po Walonii i prowadził kampanię w towarzystwie ogolonych na łyso ochroniarzy w czarnych skórzanych kurtkach, i zaczynał uzyskiwać niepokojąco wysokie notowania w sondażach.

– No, jeśli to Fontaine reprezentuje wielki świat w Villette, uważam, że powinnaś się skupić na kradzieżach kur. Poznałem go, to jeden z największych idiotów, jakich spotkałem.

– Poznałeś faszystę Fontaine’a? Gdzie? Jak?

Philippe uśmiechnął się do siebie i zakręcił kieliszkiem.

– Dzięki błyskotliwemu życiu towarzyskiemu w kręgach brukselskiej *haute bourgeoisie*, którą Bernadette wręcz uwielbiała. Był mężem starej przyjaciółki Bernadette, Véronique coś tam, i kilka razy wylądowaliśmy na wspólnej kolacji. Kiedy to mogło być? Dziesięć lat temu...? Nie, trochę więcej.

– Jaki on był?

Philippe zastanawiał się.

– Przez pierwsze pięć minut czarujący, potem miało się ochotę wylać na niego zawartość sosjerki. Mówił bez przerwy, a przy najmniejszym sprzeciwie dostawał nerwowych drgawek na twarzy. Powiedziałbym, że to klasyczny psychopata.

– Czy już wtedy był faszystą?

Philippe roześmiał się.

– Z tego, co pamiętam, był oddanym wielbicielem Margaret Thatcher. Uważał, że zwróciła angielskiemu narodowi jego dumę i że potrzebujemy takiego przywódcy w Belgii. Spytałem, czy jego zdaniem potrzebujemy również małej wojny, czy wystarczy zlikwidować związki zawodowe. Ale już wtedy był antysemitą i mówił, że w Brukseli jest za dużo Murzynów.

– To musiały być uroczyste imprezy – mruknęła Martine.

– O, tak. Bernadette była na mnie wściekła, a Véronique jak-jej-tam zachwycona. Ich małżeństwo dogorywało, zdaje się, że kilka miesięcy później wyprowadziła się od niego. Po kawie próbowała mnie uwodzić na tarasie. Chyba się napalała, jak się stawiałem temu padalcowi.

– Ale oczywiście nie miała czego szukać?

Philippe'owi zadrgały kąciki ust.

– To kwestia definicji, pani sędzio.

Martine wołała nie zadawać dalszych pytań.

– Jest nie tylko André Fontaine. Mamy też Nicolasa Forgerona. Poszłam kiedyś na jego mityng, fantastyczny facet.

W ostatnim roku Nicolas Forgeron, polityk z Villette, zaczął być postrzegany jako nadzieja na jaśniejszą przyszłość mocno skompromitowanej partii, która przez sto lat panowała w czerwonej Walonii, i Martine była pod jego wrażeniem.

Na twarzy Philippe'a wciąż błąkał się lekceważący uśmiezek.

– Z Villette jest Christine Blanchard – powiedziała z irytacją – i Guy Dolhet, były minister spraw wewnętrznych, i Jean-Bastien Theroux, były minister obrony...

– Nie zapominaj o kardynale Massarcie z osiemnastego wieku – wtrącił Philippe. – À propos, słyszałem od kilku znamienitych kolegów z NATO, że Theroux widzi siebie w roli przyszłego szefa paktu. Ale przypuszczam, że rząd wołałby mianować kogoś na stanowisko przewodniczącego Komisji Europejskiej. Zwalnia się dużo wysokich stołków.

Martine sączyła wino. Nie mogła się zdecydować, czy powiedzieć o spotkaniu z Lucienne. Chciała i nie chciała. Nikogo nie dotyczyło to bardziej niż Philippe'a, z którym łączyło ją wspólne dzieciństwo, ale poruszanie spraw osobistych i rozmawianie z nim o uczuciach nie było łatwe. Czasem się udawało, a czasem ją zbywał i reagował sarkastycznie. Nie była pewna, czy chce zaryzykować. Kolacja z Valerie i Denise wprawiła ją w dobry humor i nie chciała go sobie popsuć.

Przyjaźń z nimi była stałym punktem w jej życiu. Przetrwiała, mimo że każda poszła w swoją stronę, mimo jej małżeństwa, przeprowadzki i pracy. W szkole połączyło je mniejsze lub większe odstawanie od normy. Valerie była buntownicza, paliła papierosy i zadawała się z chłopakami. Martine była ambitna, w opinii większości zbyt ambitna i zawzięta jak na dziewczynkę. Podczas strasznych miesięcy, kiedy ojciec został niesłusznie oskarżony o przyjmowanie łapówek, przyjaciółki stanęły po jej stronie. Wymuskana Denise, w sweterkach i

spódniczkach w szkocką kratę, pozornie najlepiej z nich przystosowana, miała w nosie wszystkie autorytety i zasłynęła z parodiowania dyrektora i nauczycieli.

Na kolacji z powagą wysłuchały jej opowieści o Renée, żartami pomogły jej się pozbyć przykrego wrażenia po spotkaniu z Jeanem-Louisem Lemaire'em i już podczas deseru śmiała się do rozpuku z odegranej przez Denise scenki z jej sklepu z antykami, który zaszczycił swoją obecnością minister sprawiedliwości z małżonką, żeby nabyć komodę.

Nagle poczuła, że nie może dłużej milczeć.

– Philippe – zaczęła – czy wiedziałeś, że mama była w Ravensbrück? Lucienne powiedziała mi o tym wczoraj.

Napotkała jego zielonookie spojrzenie; oboje mieli zielone oczy, które odziedziczyli po ojcu.

– Tak – odparł po chwili – wiedziałem. – Ty nie?

– Nie, nie miałam o niczym pojęcia. A ty niby skąd mogłeś to wiedzieć? – spytała z wyrzutem.

– Naprawdę nie pamiętam, to znaczy pamiętam jak przez mgłę, w każdym razie zawsze wiedziałem. Chyba usłyszałem, że ktoś o tym mówi, byłem bardzo mały, wydaje mi się, że zadałem pytanie, co to jest Ravensbrück. Ale szybko do mnie dotarło, że to należy do kategorii Rzeczy Nieprzyjemnych O Których Się Nie Mówi, i już do tego nie wracałem.

– Czemu nic mi nie powiedziałeś?!

– Po co? Myślałem, że wiesz. Poza tym nawet gdybym tak nie myślał, dlaczego miałbym ci ujawniać cudze sekrety, kiedy sam miałem mnóstwo własnych? Mama miała swoje, ja swoje, może ty też ukrywałaś to i owo, Titine?

Odwróciła wzrok. Owszem, to i owo by się znalazło.

– Ale dlaczego trzymała to w tajemnicy? Udział w ruchu oporu to przecież żaden wstyd, raczej powód do dumy.

– Zastanawiałem się nad tym i wydaje mi się, że po przejściu przez takie piekło nie miała ochoty na zwierzenia. W Ravensbrück robili eksperymenty medyczne, nie pamiętasz, jak bała się lekarzy i zastrzyków? Niemal panicznie. Myślę, że to miało jakiś związek, może to było coś w rodzaju stresu pourazowego.

Martine poczuła supeł w gardle. Lęk matki przed szpitalem, białymi fartuchami i całą służbą zdrowia doprowadził do tego, że rak, który pozbawił ją życia, został wykryty za późno.

– Ale wpadła w histerię, kiedy w wieku dziewiętnastu lat wyjechałam do Liège i zaczęłam pracować jako kelnerka. A sama przystąpiła do ruchu oporu, kiedy miała siedemnaście lat!

– Oczywiście. Może chciała cię chronić, Titine? Pomyślałaś o tym? Skrzywdzona do końca życia, bo pozwoliła sobie na coś, co nie przystoi dobrze wychowanej uczennicy z katolickiej szkoły.

– Ty zawsze się stawiałaś! Ja byłam grzeczną dziewczynką, o czym nie miałaś bladego pojęcia! Siedziałam w domu z mamą i wyszywałam, zawsze robiłam to, czego ode mnie oczekiwano, a ty zawsze się ulatniałaś i miałaś wolną rękę.

– Czy Lucienne powiedziała ci o Simone Janssens? Dziewczynie, która nie wróciła?

Martine skinęła głową.

– Widziałem jej zdjęcie, blondynka jak ty...

– O co ci chodzi?

– Może mamę dręczyło poczucie winy, że ona wróciła, a Simone nie, i próbowała to odpokutować, troszcząc się o ciebie, żeby nic złego cię nie spotkało. – Philippe wykrzywił się w autoironicznym grymasie. – Słuchaj, dzięki pracy w barze niedługo otworzę kącik porad psychologicznych w jakimś tygodniku. Dowiem się, czy Valerie nie mogłaby mi czegoś załatwić.

Martine milczała. Przez lata zazdrościła Philippe'owi jego bliższych relacji z Renée. To, co przed chwilą powiedział, zweryfikowało jej wspomnienia. Po namyśle uznała, że zawsze, ilekroć matka mogła przyjść jej z pomocą, jak wtedy, kiedy wywróciła się na rowerze, była czuła, ciepła i szczęśliwa.

Mimo wszystko krzepiąca myśl.

Philippe nalał sobie ostatnie krople wina.

– No tak, teraz sam chętnie bym skorzystał z kącika porad. Tatia po skończeniu szkoły chce studiować na wydziale mody w Antwerpii.

– I bardzo dobrze, na pewno się dostanie.

Córka Philippe'a, szesnastoletnia Catherine, zwana Tatią, marzyła o projektowaniu mody, co Martine uważała za całkowicie realne, a nie za wymysły nastolatki. Tatia szyła ubrania od kilku lat. Albo od nowa, albo przerabiała te, które wypatrzyła na bazarze, w second handach i na strychu willi w Vilvoorde. Martine często chodziła w jej kreacjach. Kiedyś na jakimś przyjęciu redaktorka modowa z „Gazette de Villette” spytała ją, czy to sukienka Martina Margieli.

– Sprzedawca kielbasek mówi, że to zły pomysł – powiedział Philippe – i dlatego Bernadette też jest na nie.

Sprzedawca kielbasek, Bert Demeester, mąż eks-żony Philippe’a, Bernadette Vandermeersch, miał sieć delikatesów w Brukseli, Antwerpii i Gandawie. Martine spotkała go parę razy. Sympatyczny mężczyzna o przerzedzonych słomianożółtych włosach i niebieskich oczach, w okularach w złotej oprawce, wyraźnie zakochany w Bernadette i bardzo konwencjonalny. Trudno byłoby sobie wyobrazić większy kontrast niż między nim a Philippe’em.

– Dlaczego nazywasz go sprzedawcą kielbasek? Można by pomyśleć, że jesteś zazdrosny. Philippe przeszył ją wzrokiem.

– Chyba wiesz, że nie, jeśli nie wiesz, nie chcę cię znać. Tak czy inaczej, chodzi o to, że rozpęta się prawdziwe piekło, jak zwykle kiedy Bernadette i ja mamy odmienne zdanie co do Tatii. Na samą myśl dostaję migreny.

Philippe nie pokazywał się córce na oczy przez te lata, kiedy był na dnie. Martine podejrzewała, że wstyd mu na to nie pozwalał. Ale regularnie płacił na utrzymanie Tatii dzięki funduszowi, jaki jej założył po sprzedaniu z Martine willi rodziców w Uccle. Parę lat temu Tatia sama go odszukała. Martine, która od zawsze była z nią blisko, mogła sobie wyobrazić, jaką radość sprawił nastolatce o artystycznych marzeniach odnowiony kontakt z ciemnym, pięknym i dekadentckim ojcem. Prawie współczuła Bernadette i Bertowi.

– Chcesz, żebym porozmawiała z Bernadette?

– Tak, byłbym wdzięczny. Może ciebie posłucha, jesteś sędzią i tak dalej. Jeśli w ogóle słucha kogokolwiek poza sprzedawcą kielbasek. I oczywiście proboszczem albo biskupem, bo nareszcie bogato wyszła za mąż.

– Dlaczego ciągle się jej czepiasz? Była w tobie zakochana, a ty najczęściej traktowałeś ją wyjątkowo paskudnie.

Philippe spuścił wzrok. Nagle wyglądał starzej niż na swoje trzydzieści osiem lat. Zakręcił kieliszkiem z resztką wina, na jego białej koszuli pojawiły się ciemnoczerwone refleksy.

– Nie besztań mnie, Titine – powiedział zmęczonym głosem. – Dobrze wiem, że wszystko zawałem i wszystkich zawiodłem. Możemy to zaprotokołować. Ty masz wszystko, ja nie mam nic.



Martine czuła, że jest wyczerpana i nietrzeźwa. Była bliska płaczu. Nie chciała, żeby Philippe okazywał słabość. Chciała, żeby nadal był niedościgłym starszym bratem, z którym zawsze musi się mierzyć. Bo skąd będzie czerpać swoją siłę? Poza tym Philippe nie miał racji.

– To nieprawda – wyszeptała. – Masz Tatię. Ja nie mam dzieci, mimo że mama i tata tylko tego ode mnie oczekiwali.

Łzy pociekły jej po policzkach. Nie mogła ich powstrzymać, chociaż wiedziała, że Philippe nie znosi czułościowych scen, podobnie jak inni mężczyźni, których znała.

– Nie płacz – powiedział bezzadnie – pomyśl o kanapie, zamoczysz aksamit.

Martine nie reagowała. Po chwili wahania Philippe usiadł obok niej. Położyła głowę na jego ramieniu, objął ją i długo siedzieli na kanapie, tak jak lata temu, na zdjęciu wywieszonym w atelier przy Place Saint Job, z którego fotograf był bardzo dumny.

# ROZDZIAŁ 5

Środa 6 kwietnia 1994

Tak, to bez wątpienia masowy grób. Thomas Héger spojrział w dół. Odór śmierci. Trudno byłoby się doliczyć leżących tam szkieletów. Dużo małych, bardzo małych.

Dwaj towarzyszący mu mężczyźni popatrzyli na niego wyczekująco. Ciekawe, czego się spodziewają? – pomyślał. Orzeczenia wyroczni?

– I co profesor na to? – spytał Jean-Pierre Santini.

– To bez wątpienia masowy grób – odparł nieco podniośle Thomas.

Santini i Karel Lambrechts z uznaniem pokiwali głowami.

Thomas wzdrygnął się. Sceneria robiła przygnębiające wrażenie. Nieopodal stały koparki niczym skamieniałe prehistoryczne zwierzęta. Przedwczoraj wstrzymano roboty, gdy jeden z operatorów zauważył w czerpaku czaszkę, ale wcześniej robotnicy zdążyli porządnie przesuszflować teren i do tej pory nie udało się uporządkować kości rozrzuconych na placu budowy. Kierownik powiadomił żandarmerię, a ta natychmiast skontaktowała się z uniwersyteckim wydziałem medycyny sądowej. Pod kierunkiem antropologa sądowego policja ostrożnie wydobyla pozostałe szkielety. Chyba wszystkie.

Ale kiedy będzie można kontynuować roboty budowlane? W tym miejscu miał powstać supermarket, wielki supermarket, który zapewniłby pracę mieszkańcom Villette i pobudził gospodarczo senne wioski na wysokim zachodnim brzegu Mozy.

Thomas nie był przekonany co do stymulującej roli supermarketu. Abbaye-Village, gdzie mieszkał, leżała niespełna dziesięć kilometrów od planowanej świątyni handlu i rozległych parkingów. Miał nadzieję, że nie zrobią dojazdu z autostrady w pobliżu Abbaye-Village i ruin klasztoru.

Karelowi Lambrechtsowi i Jeanowi-Pierre'owi Santiniemu bardzo na tym zależało. Lambrechts, który postanowił ulokować swój nowy supermarket w Villette, był jednym z gigantów handlu detalicznego, a Santini – politrukiem z urzędu miejskiego.

Thomas potrafił oczywiście zrozumieć entuzjazm Santiniego. Niska koniunktura, której dna ciągle nie było widać, mocno dotknęła Villette, wysokie bezrobocie spowodowane cięciami

w przemyśle stalowym w minionych latach jeszcze bardziej wzrosło. W takiej sytuacji każdą inwestycję wita się z otwartymi ramionami.

– Chcielibyśmy wiedzieć, kiedy możemy kontynuować roboty budowlane. Jeśli przestój potrwa zbyt długo, będziemy musieli zrewidować nasze plany inwestycyjne – powiedział Lambrechts.

Lisek chytrusek. Krzepki, piegowaty rudzielec. Mówił po francusku z silnym flamandzkim akcentem.

– Chyba nie stawia się supermarketów na masowych grobach – odrzekł Thomas.

– Stawia, stawia – włączył się Santini. – Jak tylko będziemy wiedzieć, kim oni są i dlaczego zostali tutaj pochowani, wyprawimy im prawdziwy pogrzeb i zamkniemy ten rozdział historii. Liczymy na pana pomoc, profesorze.

– Jak mógłbym wam pomóc? – spytał Thomas.

Zanim Lambrechts albo Santini zdążyli odpowiedzieć, na plac budowy przyjechał czarny mercedes. Wsiadła z niego niska szczupła pięćdziesięciolatka w niemodnych okularach, pogniecionych spodniach i bezkształtnym jasnoniebieskim popelinowym płaszczu. Miała siwe potargane włosy.

Thomas ją znał. Profesor Alice Verhoeven, lekarka sądowa i osteolożka, międzynarodowy autorytet w obu dziedzinach. Ale na taki nie wyglądała. Wedle legendy krążącej na uniwersytecie któregoś wieczoru, kiedy pracowała do późna, stróż kazał jej się zabrać do sprzątania, zamiast się wałkonić i siedzieć przy biurku. Thomas nie wierzył w tę historię przede wszystkim dlatego, że nigdy nie widział tak źle ubranej sprzątaczkii jak Alice Verhoeven.

Co ona miała na nogach? Czerwone tenisówki?

– Dzień dobry panom – powiedziała, podając wszystkim rękę.

Santini i Lambrechts popatrzyli na nią z jeszcze większym wyczekiwaniem niż na Thomasa.

Przenikliwe spojrzenie lodowato błękitnych oczu i władczy głos natychmiast przydały jej autorytetu, na który w najmniejszym stopniu nie wskazywała jej powierzchowność.

– Mam dla was jedną pozytywną wiadomość – oznajmiła. – Szkielet, który przesłaliście, nie pochodzi ani z ostatniej wojny światowej, ani z poprzedniej, jest znacznie starszy.

Santini wyraźnie się rozluźnił, a na lisiej twarzy Lambrechtsa pojawił się uśmiech ulgi. Thomas wiedział dlaczego. Gdyby ciała pochowano w masowym grobie po niewykrytej rzezi z

czasów pierwszej albo drugiej wojny światowej – ciekawe, jakim cudem? – o supermarkecie nie mogło być mowy. Żyjący krewni domagaliby się szacunku dla ofiar, uczczenia ich śmierci i pomników. Gdyby grób pochodził z czasów drugiej wojny, może należałoby wszcząć śledztwo. A tak to była już tylko historia.

– Czyli stare dzieje – powiedział Jean-Pierre Santini. – Pana dziedzina, prawda, profesorze Héger? Czy nie zechciałby się pan podjąć historycznej pracy detektywistycznej i dociec przyczyn tej tragedii? Może umarli z powodu epidemii...?

– Nie sądzę – włączyła się Alice Verhoeven. – Złamania kości czaszki świadczą o śmiertelnych ranach tłuczonych. Poza tym to było niemowlę.

Thomas wahał się. Już rozumiał, dlaczego zwrócili się akurat do niego. Po latach z anonimowego naukowca stał się sławny dzięki książkowej publikacji o Raimuncie de Verneju, zaprawionym w bojach krzyżowcu, fundatorze Saint Jean Baptiste, która niespodziewanie trafiła na listy bestsellerów. A kiedy wystąpił w sztandarowym programie literackim telewizji francuskiej „Apostrophes”, ludzie zaczęli się za nim oglądać na ulicy. Gdyby rozwiązał tajemnicę masowego grobu i o tym napisał, zniknęłaby aura śmierci i koszmaru unosząca się nad milczącymi od stuleci ofiarami i ich historia stałaby się częścią kultury.

– Myślmy o dotacji dla uniwersytetu – zachęcająco powiedział Lambrechts. – Chcielibyśmy aktywnie uczestniczyć w życiu tych społeczności lokalnych, które wspieramy naszymi inwestycjami.

– Może mógłby się temu przyjrzeć jeden z moich doktorantów – obojętnie odparł Thomas.

Nie chciał sprawiać wrażenia, że zatańczy jak mu zagrają, ale przed sobą nie potrafił ukryć, że aż się pali, żeby zaszyć się w archiwum i poznać powód, dla którego co najmniej sto osób, dorosłych i dzieci, zatłuczono na śmierć w zielonym Mougins-la-Fontaine.

– Proszę się jeszcze nad tym zastanowić – powiedział Jean-Pierre Santini, podejrzewając, że Thomas połknął haczyk.

Zaczekał, dopóki Alice Verhoeven nie udzieliła instrukcji, jak przetransportować część szkieletów do uniwersyteckiego laboratorium medycyny sądowej, i razem poszli do samochodów.

Ujął ją pod ramię.

– Alice, na pewno masz swoją teorię, sprzed ilu lat są te szkielety. Jak myślisz?

Spojrzała na niego z rozbawieniem, wokół jasnoniebieskich oczu pojawiły się zmarszczki śmiechu.

– Wzięło cię, co? Tak między nami i poza protokołem powiedziałabym, że pochodzą sprzed kilku wieków. Dobrze się zachowały, bo ziemia tutaj jest wapnista i leżały razem, co stworzyło dodatkową ochronę. Ale z którego wieku, nie wiem, to raczej coś dla ciebie. Widziałeś zdjęcia z odkrywek?

Nie czekając na odpowiedź, wyjęła z teczki opasy skoroszyt. Fotograf policyjny, który ustawił się na dnie grobu, sporządził szczegółową dokumentację, rejestrując każdy przedmiot znaleziony przy szkieletach.

Thomas gorączkowo przeglądał plik błyszczących kolorowych zdjęć. Z coraz większą ekscytacją patrzył na metalowe i kościane guziki, na kościaną igłę i fragmenty skórzanych spiczastych trzewików.

– Późne średniowiecze. Gdyby mi przystawili pistolet do skroni, sądząc po butach, powiedziałbym, że to pierwsza połowa piętnastego wieku.

– Gdybyśmy mogli zastosować metodę datowania radiowęglowego, uzyskalibyśmy bardziej precyzyjne parametry czasowe. Ale to kosztuje. Myślisz, że ten lisowaty Flamandczyk wyskrobie trochę gotówki w imię krzewienia nauki?

Thomas roześmiał się.

– Mam nieodparte wrażenie, że zrobi wszystko, byle mógł dokończyć to, co zaczął. Wystarczy sypnąć groszem!

O szóstej po południu Thomas skręcił w główną ulicę Abbaye-Village. Jego żona właśnie wyszła z piekarni, z torbą bułek w objęciach i bagietką pod pachą. W czarnym damskim garniturze prezentowała się elegancko, konserwatywnie i godnie, jak przystało na sędzię, ale jak zwykle kilka pasemek popielatych jasnych loków wysunęło się z koka i przesłaniało skronie. Na widok jego samochodu rozpromieniła się i pomachała mu na powitanie.

Tęsknił za nią i jak zawsze w takich chwilach przywoływał ich wspólnie spędzone lata. Teraz widział panią sędzię w kostiumie Armaniego, która jako dwudziestotrzylatka, kiedy ją poznał w roku 1983, prezentowała się zupełnie inaczej.

Poznali się w Leeds. Thomas pisał pracę doktorską o stosunkach między Anglią i Burgundią w okresie późnego średniowiecza i przez kilka miesięcy zgłębiał materiały źródłowe w tamtejszym Instytucie Mediewistyki. Któregoś wieczoru ktoś go zaciągnął do klubu

muzycznego i wtedy wpadła mu w oko jasnowłosa dziewczyna, trochę podobna do Debbie Harry. Dobrze pamiętał, jakby to było dzisiaj, jak wyglądała: krótkie blond włosy, karminowe wargi, przetarta czarna skórzana kurtka i kwiecista sukienka w stylu lat czterdziestych. Usiadł przy jej stoliku, kiedy towarzystwo, z którym była, ruszyło na parkiet, i przez pół godziny, przekrzykując hałas, rozmawiał z nią po angielsku najlepiej jak umiał, zanim się okazało, że są krajanami. Dzięki temu zabawnemu nieporozumieniu przełamali lody. Martine, zakochana w angielskiej muzyce *new wave*, przyjechała do Leeds z Valerie Delacroix i jej chłopakiem fotografem, żeby posłuchać jakiegoś zespołu, bodaj Soft Cell.

Serce zabiło mu mocniej, kiedy powiedziała, że jesienią zacznie studiować prawo na uniwersytecie w Brukseli. Już tamtego wieczoru spytał, czy ma chłopaka. Odpowiedziała wymijająco. Jej romans z Jeanem-Louisem Lemaire'em, w ocenie Thomasa czołowym belgijskim skurwysynem, dogorywał, acz nie był to jeszcze zamknięty rozdział. Thomas następnego dnia zerwał ze swoją aktualną donną, ale on i Martine zostali parą dopiero rok później, mimo że spotykali się coraz częściej i coraz więcej o sobie wiedzieli, prowadząc niekończące się rozmowy w barach i tanich restauracjach. Zdobył się na cierpliwość nawet wtedy, gdy przez pewien czas ostro imprezowała. Rozumiał, że po związku z Lemaire'em jest obolała i przeczulona, i był pod ogromnym wrażeniem jej siły i delikatności.

Skręcił na podjazd. Wysiadając z samochodu, usłyszał na chodniku stukot jej obcasów. Podeszła do drzwi wejściowych, kiedy wkładał klucz do zamka, i rzuciła mu się na szyję.

Torba z bułkami wylądowała na ziemi.

– Boże, ale ja za tobą tęskniłam!

Wsunęła mu dłonie pod marynarkę i nadstawiła twarz do pocałunku; był bardziej namiętny niż w każdą inną środę po pracy.

Wyrwała się po chwili.

– Później – powiedziała, podnosząc torbę. – Muszę coś zjeść, jestem taka głodna, że mogłabym połknąć jakiegoś prokuratora. Ale najpierw napijemy się wina.

Zaniosła bułki do kuchni i wyjęła kieliszki, a Thomas zszedł do piwnicy po butelkę wina.

Usiedli w fotelach przed kominkiem z kieliszkami w dłoniach. Thomas popatrzył przez francuskie okna na ogród wielkości chustki do nosa i zobaczył, że dużo się zmieniło pod jego nieobecność. W ostatnich dniach marca padał śnieg, teraz wiśnia miała nabrzmiałe pąki, z których lada dzień wystrzelą blad różowe kwiaty.

Martine siedziała zamyślona. Wiele razy po jej wizycie u Lucienne rozmawiali przez telefon, zdawał sobie sprawę, że nowe, zaskakujące wiadomości o Renée wywróciły jej świat do góry nogami, miał jednak wrażenie, że jest coś jeszcze.

– Wczoraj w Brukseli spotkałam Philippe’a – powiedziała Martine – i wyobraź sobie, że zaproponował mi nocleg u siebie.

– Co u niego?

– Chyba w porządku, dobrze wygląda, radzi sobie, kobiety w barze nie mogą od niego oderwać oczu i ma bardzo ładne mieszkanie... Rozmawialiśmy o mamie – dodała po chwili.

– I?

– Wiedział o wszystkim, myślał, że ja też wiem i że o takich sprawach się nie mówi.

– Sekrety rodzinne?

– Uhm. Przeszłość ma długie ręce. Urodziłam się piętnaście lat po wojnie i teraz zaczynam rozumieć, jak bardzo wpłynęła na całe moje życie, że to przez Hitlera miałam trudne relacje z mamą.

Zakręciła kieliszkiem i spojrzała na obraz nad kominkiem. Dostali go w prezencie ślubnym od mamy Thomasa: wczesne studium do *Adoracji Baranka*, słynnej parafrazy obrazu ołtarzowego z Gandawy, wiszącej teraz w Museum of Modern Art w Nowym Jorku. Mogłoby się wydawać, że to dość dziwny prezent dla nowożeńców, ale Martine była przeszczęśliwa.

Krótko po wojnie młoda Eva Lidelius wybrała się autostopem do Paryża, widziała zbombardowane miasta i zniszczone fabryki, uchodźców, żołnierzy i głodne dzieci. Nigdy tego nie zapomniała. Jej obraz przedstawiał spustoszony krajobraz ze zburzoną katedrą i spaloną wsią na tle zaćmionego do połowy słońca. W centrum na ruinach ołtarza stał baranek. Ludzie, którzy podchodzili do niego z czterech stron, nie zamierzali go adorować, tylko zabić. Żołnierze z bagnietami i blade istoty o zapadniętych oczach, z nożami w garści.

– Wczoraj na przyjęciu w Pałacu Sprawiedliwości był Jean-Louis – oznajmiła nagle Martine.

– Lemaire?

Thomas poczuł przykry ucisk w żołądku, głównie dlatego, że najwyraźniej trudno było jej to z siebie wydusić i że zasłoniła usta dłonią, jakby chciała coś ukryć.

– Tak, jest przewodniczącym parlamentarnej komisji sprawiedliwości. Nie musisz robić takiej miny, zamieniliśmy pięć niewinnych słów w obecności wszystkich pałacowych gości i jego żony.

– To ty robisz miny i nie wiem dlaczego, skoro to było takie niewinne.

– Po prostu dziwnie się czułam. – Spojrzała na niego błagalnie. – Wszyscy na mnie patrzyli. Pewnie znowu zaczną plotkować i mogą być kłopoty.

– Plotki z Liège sprzed dziesięciu lat?

– Możesz mi wierzyć, że żadna plotka nie jest za stara w Pałacu Sprawiedliwości w Villette. Chyba już drugiego dnia w tej firmie dowiedziałam się o romansie Luciena Valvekensa z żoną burmistrza w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Ale to mężczyzna, co wyłącznie podnosi jego status. Jak było w Aix?

Dobrze. Seminaria były pożyteczne, a jego cieszyły się dużą frekwencją. Potem Thomas opowiedział o masowym grobie w Mougins-la-Fontaine i podzielił się wątpliwościami, czy powinien się tym zająć.

– Nie zgrywaj się, przecież widzę, jak to cię kręci. Chociaż można by się zastanawiać, dlaczego ktoś miałby się interesować setką zmarłych w jakiejś wiosce, kiedy w tysiąc czterysta sześćdziesiątym ósmym Karol Śmiały rozniósł w pył całe Liège. Ale jak można się czegoś takiego dowiedzieć?

– Oczywiście z archiwaliów. Ze zbiorów biblioteki katedralnej i archiwum danych o posiadłościach i okolicznych wsiach w cytadeli. Chyba zacznę od biblioteki katedralnej, bo Mougins do końca było jednym z dóbr klasztornych, ale nie ma pewności, czy zachowały się jakiegokolwiek zapiski.

– Coś musi być. Rzezi, w której zginęło sto osób, nie można ot tak wymazać z kart historii.

Wspólnie przygotowali kolację. Sałatka z pomidorów plus krwisty befsztyk i frytki z frytkownicy. Martine nie była mistrzynią kuchni, za to Thomas wcześniej poznał jej tajniki dzięki starszym siostram, Sophie i Christie, które nie chciały brać na siebie całej odpowiedzialności, kiedy mama Eva zamykała się w atelier.

Po kolacji Martine opowiedziała o swoim nowym śledztwie, czego robić nie powinna, ale robiła, pod warunkiem że to zostanie między nimi. Thomasa fascynowały podobieństwa między ich dociekaniem, mimo że wszyscy jego świadkowie od dawna nie żyli.



Śmierć nauczycielki wzbudziła w mieście większe zainteresowanie, niż się Martine początkowo wydawało. Następnego dnia rano w „Gazette de Villette” ukazał się na rozkładówce obszerny materiał o Jeanne Demaret. Znane osobistości mówiły, jak dużo dla nich znaczyła, i chociaż nie pojawiła się żadna sugestia, że została zamordowana, było to jedynie kwestią czasu.

– Na dobrą sprawę wiemy tyle, co nic – powiedziała Martine. – Samochód skręcił w Rue des Cerisiers i potem nikt go już nie widział, jakby się rozplątał w powietrzu. Mamy świadka, który twierdzi, że Demaret miała w ręku list, ale list zniknął. Sanitariusz karetki przytoczył jej ostatnie słowa, że prawdy nigdy nie wolno ukrywać. Kobieta, która tuż przed zdarzeniem szła z psem Chaussée de Namur, zauważyła w ogrodzie szalonej staruszki jakiegoś mężczyznę i pomyślała, że Gilberte zatrudniła ogrodnika. – Martine zakręciła kosmyk włosów wokół palca i westchnęła. – To, czego się do tej pory dowiedzieliśmy, wskazuje na morderstwo z premedytacją, które miało powstrzymać Jeanne Demaret przed ujawnieniem jakiejś prawdy. Pewnie uznałabym to za zbyt fantastyczne, gdybym się nie przekonała na własnej skórze, jakiego zamieszania mogą narobić sekrety sprzed pięćdziesięciu lat.

– Czyli wystarczy, że poznasz tajemnicę Jeanne Demaret?

Martine westchnęła.

– No właśnie. Drobiazg. Najpierw przesłucham jej najbliższych przyjaciół. Miała kogoś w rodzaju sympatii, adwokata, zacznę od niego. Jutro jest msza w jej intencji. W ratuszu zmarnotrawili pół dnia na jałowe dyskusje, czy powinna się odbyć w Saint Jean Baptiste, w Saint Catherine czy w Messières, ale chyba stanęło na katedrze, i muszę tam pójść.

Po kolacji obejrzeli wieczorne wydanie wiadomości. Akurat nadeszła informacja o katastrofie samolotu rwandyjskiego prezydenta Juvénala Habyarimany podczas schodzenia do lądowania w Kigali. Na pokładzie znajdowało się wielu członków rwandyjskiego rządu i prezydent Burundi. Nikt nie przeżył.

Martine pochyliła się. Nie chciała tego słuchać. Wiedziała, że Rwanda przypomina beczkę prochu, która w każdej chwili może eksplodować. Siostra Thomasa, Christine, zajmująca się Afryką w ministerstwie spraw zagranicznych, niedawno wróciła z Kigali, przybita i zaniepokojona. Kiedy się ostatnio spotkały, przez godzinę opowiadała o tym, że ekstremiści się zbroją, a oddziały ONZ nie mają prawa ich powstrzymać. Martine nigdy nie widziała swojej eleganckiej i stonowanej bratowej w takich emocjach.

W oddziałach ONZ w Rwandzie było wielu chłopców z Villette.

– Jak myślisz, co się teraz stanie? – spytała Martine.

Thomas odpowiedział zgodnie z przeczuciami ich obojga:

– Z dużym prawdopodobieństwem rozpęta się piekło.

Martine wzdrygnęła się, jakby ktoś przeszedł po jej grobie. Za oknami było czarno, czarne były jej myśli. Renée, Ravensbrück, wspomnienie bolesnego zerwania z Jeanem-Louisem, zabójstwo Jeanne Demaret i okrucieństwa, do których może już doszło w Rwandzie – wszystko to układało się w mroczny zimny pejzaż tuż przed zaćmieniem Słońca, jak na obrazie Evy.

A ona łaknęła ciepła i życia. Podeszła do Thomasa, usiadła mu na kolanach i zaczęła rozpinać koszulę.

– Bardzo za tobą tęskniłam – szepnęła.

# ROZDZIAŁ 6

Czwartek 7 kwietnia 1994

Poranek był szary, a nastrój w Pałacu Sprawiedliwości równie ponury, jak zachmurzone niebo nad Villette. Julie, która zazwyczaj wprawiała otoczenie w dobry humor swoim uśmiechem i mocnymi jasnymi kolorami, przyszła w czarnej garsonce zgaszona, jakby płakała. Martwiła się o swojego kuzyna, Jeana-Pierre'a – „on jest dla mnie jak młodszy brat” – który był w Rwandzie w oddziale ONZ, i cały czas słuchała radia, żeby nie uronić żadnych wiadomości. W środku nocy wysłano dziesięciu belgijskich żołnierzy do ochrony pani premier Rwandy i jej rodziny, nad ranem zostali rozbrojeni i uprowadzeni przez gwardię prezydencką. Do tej pory nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Według doniesień radiowych z Kigali porozstawiano zapory drogowe, na ulicach stały czołgi i było słychać strzały.

Msza w intencji Jeanne Demaret miała się zacząć o jedenastej i do tego czasu Martine postanowiła zająć się innymi sprawami.

Kiedy przyszła do pracy, Sylvie i Marcel Choffray już na nią czekali w korytarzu przed gabinetem. Na ich widok jak zwykle poczuła ucisk w żołądku. Sylvie opierała się o ścianę i paliła papierosa. Marcel miał zakłopotaną minę.

Blisko półtora roku temu dwoje dzieci małżeństwa Choffray zaginęło bez śladu. Szóstego grudnia 1992 roku ośmioletnia Audrey i sześciolatek Kevin poszli kupić pierniczki i czekoladę na mikołajki i nie wrócili. Osiedlowy sklep był zaledwie trzysta metrów od domu i na tym krótkim odcinku oboje jakby się zapadli pod ziemię.

Po godzinie Sylvie zaczęła się zastanawiać, dlaczego jeszcze ich nie ma, i wybrała się na poszukiwania. Była u ich przyjaciół i w sklepie, ale nikt ich nie widział. Po czterech godzinach spanikowana zgłosiła zaginięcie dzieci w lokalnym komisariacie, gdzie rezolutny dyżurny szybko uznał, że sprawa jest bardzo poważna i najlepiej od razu skontaktować się z Pałacem Sprawiedliwości.

Zajęła się tym Martine i razem z Monique Delmotte z wydziału kryminalnego włożyła całą swoją duszę w odnalezienie Audrey i Kevina. To była jej pierwsza sprawa i nadal uważała, że zrobiła wszystko, co mogła. Policjanci pukali do każdych drzwi w okolicy i odpytywali

każdego w promieniu pięciu kilometrów od domu rodziny Choffray, często po kilka razy. Włączono psie patrole. Odszukano widziane w pobliżu samochodu i przesłuchano ich właścicieli. Zlokalizowano i przesłuchano wszystkich znanych przestępców seksualnych w Villette, ekshibicjonistów, gwałcicieli itepe. Informacje o zaginionych dzieciach rozesłano do innych okręgów policyjnych i Monique Delmotte wszędzie tam dzwoniła.

Wszystko na próżno. Audrey i Kevin zniknęli na dobre. Martine widziała ich w swoich snach. Pamiętała, w co dzieci były ubrane, jakby sama je ubierała: watowane kurtki z kapturem i tanie buty sportowe na rzepy. Kevin uparł się, żeby wziąć z sobą różdżkę z czarodziejskiej szkatułki, którą dostał w prezencie na mikołajki. Nieraz miała wrażenie, że rozpoznaje ich w tłumie, po czym się okazywało, że to pomyłka.

Ale państwo Choffray nie byli z niej zadowoleni, zwłaszcza porywca Sylvie. Zebrali pieniądze od przyjaciół i sąsiadów i prowadzili własne śledztwo. Jak tylko nadarzyła się okazja, pisali i udzielali wywiadów do gazet i radia. Nie potrafili zrozumieć, że po szesnastu miesiącach poszukiwań zaginięcie Audrey i Kevina już nie było na liście priorytetów policji.

Martine uznała, że nie powinna ich o to obwiniać. Nie spodziewała się pochwał za swoje zaangażowanie, dopóki nic się w tej sprawie nie wyjaśni, ale nie potrafiła ukryć irytacji. Podejrzewała, że dzieci poszły się pobawić na śniegu nie tam gdzie zwykle i wpadły do jednego z szybów kopalnianych nieopodal wsi. Nie miała jednak żadnych dowodów.

Ledwie usiedli przy stole konferencyjnym, Sylvie od razu przypuściła atak.

– Czy zrobiliście cokolwiek od naszego ostatniego spotkania? – spytała z wyrzutem w głosie, przypalając kolejnego papierosa.

Była niska, szczupła i ruchliwa, o krótkich ciemnoblonde włosach i pociągłej twarzy. Od zaginięcia dzieci schudła co najmniej dziesięć kilo.

Martine niewiele mogła im powiedzieć. Mężczyzna, którego zatrzymano za molestowanie trzynastoletnich dziewczynek na osiedlowej pływalni i długo przesłuchiowano, miał w dniu zaginięcia Audrey i Kevina niepodważalne alibi. Mimo to Martine podpisała nakaz rewizji i przeszukano jego mieszkanie centymetr po centymetrze. Nic to nie dało. Monique Delmotte obdzwoniła inne okręgi policyjne, żeby sprawdzić, czy nie doszło tam do podobnych, niewyjaśnionych zaginięć. W lesie pod Arras odkryto na wpół przegniłe zwłoki dziecka. Policjant z Villette, który tam pojechał, wykluczył Audrey i Kevina na podstawie diagramów ich

uzębienia. Raz w miesiącu Martine spotykała się z policjantami prowadzącymi tę sprawę, żeby omówić aktualną sytuację i obmyślić dalszą strategię.

– W niedzielę Audrey kończy dziesięć lat – pośepnie powiedział Marcel.

Ten duży miś, zapewne pogodny i hałaśliwy z natury, miał sińce pod oczami i chyba od dawna się nie śmiał.

Sylvie zapaliła trzeciego papierosa i wbiła wzrok w Martine.

– Pani nie ma dzieci, prawda?

– Nie mam.

Sylvie pokiwała głową.

– Wiedziałam. Ktoś taki jak pani nie powinien się tym zajmować. Karierowiczki nie mają pojęcia, co czuje matka.

W Martine coś się odblokowało, jakby puściły w niej wszystkie tamy, i ku swojemu przerażeniu zapalała czystą nienawiścią do Sylvie Choffray, do jej ściągniętych warg, żółtych od nikotyny palców i oskarżających oczu.

Zmusiła się do spokoju, położyła dłonie na stole i przybrała fałszywy uśmiech. Buzowały w niej złe emocje, co Julie oczywiście wyczuła dzięki swojej wyjątkowej intuicji i obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem.

Marcel też to zauważył. Był wrażliwszy niż Sylvie na reakcje innych ludzi i po jego minie można było wywnioskować, że obawia się, czy żona nie wyrządziła ich dzieciom niedźwiedziej przysługi.

– Proszę nam wybaczyć, madame Poirot. – Jego wilgotne brązowe oczy prosiły o wyrozumiałość. – Urodziny dzieci to zawsze trudny dla nas okres, uświadamiamy sobie, ile czasu upłynęło od ich zaginięcia. Zastanawiamy się, czy żyją i gdzie są, i myślimy o tym, jakie to straszne, że nikt nie wie o ich urodzinach. Gdziekolwiek są, jeśli są...

– Oczywiście – bezbarwnie odparła Martine. – Mogę państwa zapewnić, że robię wszystko, co w mojej mocy, żeby odnaleźć dzieci.

Po rozmowie z małżeństwem Choffray z uczuciem ulgi spotkała się z Monique Delmotte i komisarzem Willym Bourgeois, żeby omówić wyniki śledztwa w sprawie napadów rabunkowych na sklepy. Od początku roku obrabowano sześć dużych lokali w podobny sposób. Do środka wpadało czterech osobników w kominiarkach i ciemnych płaszczach i groziło kasjerkom czymś, co wyglądało jak obcięte strzelby. Dwóch ustawiało się przy wejściu, skąd mogli strzelać do

każdej kasy, a dwóch chodziło od kasjerki do kasjerki, zmuszając je do oddania pieniędzy. Od razu dostawali, czego chcieli, przede wszystkim dlatego, że wszyscy pamiętali o słynnych mordercach z Brabancji, którzy w latach osiemdziesiątych zabili dużo ludzi, żeby zdobyć utarg dzienny. Nigdy nie zostali złapani.

– Nie mamy do czynienia z mordercami z Brabancji – powiedział Willy Bourgeois i beknął.

Aby uczcić ten dzień, włożył ciemnoszary garnitur i białą koszulę, ale na cętkowanym czerwonym krawacie były duże plamy po sosie.

– Podczas tych napadów nikt nie ucierpiał – kontynuował. – Równie dobrze mogliby mieć nienaładowane strzelby.

Po rabusiach nie było śladu. Wychodzili z okradanych sklepów i znikali. Żadnego samochodu, nic. Nie mieli czego rozpracowywać. Niesamowite. W ocenie informatorów kryminalne kręgi w Vilette wydawały się tak samo zdziwione jak policja.

Za kwadrans jedenasta Martine i Julie opuściły biuro, żeby wziąć udział w mszy w Saint Jean Baptiste przy Place de la Cathédrale. Martine spojrzała na niskie szare chmury nad Île Saint Jean. Dzisiaj katedra nie miała siły radośnie wznosić swoich iglic ku niebu, przycupnięta pod filarami przyporowymi wyglądała jak kupa kamieni. Kamienni święci na zachodniej fasadzie patrzyli na wchodzących z chłodnym dystansem.

Julie pociągała nosem i Martine objęła ją ramieniem.

– Przepraszam – powiedziała Julie. – Powinnam się opanować, ale mam silne przeczucie, że stanie się coś strasznego.

Katedra zapełniała się ludźmi ubranymi na czarno, szaro i granatowo. Martine nie mogła się otrząsnąć z przygnębienia. Patrzyła na główny ołtarz i relikwiarz z zakrwawionym skrawkiem metalu, który podobno pochodził z miecza, którym ścięto głowę Jana Chrzciciela. Zwykle uśmiechała się na myśl o sprytnym ulicznym sprzedawcy z Jerozolimy, który prawie tysiąc lat temu wcisnął nieokrzesanemu Raimuntowi de Verneyowi niby-relikwię, a ten postanowił się nią popisać po powrocie do domu. „Przysięgam na grób mojej matki, że to krew Jana Chrzciciela”. Ale dzisiaj nie widziała w tym nic zabawnego. Patrząc na zakrwawiony skrawek, widziała śmierć sprawiedliwego człowieka. Zebraliśmy się tutaj w intencji sprawiedliwej kobiety, pomyślała, która została zamordowana, a ja nie wiem, jak trafić na ślad zabójcy.

Rozejrzała się. Zgromadzenie było imponujące. Przyszła stara gwardia Villette, polityczny ojciec chrzestny miasta Guy Dolhet, który za kulisami maczał palce niemal we wszystkim, odkąd odszedł z oficjalnych stanowisk, i Jacques Daelmans, legendarny przewodniczący związku zawodowego, który w swoim czasie jednym kiwnięciem małego palca potrafił zmobilizować dziesięć tysięcy robotników Forvilu. W rządzie za nimi zobaczyła Nicolasa Forgerona, charyzmatycznego polityka lewicy, nadzieję partii. Dwa miejsca dalej był jego negatyw, przywódca neofaszystów André Fontaine. W szarej garsonce Jil Sander siedziała Christine Blanchard, kiedyś reporterka społeczna w „Gazette de Villette”, teraz znana w kraju osobowość telewizyjna. Obok niej siedzieli Jean-Claude Becker, obecny przewodniczący związku zawodowego w Forvilu, i jego żona, Chantal Lemoine. Jean-Claude pochodzi z Luksemburga, pomyślała Martine, Jeanne Demaret go nie uczyła, ale może uczyła Chantal.

Stawiła się także niemal połowa pracowników Pałacu Sprawiedliwości, między innymi jej kolega Gérard Lambrechts, Monique Delmotte, jej ulubienica wśród policjantów kryminalnych, i wielu kancelistów. Obok Julie, równie bladej jak ona, siedział Dominic di Bartolo w ciemnym garniturze.

Nabożeństwo odprawiał stary ksiądz-robotnik Ghislain Fouché. Martine widziała go już wcześniej. Wysoki i krzepki, o dużych dłoniach i szeroki w barach, pewnie dobiegał siedemdziesiątki. Przenikliwe spojrzenie spod krzaczastych brwi. Mogła go sobie wyobrazić, jak za młodu, w latach pięćdziesiątych, wędruje między osiedlami górniczymi, gdzie życie było bardzo ciężkie, i niesie pociechę i nadzieję na królestwo niebieskie.

Mówił o Jeanne Demaret, jak krzewiła światłość i miłość i wielu pokoleniom dzieci dała wiarę w siebie i w przyszłość. Martine zerkała dyskretnie dookoła i zauważyła, że dużo ludzi ma łzy w oczach. Tymczasem w spojrzeniu starego księdza wyczuła zmęczenie, jakąś wiedzę, która mu ciążyła. Może to złudzenie. A może powinna z nim porozmawiać?

Teraz wystąpił Guy Dolhet, żeby w imieniu miasta podziękować zmarłej. Dobrze mówił, opowiedział o tym, jak po raz pierwszy spotkał tę piękną młodą nauczycielkę w niebieskim berecie, kiedy weszła do budynku ruchu robotniczego w Messières i wygłosiła płomienny apel, nawołując związki zawodowe do włączenia się w przyznawanie stypendiów dla uzdolnionych dzieci z robotniczych rodzin, które chciały się dalej uczyć.

Kiedy zgromadzeni zaczęli opuszczać kościół, Martine podeszła do księdza Ghislaina.

– Czy znajdzie ojciec chwilkę? – spytała. – Jestem sędzią śledczą, wyjaśniam sprawę śmierci madame Demaret.

Popatrzył na nią badawczo.

– Wiem, moje dziecko.

– Z tego, co ojciec mówił, zrozumiałam, że dobrze ją ojciec znał, i zastanawiam się, czy w ostatnim czasie nic jej nie trapiło?

– To prawda, przyjaźniłem się z Jeanne od lat, ale nawet gdyby powierzyła mi swoje sekrety, nie mogę ich wyjawić, bo obowiązuje mnie tajemnica sakramentu spowiedzi. To rzecz wyłącznie między nią a Bogiem. Jak zapewne wiesz, moje dziecko, nie mogę o tym mówić.

– Nawet gdyby jej sekrety były powodem jej śmierci?

– Nawet wtedy – odrzekł ksiądz i odszedł.

Przed katedrą Martine spotkała niespodzianka. Czekali na nią Guy Dolhet i Jacques Daelmans.

– Rozumiemy, że to pani, madame Poirot, bada sprawę śmierci naszej drogiej Jeanne. – Dolhet wyciągnął dłoń na powitanie. – Chcielibyśmy spytać, czy wyświadczy pani zaszczyt dwóm starszkom i pozwoli się zaprosić na lunch, żebyśmy się mogli czegoś dowiedzieć?

Niski i przysadzisty, niewiele wyższy od niej, emanował siłą. Mimo jowialnego tonu jego czarne oczy pozostały zimne.

Poczuła się nieswojo.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odrzekła pospiesznie. – Śledztwo jest objęte klauzulą tajności, nie mogę odstąpić od obowiązków służbowych nawet dla tak uroczych panów.

– Mój przyjaciel Guy wyraził się trochę nieudolnie – włączył się Jacques Daelmans, nazywany Długim Jakiem, którego głęboki głos przyprowadził swego czasu o drżenie dyrekcję Forvilu. – Pomyśleliśmy, że rozmowa z nami może być dla pani pożyteczna, madame Poirot.

Martine poczuła narastającą niechęć i nagły przyływ adrenaliny. Włosy stanęły jej dęba. Co to ma być?

– Jeśli są panowie w posiadaniu jakichś informacji, proponuję spotkanie u mnie w gabinecie po lunchu. Będziecie mogli o wszystkim powiedzieć w obecności mojej kancelistki.

Rozejrzała się za Julie. Gdzie ona się podziała?

Guy Dolhet dobrodusznie się uśmiechnął, nie zmieniając wyrazu zimnych oczu.



– Mademoiselle Wastia, jeśli to jej pani szuka, pojechała do krewnych, bo przyszedły niestety niepokojące doniesienia o naszych żołnierzach w Rwandzie i martwi się o kuzyna.

Jacques Daelmans położył ręce na jej ramionach i w przeciwieństwie do Dolheta uśmiechnął się przekonująco, całą twarzą.

– Droga pani, proszę nam wybaczyć, jeśli panią zdenerwowaliśmy, to nie było naszym zamiarem, po prostu po czterdziestu latach w polityce taki mamy sposób bycia. Chcemy jedynie zaprosić piękną panią na lunch i powspominać stare czasy.

Niechęć i irytacja walczyły w niej z ciekawością i ciekawość zaczynała brać górę. Mimo wszystko Dolhet i Daelmans mogli mieć wartościowe informacje. Odpowiedziała uśmiechem Długiemu Jacques'owi i twierdząco skinęła głową.

– Dokąd pójdziemy? – odezwał się Dolhet. – My, starzy robociarze, nie czujemy się jak u siebie na Île Saint Jean, ale co by pani powiedziała na Aux Armes de Verney? Podobno mają tam dobrą kuchnię.

Starzy robociarze, nie ma co, pomyślała Martine. Aux Armes de Verney, na zachodnim brzegu Mozy, na pasie przybrzeżnym poniżej cytadeli, tak wąskim, że zmieścił się tam zaledwie jeden rząd domów, była jedną z najlepszych i najdroższych restauracji w Villette.

Daelmans ujął ją pod ramię i ruszył w stronę Pont Vieux. Dolhet dołączył do nich. Miała uczucie, jakby została porwana przez mafię. Nie mogę pozwolić, żeby dyktowali mi warunki, pomyślała.

Zatrzymała się.

– Niestety, spieszę się do biura i jeśli nie mają panowie nic przeciwko temu, wolałabym zjeść w À la Justice Aveugle.

Dolhet i Daelmans spojrzeli na siebie.

Dolhet wzruszył ramionami.

– Deblauwe ma prywatne salki na piętrze, możemy zająć jedną z nich.

Tony zdumiał się, widząc Martine w towarzystwie Dolheta i Daelmansa.

Daelmans obdarzył go czarującym uśmiechem.

– Dzień dobry, monsieur Tony, madame Poirot chciałaby z nami porozmawiać w ciszy i spokoju, może znajdzie pan jakieś ustronne miejsce?

– Oczywiście – odparł Tony, rzucając Martine wymowne spojrzenie.

Zastanawiała się, czy nie sprawia wrażenia wystraszonej. W każdym razie u Tony'ego czuła się jak na własnym podwórku.

W barze było włączone radio. Właśnie nadawali wiadomości. Belg mieszkający w Kigali mówił, że w mieście słychać strzały, że on i inni Belgowie pozamykali się w swoich domach i boją się wyjść. „Panuje duża niepewność, bo sytuacja zmienia się z godziny na godzinę i nikt nie wie, co się może wydarzyć”. Mimo zakłóceń na linii w jego głosie dało się wyczuć lęk.

Tony zaprowadził ich na piętro do jednej z małych salek ze spadzistym sufitem i widokiem na katedrę. Sam nakrył do stołu, nalał im wody i otworzył butelkę wina, ale jeśli miał nadzieję, że usłyszy coś interesującego, to się rozczarował. Dopóki z nimi był, Dolhet i Daelmans rozmawiali o niczym – o pogodzie i księżce Thomasa. Martine zwróciła uwagę, że zdążyli się dowiedzieć, kto jest jej mężem.

– Przez cały czas mam takie uczucie – powiedział swoim melodyjnym głosem Daelmans – że skądś panią znam, madame Poirot, i usiłuję sobie przypomnieć skąd. Czy na początku lat osiemdziesiątych nie pracowała pani przypadkiem jako kelnerka w La Cagoule w Liège?

Chciał być miły czy próbował ją zdyskredytować? Dobrze zapamiętała Daelmansa wśród innych przywódców związkowych, stałych bywalców La Cagoule w tym okresie, kiedy zbierała siły i pieniądze, żeby podjąć studia wbrew woli rodziców. Zawsze dawał duże napiwki. Wątpiła jednak, żeby chodziło mu o wracanie do odległych wspomnień. To był pierwszy ruch w grze, której zasad jeszcze nie znała.

– Owszem, pracowałam – odparła krótko – zanim podjęłam studia prawnicze.

Wszyscy zamówili waterzooi, danie dnia, i Tony zostawił ich samych.

Dolhet wbił w Martine przepastne spojrzenie czarnych oczu.

– Jak rozumiemy, Pałac Sprawiedliwości uważa, że nasza droga Jeanne została rozmyślnie przejechana.

– To żadna tajemnica. Gdyby chodziło o ucieczkę z miejsca wypadku, nie zajmowałabym się tą sprawą. A w zaufaniu mogę dodać, że są liczni świadkowie, gotowi przysiąc, że kierowca wyraźnie obrał sobie za cel madame Demaret.

– Czy ma pani jakąś opinię co do motywu? – spytał Daelmans.

Martine milczała. Tak było najprościej.

– Pewien ptaszek z Pałacu Sprawiedliwości szepnął mi do ucha, że według pani motyw może mieć związek z jakąś tajemnicą z przeszłości Jeanne – powiedział Dolhet.

Słowo „tajemnica” wymówił z szyderczą przesadą, jakby chciał podkreślić absurdalność takiej hipotezy.

Tony wybawił Martine z niezręcznej sytuacji, przynosząc waterzooi. Powoli rozstawił talerze i napotkawszy jej spojrzenie, uniósł brwi. Odpowiedziała półmilimetrym uniesieniem ramion, co w jej mniemaniu miało znaczyć, że sobie poradzi.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Martine mocno biło serce.

– Stare tajemnice – powiedział w zadumie Jacques Daelmans – są często trudne do wykrycia, a co gorsza, mimo najlepszych intencji mogą niejednemu wyrządzić krzywdę. Na pewno pani rozumie, że jeśli taka kobieta jak Jeanne Demaret postanowiła coś ukryć, to nie zrobiła tego z egoistycznych pobudek, tylko nie chciała, żeby ucierpieli na tym niewinni ludzie.

Martine nastawiła uszu. No, nareszcie.

– Przypuszczam, że zna pan tę tajemnicę. Jeśli tak, oczywiście powinien się pan z nami nią podzielić, żebyśmy mogli ocenić, jakie może mieć znaczenie dla sprawy.

Guy Dolhet przesadnie głośno westchnął.

– Madame, madame, najwyraźniej nic pani nie rozumie. Jeśli Jeanne Demaret postanowiła przez tyle lat milczeć, miała swoje powody, mocne powody, które powinna pani uszanować.

– Spokojnie, Guy – powiedział Daelmans. – Jestem przekonany, że madame Poirot jest gotowa nas wysłuchać. Wyznajemy te same wartości. Przypominam sobie, że była pani bliską przyjaciółką naszego towarzysza Jeana-Louisa Lemaire’a i brała udział w akcji solidarnościowej na rzecz robotników stalowni w Liège w latach kryzysu. Mam rację, madame?

Dolhet popatrzył na nią z wyraźnym zainteresowaniem.

– Lemaire?

Poczuła, że się czerwieni. No tak, wróciły stare plotki, czego się obawiała. Miała wrażenie, że w czarnych oczach Dolheta obracają się malutkie trybiki przetwarzające usłyszaną przed chwilą informację, żeby zrobić z niej odpowiedni użytek.

Jacques Daelmans mówił dalej:

– Z pewnością nie chciałyby pani w najmniejszym stopniu zaszkodzić mieszkańcom Villette. Myślę, że pani i małżonkowi, panu profesorowi, sprawiłoby przyjemność, gdyby wszyscy się dowiedzieli, że naprawdę się z nami solidaryzujecie. W gruncie rzeczy dysponuje pani znikomą liczbą poszlak, prawda?

Uśmiechnął się serdecznie. Martine spociły się dłonie. Poczuła kamień w żołądku, co w sytuacjach konfrontacyjnych przytrafiało jej się zdecydowanie za często, i powiew kuszącego ciepłka czekającego za drzwiami, które Daelmans był gotów dla niej otworzyć.

Zawstydzila się swojego strachu. Mama miała siedemnaście lat, kiedy przesłuchiwało ją gestapo, pomyślała, ja mam trzydzieści cztery, jestem sędzią śledczą i mam dać sobą pomiatać dwóm byłym politykom?!

Przywołała w pamięci pełną oczekiwania, promienną twarz Jeanne Demaret ze ślubnej fotografii, jej bezosobowe, wysprzątane mieszkanie, śmierć i ostatnie słowa, że prawdy nigdy nie wolno ukrywać.

– Pan mnie zdumiewa. – Udało jej się zachować spokój i chłodny ton. – Odnoszę wrażenie, że próbuje pan osłaniać zabójcę Jeanne Demaret, ale zapewne się mylę. Naturalnie,

jeśli panowie sobie życzą, mogę wysłać formalne wezwanie celem złożenia zeznań. Prawda musi wyjść na jaw.

– Szkoda, że jest pani taka nieprzejednana – łagodnie odrzekł Jacques Daelmans. – Cóż, piękne kobiety często wiedzą swoje.

W Martine wezbrała złość, czerwona i gorąca, płatki zamigotały jej przed oczami.

– Nie jestem już kelnerką na pańskie usługi, monsieur Daelmans! Jeśli się nie stawicie mimo nakazu, mogę was aresztować.

– Wątpię – zimno zauważył Guy Dolhet. – Łączy nas z Villette silna więź i sędziowie śledczy, którzy próbują zabłysnąć kosztem miasta i mieszkańców, nie mają łatwo. A ponieważ nie widzę tutaj pani uroczej kancelistki, sama pani rozumie, że nigdy nie było tej rozmowy.

Mężczyźni wstali.

– Żegnam, madame – powiedział Jacques Daelmans. – Proszę się nie kłopotać rachunkiem, załatwimy to z Deblauwe. Niech pani nie podejmuje decyzji od razu, radzę się nad tym zastanowić!

Po ich wyjściu Martine cała się trzęsła. Ukryła twarz w dłoniach. Co ona zrobiła? Przypuszczalnie zniszczyła karierę sobie i Thomasowi.

Ale nie mogła postąpić inaczej. Wczoraj można jeszcze było zamknąć dochodzenie, bo wszystkie tropy prowadziły donikąd, ale nie teraz. Teraz, jeśli ma być w zgodzie z samą sobą, musi przeświecić sprawę śmierci Jeanne Demaret na wylot.

Do salki wszedł Tony i popatrzył na nią z zatroskaną miną.

– W coś ty się wpakowała? Spotkanie sam na sam z Długim Jakiem i Ojcem Chrzestnym nigdy nie wróży nic dobrego.

Martine wytarła oczy lnianą serwetką, zostawiając na niej czarne ślady po tuszu.

Ucieszyła się, że przyszedł.

– Koniak dobrze mi robi.

– Tak czułem.

Podniósł butelkę, którą przyniósł, nalał, Martine jednym haustem opróżniła kieliszek. Zapiekło ją w gardle. Przyjemne uczucie.

– No tak, po raz pierwszy spotkałam się z naciskiem politycznym, ale trzeba to pewnie wliczyć w cenę zawodu – powiedziała, siląc się na zuchowaty ton.

Tony zarechotał.

– A ponieważ nie widzę tutaj pani uroczej kancelistki, sama pani rozumie, że nigdy nie było tej rozmowy.

Martine wyprostowała się na krześle.

– Podśluchiwałaś! – wykrzyknęła zachwycona.

– Tylko bez impertynencji, jeśli łaska. Po prostu zauważyłem, że dziurka od klucza wymaga wyczyszczenia, i przypadkiem się dowiedziałem, kogo należy sprawdzić, gdyby cię znaleziono martwą na pasach. A gdybyś straciła pracę, w À la Justice Aveugle zawsze się przyda dodatkowa kelnerka.

Martine roześmiała się, bo tak wypadało, ale nie miała pewności, czy Tony żartuje. W każdym razie było jej lżej na duszy, kiedy opuściła restaurację, przecięła na ukos Rue des Chanoines i poszła do aneksu Pałacu Sprawiedliwości.

Przed biurem Martine chodził tam i z powrotem ciemnowłosa kędzierzawy mężczyzna w marynarce w dużą kratę. Poznała go. Wujek Julie, Bruno Wastia, handlarz samochodami, osobnik o wątpliwej reputacji. Nie wykrzywił warg w zwyczajowym uśmiechu sprzedawcy, był nieogolony, nie zaciągnął krawata, z kącika ust zwisał mu niezapalony papieros.

Kiedy weszła do gabinetu, Julie pochylała się nad biurkiem, ze słuchawką przy uchu. Błada, źrenice rozszerzone adrenaliną, jakby była pod wpływem narkotyków.

– Próbuję zdobyć numer telefonu do oddziału ONZ w Kigali i do kogoś z naszej ambasady. Pomyślałam, że będzie łatwiej, jeśli zadzwonię stąd... Tak, halo?... Tak, to mój brat, chcemy się dowiedzieć, czy jest bezpieczny... Tak, rozumiem, ale... Halo?! Proszę się nie rozłączać!

Z hukiem odłożyła słuchawkę i usiadła na krześle, przyciskając dłonie do twarzy. Miała zeszywniałe ramiona.

– Zadzwonię do szwagierki z ministerstwa spraw zagranicznych, na pewno ma namiary – powiedziała Martine.

Podniosła słuchawkę i wybrała bezpośredni numer Christine.

Szwagierka odezwała się natychmiast, wyraźnie podenerwowana.

– Nie mogę teraz rozmawiać – powiedziała ściszym głosem. – Źle to wygląda, naprawdę źle. Masz czym pisać? Tylko nikomu ani słowa, że to ode mnie.

Martine zapisała trzy numery telefonów w notatniku, który zawsze miała na biurku, wyrwała kartkę i dała Julie.

- Wracaj do domu. Tutaj i tak nie będzie z ciebie żadnego pożytku.
- Pójdę z Brunem, wiesz, że jest ojcem Jeana-Pierre'a, muszę mu pomóc.

Wujek i siostrzenica zniknęli w korytarzu, wtuleni w siebie jak uchodźcy w obcym kraju, w oparach silnego, porażającego strachu.

Na biurku Martine leżały akta opatrzone wściekle czerwoną pieczętą „Bardzo pilne!”. Policja chciała mieć decyzję o aresztowaniu jakiejś osoby ujętej przed południem, którą tymczasowo zamknięto w celi na parterze aneksu.

Martine przejrzała papiery. Tuż przed lunchem dwóch mężczyzn pod groźbą użycia broni zmusiło właściciela kiosku z frytkami w kwartale za rynkiem do opróżnienia kasy. Zanim zdążyli się ulotnić z gotówką, do kiosku weszło dwóch policjantów z pobliskiego komisariatu, żeby kupić frytki. Szybko się zorientowali w sytuacji i zatrzymali rabusiów. Jeden z nich, ten z pieniędzmi, podstawił nogę policjantowi i uciekł. Drugi siedział w celi z pistoletem, który okazał się zabawką.

Decyzja nie wydawała się trudna. Martine zadzwoniła do aresztu i poprosiła o doprowadzenie zatrzymanego. Żeby go przesłuchać, musiała znaleźć kancelistę, bo odesłała Julie do domu. Stawił się rutynowany kancelista Luciena Valvekensa i ledwie usiadł za biurkiem Julie, dwóch policjantów wprowadziło Francka Lacroix.

Nabzdyczony pryszczaty bezrobotny dwudziestojednolatek z sińcem na prawym policzku. Kiedy otworzył usta, Martine owiał zapach piwa i nieprzyjemny oddech. Owszem, chciał obrabować frytkarnię, ale nie chciał podać nazwiska kompana.

Martine z westchnieniem podpisała decyzję o zastosowaniu aresztu. W Villette było stanowczo za dużo bezrobotnych i biernych młodych mężczyzn. Efekt kryzysu w branży stalowej.

Kiedy wyprowadzono młodego Francka, Martine zaczęła kreślić w notatniku esy-floresy. Co ma zrobić z tym epizodem z dwoma politykami? Napisać raport i włączyć do akt czy wykorzystać treść rozmowy jako źródło nowych tropów w śledztwie?

Postanowiła zasięgnąć rady bardziej doświadczonych kolegów. Louise Pirenne, sędzia śledcza o najdłuższym stażu w Villette, rozpracowała największe afery korupcyjne w latach osiemdziesiątych. Na pewno wie wszystko o naciskach politycznych i jak się z nimi obchodzić.

Pozostało pytanie, czego się dowiedziała. Po namyśle zaczęła to spisywać w punktach.

Po pierwsze, Jeanne Demaret ukrywała jakąś tajemnicę, mającą związek z wieloma ludźmi z Villette, na której zachowaniu nadal zależało ważnym dysponentom władzy.

Po drugie, tajemnica dotyczyła czegoś, co wydarzyło się lata temu.

Wciąż jednak nie miała pojęcia, co to za tajemnica.

Resztę popołudnia poświęciła na inne sprawy służbowe. Przed wyjściem, już w płaszczu, przystanęła przed włączonym telewizorem w pokoju kawowym, żeby wysłuchać najnowszych doniesień z Kigali.

– Wybijają szyby kolbami karabinów, chodzą od domu do domu i likwidują wszystko, co się rusza, wyciągają wszystkich Tutsi – informował wstrząśnięty przedstawiciel Czerwonego Krzyża.

Martine poczuła ucisk w żołądku, kiedy dopełniła tę skąpą relację własną wyobraźnią. Zobaczyła przerażone dzieci daremnie próbujące się ukryć przed uzbrojonymi mężczyznami, którzy wdzierają się do ich domów, zobaczyła krew i ich martwe ciała. Jest gorzej, niż przypuszczaliśmy, pomyślała. Dużo, dużo gorzej.



# ROZDZIAŁ 7

Czwartek 7 kwietnia 1994

Nico widział Guya Dolheta i Jacques'a Daelmansa odchodzących w towarzystwie Martine Poirot i długo patrzył za nimi. Domyślał się, co zamierzają, ale nie miał pojęcia, jak Martine na to zareaguje. Szli w stronę Pont Vieux, potem Martine nagle się zatrzymała i udali się ku Pałacowi Sprawiedliwości i À la Justice Aveugle.

Niestety nie wiedział, jak sam by się zachował. Przywykł do metodycznego analizowania danych i argumentów, rozważania za i przeciw i umieszczania niesfornej rzeczywistości w formalnie nienaganych przegródkach. Ale ilekroć pozwalał myślom wracać do wydarzeń sprzed trzydziestu trzech lat, jego racjonalne, dojrzałe ja ustępowało miejsca surowemu, rozzarzonemu do czerwoności, nieobrobionemu uczuciu i znów miał jedenaście lat i był w letnim pokoju w Aubermont tamtej nocy, kiedy skończyło się jego dzieciństwo. Słuchając relacji Daniela, czuł, że krew odpływa mu od mózgu i że za chwilę zemdleje, a jak nie mógł już tego znieść, zatkał uszy dłońmi. Jeszcze raz przeżywał szok, kiedy później otworzył drzwi do ich pokoju i Daniel wisiał na haku od lampy. Zobaczył oskrobane niebieskie krzesło żeberkowe, które spod siebie wykopał, i jego stopy zaledwie kilka centymetrów nad podłogą. W lewej skarpetce na paluchu była dziura.

Wtedy milczał, żeby chronić rodzinę i pamięć Daniela. Mój Boże, miał tylko jedenaście lat! Ale bardzo się zdziwił, że wszyscy inni też milczeli, jakby to się nigdy nie wydarzyło.

Milczenie nie wpłynęło na lepsze życie jego rodziny. A dla niego wiedza, którą nie mógł się z nikim podzielić, stała się ciężarem.

Jeanne Demaret domyślała się, że on wie. Ona też wiedziała i dokonała wyboru. Postanowiła milczeć, cierpiąc takie same katusze jak on.

Kiedy miał dwanaście lat, zaprosiła go do swojego domu i powiedziała łagodnym tonem:

– Ty wiesz, dlaczego Daniel nie chciał już dłużej żyć, prawda?

Tego wieczoru rozplakał się po raz pierwszy i ostatni i dzięki Jeanne Demaret nie musiał się wstydić tych łez. Od tamtej chwili stali się sprzymierzeńcami, niechętnymi uczestnikami zмовy milczenia, której nie popierali.

Mój Boże, wierzył, że inni wtajemniczeni naprawdę zapomnieli. Dla nich wiedza nie była zatrutym źródłem, które zbrukało całe ich życie. Ale Jeanne nigdy nie zapomniała i teraz nie żyje.

Nie wiedział, kto ją zabił ani dlaczego. To, co usłyszał, przemawiało jednak za tym, że po latach postanowiła przerwać milczenie, a jeśli tak, powinien dokończyć to, czego się podjęła, był jej to winien.

Tylko co się w ten sposób osiągnie? Niczego nie można zmienić, nie można cofnąć czasu. Ale, w co nie wątpił, będzie sensacja. Miałby wyrządzić krzywdę siostrze i ich rodzinom i zszargać pamięć Daniela? W imię czego?

Zastanawiał się, kto jeszcze oprócz Jeanne Demaret wiedział, że on też wie. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że sam może być w niebezpieczeństwie. Ale z której strony mu zagraża? Niemile uczucie.

Daniel, do końca solidarny z przyjaciółmi, nie wymienił żadnego nazwiska, zresztą on nie był tego ciekaw. Ale mniej więcej się orientował, z kim brat się zadawał, i mógł sobie wyobrazić, kto brał w tym udział.

Po raz pierwszy spojrzał na wydarzenia tamtej nocy przez pryzmat chłodnego, racjonalnego intelektu dorosłego Nica.

Kto tam był? Kim jest dzisiaj? Czy któryś z nich zrobił coś, co po tylu latach mogło zmusić Jeanne Demaret do przerywania zмовы milczenia?

Był tak zatopiony w myślach, że zapomniał o całym świecie, ale nogi automatycznie wybrały utarty szlak, i kiedy podniósł głowę, zobaczył, że stoi przed swoim miejscem pracy. Nagle dotarło do jego świadomości, że słyszy za plecami czyjeś kroki. Odwrócił się. Nikogo. Tylko ostatni maruderzy opuszczali katedrę po uroczystym nabożeństwie.

Usiadł za biurkiem i po krótkim namyśle sporządził listę. Miał fotograficzną pamięć i bez trudu skojarzył nazwiska z osobami, które widział dzisiaj w Saint Jean Baptiste. Pomyślał o tym, czym się obecnie zajmują i co w ostatnim tygodniu przeczytał w gazetach.

Potem postawił krzyżyk przy jednym nazwisku, a po chwili wahania przy drugim.

# ROZDZIAŁ 8

Piątek 8 kwietnia 1994

Kiedy Martine otworzyła drzwi piekarni, ogłuszył ją gwar wzburzonych głosów. Domyśliła się, o co chodzi. Słyszała w radiu dowódcę belgijskiego oddziału ONZ, który poinformował o śmierci dziesięciu belgijskich żołnierzy, zamordowanych razem z premier Rwandy i jej dziećmi. Zostali rozbrojeni, skatowani i zabici jak bydło rzeźne.

Kiedy pomyślała o Julie i jej kuzynie, z ukrytych zakamarków pamięci wyłoniły się dawno zapomniane modlitwy. „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi”! Oszczędź Julie, spraw, żeby Jean-Pierre żył!

– Nie mieli broni! – krzyknęła kobieta stojąca przed Martine. – Dlaczego posyłamy tam naszych chłopców, skoro nie mogą się bronić?!

Martine nie wiedziała, jak się nazywa, ale niemal każdego ranka spotykały się w piekarni i witały.

Kolejka była wyjątkowo długa. Przy kasie stała tylko młoda Aurélie. Czyżby madame Dumoulin zachorowała?

– Słyszeliście, co się przytrafiło madame Dumoulin? – Na twarzy kobiety z kolejki malowało się współczucie i głód sensacji. – Przez całą noc próbowała się dodzwonić do syna, który mieszka w Kigali i jest ożeniony z tamtejszą dziewczyną. W końcu jej się udało i dowiedziała się od niego, że synowa nie żyje. Wczoraj przyszła do nich jakaś milicja, młodzi chłopcy z maczetami, i zabili ją na jego oczach.

– A dzieci? – spytała Martine.

Wolała nie znać odpowiedzi. Pamiętała dwie ciemnoskóre dziewczynki, które zeszłego lata przyjechały w odwiedziny i z dumą pomagały babci w podawaniu toreb z pieczywem.

Kobieta spuściła wzrok.

– Nie żyją... Dowiedziałam się o tym od rozwoziciela mleka. Parę godzin temu karetka odwiozła madame Dumoulin do szpitala.

Martine źle spała po potyczce z Guyem Dolhetem i Jakiem Daelmansem i postanowiła się pocieszyć, kupując na śniadanie croissanty, ale teraz odeszła jej ochota na cokolwiek.

Jej problemy wydawały się błahe. Może w ogóle nie były problemami. Kiedy opowiedziała Louise Pirenne o lunchu z Ojcem Chrzestnym i Długim Jakiem, Louise się roześmiała. „Witaj w klubie!” – rzekła swoim ciemnym głosem i poradziła Martine, żeby powiadomiła o tym swoich współpracowników.

Mimo to z trudem przełknęła kolację w czwartkowy wieczór. Przykre uczucie wciąż tkwiło w żołądku.

– Twój problem – powiedział Thomas – polega na tym, że wybrałaś sobie taką pracę, w której musisz wchodzić w konflikty z ludźmi, a chciałabyś, żeby cię wszyscy kochali i doceniali.

– Dziękuję za analizę, profesorze Freud – odburknęła i z trzaskiem zamknęła drzwi do gabinetu.

Siedziała tam w ciemnościach i rozmyślała o tajemnicy Jeanne Demaret, dopóki nie usłyszała Thomasa, który szedł na piętro do sypialni.

Nie spał, kiedy wślizgnęła się pod kołdrę. Złość z niej wyparowała. Przytuliła się do niego, a on objął ją ramieniem.

– Czy myślałaś o tym, że teraz oboje szukamy tajemnic z przeszłości? Ty masz swój masowy grób, a ja morderstwo.

– Nie ma co, wesoły temat do rozmowy w małżeńskim łóżku. – Thomas wsunął dłoń pod jej koszulę nocną. – Czy możemy o tym przez chwilę zapomnieć?

Kiedy wróciła z pieczywem, które mimo wszystko kupiła, Thomas zdążył zaparzyć kawę i podgrzać mleko. Przynajmniej raz wspólnie spędzą poranek, ponieważ Thomas zamierzał poświęcić ten dzień na studia w bibliotece katedralnej.

– Zjemy razem lunch? – spytał.

– Wolabym kolację zaraz po pracy. Nigdy nie wiem, czy będę miała czas na porządny lunch.

– Czy pójdziemy na całość i zamówimy stół w Aux Armes de Verney? Żebyś zobaczyła, co straciłaś, nie idąc tam z Dolhetem i Daelmansem?

Martine zachichotała.

– Przypuszczalnie osobny pokój z zapadnią prowadzącą do Mozy dla krnąbrnych sędziów śledczych i im podobnych.

Zrobiło jej się trochę lżej na sercu.

Julie nie przespała ani minuty ostatniej nocy i miała sińce pod oczami, ale wyraźnie jej ulżyło. Wczesnie rano nareszcie dodzwoniła się do kogoś, kto udzielił jej informacji, że Jeana-Pierre'a Wastii nie ma wśród zabitych żołnierzy.

– Kiedy pomyślę o tych, którzy się dowiedzą o śmierci swoich mężów, ojców i synów, wstydzę się swojej radości, ale nic na to nie poradzę – powiedziała do Martine w zaufaniu.

Jej wuj obiecał zawieźć do koszar we Flawinne matki kolegów Jeana-Pierre'a z tego samego pułku, które nie miały dotąd żadnych wiadomości, czy ich synowie są bezpieczni.

– Chyba pierwszy raz w życiu Bruno robi coś bezinteresownie – powiedziała Julie. – Mam nadzieję, że wyjadą, zanim się rozmyśli.

Martine zwołała odprawę, żeby omówić sytuację w sprawie morderstwa i przedyskutować ewentualne propozycje. Christian de Jonge przyszedł z nową inspektorką kryminalną Annick Dardenne, której Martine jeszcze nie poznała. Teraz była zadowolona, że de Jonge nie jest z Villette, bo nie obowiązywała go lojalność wobec miejscowych układów ani przesadny respekt dla byłych prominentów.

Po samochodzie, który przejechał Jeanne Demaret, wciąż nie było śladu. Bardzo dziwne. Zawsze ktoś zwracał uwagę na uszkodzony wóz, oczywiście z wyjątkiem starych gruchotów.

– A czy nie mógł po prostu wjechać na posesję któregoś z domów przy Rue des Cerisiers? – rzuciła Annick Dardenne.

Martine zaskoczyło to, że pani inspektor w ogóle otworzyła usta. Było w niej coś tak anonimowego, że mało kto ją zauważał. Młoda, wysoka, cienka jak tyczka, krótkowłosa szatynka o nijakiej fryzurze i szarych oczach. Zestawienie beżu i granatu świadczyło o jej fatalnym guście albo o genialnym kamuflażu. Ale miała przenikliwe, inteligentne spojrzenie i zapoznała się ze wszystkimi niuansami sprawy.

– To by oczywiście tłumaczyło, dlaczego nikt nie widział samochodu, kiedy zjechał z Chaussée de Namur – powiedział Christian de Jonge.

– Przejrzemy listę właścicieli posesji przy Rue des Cerisiers i zobaczymy, czy któryś z nich może mieć jakiś związek ze sprawą – zdecydowała Martine. – Chociaż byłoby łatwiej, gdybyśmy wiedzieli, o co tu naprawdę chodzi.

Julie zwróciła się do Belgacomu z oficjalną prośbą o przekazanie billingów Jeanne Demaret, ale jeszcze nie dostała odpowiedzi.

– Zadzwoń do nich, obsztorcuj i każ im się pospieszyć – poleciła Martine. – Mielibyśmy przynajmniej jakiś konkret.

Nie udało się znaleźć żadnego świadka, który widziałby kogoś, kto wyjmuje list z dłoni Jeanne Demaret.

– Tam było potworne zamieszanie – powiedział Christian de Jonge. – Ludzie zbiegli się ze wszystkich stron, wszyscy pochylali się nad Jeanne Demaret, żeby sprawdzić, czy żyje, przykrywali ją kocami i tak dalej. Bez trudu można było zabrać list. Najprawdopodobniej zrobił to ten mężczyzna z ogrodu szalonej Gilberte. Kiedy tylko dał znak, wyszedł na Clos des Lilas i wmieszał się w tłum. Albo było ich trzech. Gilberte nadal nie potrafi go opisać. Widziała go przez swoją brudną firankę, a poza tym chyba przydałyby się jej okulary. Kobieta z psem mogła powiedzieć tylko tyle, że wyglądał zwyczajnie, był w średnim wieku i miał na sobie sportową zieloną kurtkę. Oczywiście potem mógł ją zdjąć.

De Jonge był wyraźnie przybity.

– To niemal morderstwo doskonałe – powiedziała po namyśle Martine. – Proste, przy otwartej kurtynie i nie ma punktu zaczepienia. Żeby ruszyć z miejsca, musimy poznać mroczną tajemnicę Jeanne Demaret. Czy znaleźliście coś w jej papierach?

Christian zlecił przejrzenie materiałów z biurka i sekretarzyka Annick Dardenne, dlatego przysłała na odprawę.

Niestety, nie udało jej się wyłowić żadnych tropów.

– Są tam tylko rachunki za gaz i prąd i książeczki bankowe bez podejrzanych wpłat i wypłat. Wszystko wydaje się w porządku. Nie znalazłam żadnego dziennika ani kalendarza z zapiskami typu „zadzwoń do Alberta” albo „Bernard w lesie, tam gdzie zawsze”. Tam jest zbyt pusto, jeśli rozumiecie, co mam na myśli, tak jakby się patrzyło na pedantycznie wysprzątane mieszkanie i zachodziło w głowę, gdzie są poutykane wszystkie rupiecie. Jest mnóstwo kartek od uczniów i rodziców, „Dla naszej kochanej pani Demaret”, ale niewiele mówią. Jedyne naprawdę osobiste rzeczy to listy od jej męża Louisa, pisane od ich pierwszego spotkania w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym do jego śmierci w pięćdziesiątym dziewiątym. Bardzo piękne. – Annick uśmiechnęła się przepraszająco. – Poza tym jest kilka listów od niejakiego Justina, ostatni z października siedemdziesiątego roku, w którym pisze tak: „Najdroższa Jeanne, nie spałem całą noc i myślałem o naszej wczorajszej rozmowie. Nie mam innego wyjścia, jak zaakceptować Twoją decyzję, co, jak rozumiesz, sprawia mi bezgraniczny ból. Chcę, żebyś została moją żoną,

chcę dzielić z Tobą Twoje brzemie. Dlaczego nie możesz mi zawierzyć? Nic, co powiesz albo zrobisz, nie będzie dla mnie szokiem, nigdy się od Ciebie nie odwrócę i przysięgam na wszystko, co dla mnie święte, że Twój sekret zostanie między nami. Po raz ostatni błagam, żebyś to rozważyła i pomyślała o naszej wspólnej przyszłości. Jeśli nie zmienisz swojej decyzji – zmień, najdroższa! – będzie najlepiej, jeśli przestaniemy się spotykać. Kocham Cię i zawsze będę kochał. Daj mi szansę, żebym mógł tego dowieść. Twój Justin”.

Julie się wzruszyła, a Christian rzucił z niesmakiem:

– To brzmi jak z serialu romantycznego. Czyżby miała jakieś nieślubne dziecko?

– Raczej nie – powiedziała Martine. – Wczoraj spotkało mnie coś, co mogłoby sugerować, że tajemnica Jeanne Demaret dotyczy wielu mieszkańców Villette, nie wyłączając tych najważniejszych.

I opowiedziała o spotkaniu z Dolhetem i Daelmansem.

– O-la-la! – Christian przeciągle gwizdnął. – Trafiliśmy w czuły punkt, ale nic nam to nie dało. Chyba się nie wycofamy?

Spojrzeli na Martine. W czwartek wieczorem, siedząc po ciemku w gabinecie, wszystko sobie przemyślała, przeniecowała najróżniejsze argumenty. Nie byłoby trudno zamknąć tę sprawę, dla pozorów pociągnąć ciut mocniej za kilka nitki, które, o czym już wiedzieli, prowadzą donikąd, po czym przekazać ją do *chambre du conseil*, pododdziału sądu, jako zbadaną i nierozwiązaną.

Ale to nie wchodziło w grę.

– Kontynuujemy – powiedziała. – Zróbmy burzę mózgów i przekonajmy się, czy na pewno nie ma żadnych tropów, które pomogłyby nam dotrzeć do mrocznej tajemnicy pani nauczycielki.

Myśleli przez chwilę.

– To było przed rokiem siedemdziesiątym, prawda? – odezwał się Christian. – List zakochanego Justina świadczy o tym, że już wtedy coś jej ciążyło. Coś, co Dolhet i Daelmans usiłują ukryć. Czy Długi Jacques zdefraudował związkową kasę? Czyżby Dolhet brał łapówki?

– Oczywiście, że mogło chodzić o malwersacje – przyznała Martine – ale czy przekrety finansowe sprzed dwudziestu pięciu lat wzbudziłyby aż taką sensację, że dzisiaj oplacałoby się kogoś z tego powodu zabić? I dlaczego Jeanne Demaret miałyby to ukrywać?

Julie podniosła głowę znad bloku stenograficznego.

– Jednego możemy być absolutnie pewni. Jeśli Jeanne Demaret zdecydowała się na zatajenie czegokolwiek, to musiały być w to zamieszane dzieci. Kiedy miałam jakiś problem, wołałam się z tym zwrócić do niej, a nie do kogoś z rodziny. Była ekstremalnie uczciwa i sprawiedliwa, po prostu święta, i nigdy niczego nie potępiała. W obronie dzieci była gotowa na wszystko...

W obronie dzieci? Martine wzdrygnęła się. Byle to nie była jedna z tych pedofilskich historii, pomyślała. Są ohydne i prawie niemożliwe do udowodnienia. Czytała o wielkich pedofilskich aferach w Brukseli w latach osiemdziesiątych. Przeważnie kończyły się na niczym.

– Siatka pedofilska? – powiedziała Annick Dardenne.

– Nie – odparł Christian. – Jeśli Julie się nie myli, Jeanne Demaret pewnie byłaby ostatnia, żeby zachować to w tajemnicy.

Oczywiście, Christian ma rację, z ulgą pomyślała Martine.

– A może – podjęła Annick – warto byłoby przejrzeć archiwalne roczniki „Gazette de Villette” od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego do siedemdziesiątego?

– Gdybyśmy tam coś znaleźli, trudno byłoby to uznać za głęboką tajemnicę – skwitował Christian.

– Tak – przyznała Martine. – Chyba powinniśmy się skupić na ludziach, którzy znali Demaret. Przepytajcie osoby z listy jej przyjaciół i znajomych. Jednocześnie musimy odszukać samochód, sprawdzić wszystkie domy i posesje przy Rue des Cerisiers. Dajcie mi znać, gdyby ktoś kręcił albo zachowywał się podejrzanie, od razu wydam nakaz rewizji. Może też warto byłoby się dowiedzieć, czym się zajmowali Dolhet i Daelmans od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego do siedemdziesiątego. A ja porozmawiam z Justinem Willemartem, przypuszczalnie najbliższym przyjacielem Jeanne Demaret. Ciekawe, czy to właśnie ten Justin jest autorem listu z siedemdziesiątego roku.

Biuro adwokackie Eyskens&Willemart mieściło się przy rynku. Martine i Julie przeszły przez Pont des Evêques. Na ulicach wciąż było dużo wielkanocnych turystów, grupy z przewodnikami maszerowały Quai des Marchand, popularną trasą między rynkiem i Place de la Cathédrale. Martine wzięła Julie pod rękę, żeby się nie zgubiły w tłumie.

Była ciekawa, czy dobrze się domyślała, podejrzewając Julie o słabość do Dominica di Bartolo.



– Dominic jest uroczy – powiedziała Julie w rozmarzeniu. – Przystojny na włoską modłę, bystry i jednocześnie trochę melancholijny.

Próbowała się między nie wcisnąć grupa Japończyków z aparatami fotograficznymi.

– A czy on nie jest dla ciebie za stary?

Martine usiłowała się przebić przez gestykujących Włochów, którzy zatrzymali się, żeby podziwiać Saint Jean Baptiste, blokując przejście.

– Ma czterdzieści dwa lata! – krzyknęła Julie nad głowami Włochów. – To właściwie bez znaczenia, jest bezdzietny i nie ma na karku byłych żon.

– Kawaler po czterdziestce... Czy to nie dziwne?

Nagle Martine oberwała kuksańca i gdyby się nie chwyciła latarni, wylądowałaby na jezdni tuż pod kołami autokaru.

– Przeklęci turyści!

Rozejrzała się. Włosi czy Japończycy? W takim tłumie nikogo nie przyłapała, ale udało jej się chwycić Julie za ramię.

– Rozmawiałam z jego byłymi dziewczynami. – Julie przyciągnęła ją do siebie i szepnęła do ucha w zaufaniu: – Wszystko z nim okej.

Firma Justina Willemarta zajmowała dwa najwyższe piętra wąskiej, elegancko zdobionej, szesnastowiecznej kamienicy przy rynku, nieopodal Quai des Marchands i niezbyt daleko od biura adwokackiego, w którym Martine pracowała jako asystentka prawna zaraz po przyjeździe do Villette. Kiedy ucisnęła dłoń Willemarta, od razu miała pewność, że to on jest tym Justinem, autorem listu z roku 1970. Przemawiał za tym jego *image*, było w nim coś wytwornego i nieco staroświeckiego. Mężczyzna w ciemnoszarym garniturze, siwowłosy, poniżej średniego wzrostu, szczupły, w dobrej kondycji. Tylko sińce pod oczami zdradzały, że ostatnio źle spał.

– Wiemy, że był pan bliskim przyjacielem Jeanne Demaret – zaczęła Martine. – Czy mógłby pan powiedzieć parę słów o waszym związku? Jak długo się znaliście?

Siedzieli przy stole konferencyjnym w pokoju Willemarta na tyłach kamienicy z widokiem na rzekę i katedrę. Sekretarka przyniosła kawę dla Martine i sok pomarańczowy dla Julie.

Justin Willemart wsparł brodę na dłoniach.

– Poznałem Jeanne w Messières w sześćdziesiątym ósmym. – Mówił wolno, jakby patrzył w siebie. – Przyjechałem tam, żeby podjąć się pracy prawnika w centrali związkowej. Jeanne od

siedmiu–ośmiu lat była w Messières nauczycielką i zasiadała w zarządzie fundacji stypendialnej, gdzie zostałem zatrudniony. Tak się poznaliśmy i prawie od razu się w niej zakochałem. Była taka piękna... – Przerwał. – Czy widziały panie jej zdjęcia z tego okresu?

Nie czekając na odpowiedź, sięgnął do portfela, wyjął starą fotografię i pokazał im, jak mały chłopiec, który chce się pochwalić przed rodzicami oceną celującą.

Jeanne Demaret była jeszcze ładniejsza niż na zrobionym dziesięć lat wcześniej zdjęciu ślubnym. Policzki straciły dziecięcą krągłość, a fryzura z grzywką, modna w latach sześćdziesiątych, przydawała jej więcej uroku niż trwała z lat pięćdziesiątych. Tylko oczy nie wyrażały ufności w przyszłość.

– Mieliśmy wspólne zainteresowania – kontynuował Willemart. – Literatura, muzyka, kwestie społeczne. Intensywnie zabiegałem o jej względy. Zaręczyliśmy się w sylwestra w sześćdziesiątym dziewiątym. Byliśmy bardzo szczęśliwi, ja na pewno. Zaczęliśmy planować nasze wspólne życie, oglądaliśmy różne domy, rozmawialiśmy o podróży poślubnej, a nawet o imionach naszych dzieci. Latem, rok później, nawiązaliśmy... intymne relacje. I wtedy wszystko zaczęło się psuć...

Martine i Julie wstrzymały oddech.

– Zawiodły, jak mawiają Anglicy, *pillow talks*. Jakby intymność ją przerażała, jakby nie była w stanie zbliżyć się do drugiego człowieka. Pod koniec sierpnia powiedziała, że chce zerwać zaręczyny. Kiedy poprosiłem o podanie powodów, wyjaśniła, że nigdy nie mogłaby się z nikim związać, ponieważ jest pewna tajemnica, której nikomu nie wyjawia, a zachowując tak ważną część swojego życia wyłącznie dla siebie, czułaby, że jej małżeństwo opiera się na kłamstwie. Próbowałem ją nakłonić do wyjawienia tego, co ją dręczy, ale bez skutku. W październiku, kiedy zrozumiałem, że jej nie przekonam, opuściłem Villette i przenieśliśmy się do Liège. Tam ożeniłem się z koleżanką. Byliśmy bardzo szczęśliwym małżeństwem. Cztery lata temu żona zmarła na raka. Po jej śmierci skontaktowałem się z Jeanne i kiedy się okazało, że nie wyszła za mąż, postanowiłem wrócić do Villette. Od tamtej pory pozostawaliśmy w bliskiej przyjaźni. Niestety, platonicznej.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Słyszeli tylko chrzęst długopisu Julie na papierze.

– U madame Demaret znaleźliśmy list z października siedemdziesiątego roku podpisany „Justin” – odezwała się Martine. – To pan go napisał, prawda?

– Zachowała go? – Willemart wzruszył się. – Tak, oczywiście, że ja.

– Czy ma pan jakiegokolwiek podejrzenia albo domysły co do ciąży jej tajemnicy?

– Jeanne potrafiła, niestety, dochowywać tajemnic.

Podczas jego opowieści Martine coś przyszło do głowy i postanowiła to sprawdzić.

– Przepraszam za niezbyt przyjemne pytanie, ale powiedział pan, że problemy zaczęły się wtedy, kiedy nawiązaliście kontakty seksualne, że nie radziła sobie z intymnością. To typowa reakcja kobiet, które doświadczyły przemocy seksualnej. Czy mogło chodzić o coś podobnego?

– Absolutnie nie, w żadnym razie nie chodziło o, hm, problemy natury fizycznej, lecz o zażyłość, o bliskość mentalną.

– Zmieniając temat: czy zna pan Jacques'a Daelmansa i Guya Dolheta?

– Oczywiście, to Długi Jacques zatrudnił mnie w sześćdziesiątym ósmym. On i Dolhet byli wtedy w Messières, miałem z nimi sporo do czynienia.

– W jakich stosunkach madame Demaret pozostawała z Dolhetem i Daelmansem?

– Prawdę mówiąc, wyglądało to dość dziwnie. Troszczyli się o nią i darzyli szacunkiem, co całkiem normalne, bo była świetną nauczycielką i dużo znaczyła dla dzieci z robotniczych rodzin. Fundusz stypendialny to był jej pomysł. Dolhet wspominał o tym na mszy w jej intencji. Ale teraz, po latach, wydaje mi się, że w ich stosunkach było coś, co mogłoby sugerować, że... Nie to, że wiedziała, jak ich podejść, bo to nie w jej stylu, ale że oni byli jej coś winni i że właśnie dlatego powstała fundacja.

– Kiedy została założona? – szybko spytała Martine.

Willemart zastanawiał się.

– Myślę, że w sześćdziesiątym drugim, czyli przypuszczalnie wstępny projekt powstał rok wcześniej.

– To by znaczyło, że w sześćdziesiątym pierwszym mogło się zdarzyć coś, co zgodziła się zachować w tajemnicy?

– Tak, to możliwe.

– Czy w ostatnim czasie coś szczególnie ją martwiło?

Willemart pokiwał głową.

– Od paru miesięcy nie była sobą. Sprawiała wrażenie zatroskanej, kilka razy odwołała wcześniej zaplanowane spotkania. Ale nie mam pojęcia dlaczego.

Wstał, podszedł do okna i patrzył na tłum na Quai des Marchands. Martine taktownie milczała.

Odwrócił się w ich stronę.

– Nie znam tajemnicy Jeanne – powiedział lekko łamiącym się głosem – ale wiem, że zniszczyła jej życie. Nie wiem, co ukrywała, ale wiem, że ci, którzy skłonili ją do milczenia, zmienili ciepłą, pełną życia, młodą kobietę pragnącą miłości i własnych dzieci w zakonnice, która poświęciła siebie innym. A w końcu... w końcu ją zabili.

# ROZDZIAŁ 9

Piątek 8 kwietnia 1994

Thomas pogwizdywał pod nosem, idąc przez park na tyłach Saint Jean Baptiste do biblioteki katedralnej. Po niebieskim niebie sunęły chmury, drzewa wiśniowe zachwycaly bladoróżowym kwieciem. Marzył o tym, żeby znowu zaszyć się w archiwum, rozwikłać konkretny problem i osiągnąć szybki rezultat. Wspaniałe badania archiwalne i dobra kolacja z Martine – to się nazywa fantastyczny dzień.

Bibliotekę na Île Saint Jean zbudowano wokół pozostałości romańskiego kościoła, który popadł w ruinę, kiedy w całej swojej gotyckiej krasie stanęła katedra Saint Jean Baptiste. Średniowieczni budowniczo wie nie zawahali się wykorzystać kamieni ze starego kościoła. Podziemne murowane sklepienia były szczelne, suche i chłodne, wręcz idealne do przechowywania zbiorów biblioteki katedralnej.

Thomas podszedł do bibliotekarza, żeby poprosić o klucz do archiwum. Widział go po raz pierwszy. Szczupły, ascetyczny sześćdziesięciolatek w klerykalnej koszuli z koloratką i zwykłym szarym garniturze przeglądał poranną gazetę. Thomas rozpoznał tytuły artykułów, które sam wcześniej przeczytał. „W Rwandzie szaleje przemoc polityczna. Rwandyjska klasa polityczna i jej demokratyczni zmiennicy stracili głowy”.

– Witam, profesorze Héger – powiedział, kiedy Thomas się przedstawił i wpisał na listę gości. – Nazywam się Domitien Rolland. Jestem nowym bibliotekarzem.

Thomas skinął głową, wziął ciężki grawerowany klucz i zszedł po schodach. Po raz nie wiadomo który zdumiał się, że mimo swoich lat obrócił się w zamku równie bezgłośnie i lekko, jak klucz do jego domu.

Dzięki temu, że był sam w piwnicznych murach, mógł wybrać swój ulubiony stół: między dwoma solidnymi kolumnami, dobrze oświetlony, z dala od szumiącej aparatury klimatyzacyjnej.

Mniej więcej orientował się, czego szukać. Ponieważ prowadził projekt uniwersytecki o roli Kościoła w okresie późnośredniowiecznych przeobrażeń ekonomicznych, wiedział, że majątek Mougins-la-Fontaine był własnością klasztoru Abbaye de Saint Vaast do końca jego

istnienia. Archiwalia dotyczące interesującej go wioski i mienia powinien znaleźć na jednej z długich półek dokumentujących historię klasztoru.

Szybko je odszukał i zapomniał o bożym świecie. Pożółkłe kartki przeniosły go w wiek dwunasty, kiedy Raimunt de Verney, dobry znajomy Thomasa, wrócił z wyprawy krzyżowej bogaty jak Krezus i założył klasztor, którego przeoryszą została jego niezamężna siostra Mathilde.

Według dokumentów za przeoryszy Mathilde i jej następczyń klasztor poczynił sobie jak chciwy latyfundysta, wymuszając na chłopach z Mougins-la-Fontaine wysokie podatki i obkładając ich wysokimi daninami. Na początku XIV wieku nowe sojusze polityczne osłabiły pozycję klasztoru, a czarna śmierć, która w roku 1348 pozbawiła życia ówczesną przeoryszę i większość zakonnic, dokonała dzieła. Przeżyła garstka starszych mniszek, na przełożoną wybrano trzynastoletnią Berthe de Coucy i zarządzanie posiadłościami przeszło w ręce Pierre'a d'Orbais'go, wasala hrabiego Hainaut, spowinowaconego z małoletnią Berthe. Kościół w dalszym ciągu był właścicielem majątków klasztornych i w następnych latach Pierre d'Orbais usiłował je wykupić, raz po raz nękając biskupa Villette.

W roku 1365 Kościół dał za wygraną. Thomas niemal gwizdnął, widząc cenę, jaką zapłacił d'Orbais. Biskup, rzecz jasna, potrzebował pieniędzy na rekrutację żołnierzy, ale skąd Pierre d'Orbais wziął taką sumę?

Thomas znalazł wytłumaczenie w jednym z dokumentów, w którym on i jego żona zobowiązali się do opieki nad ostatnimi żyjącymi zakonnicami. Żona, Catherine Vasseur – z pewnością spokrewniona z Anselmem Vasseurem, pierwszym i najbogatszym fabrykantem tekstylnym w Brabancji – dysponowała posagiem godnym księżniczki.

I tak w roku 1365 Mougins-la-Fontaine przeszło z rąk chciwych zakonnic w posiadanie majątnej rodziny d'Orbais. Thomas był zadowolony, mimo że ani na centymetr nie przybliżył się do wyjaśnienia tajemnicy masowego grobu. Zawsze fascynowała go historia w mikroskali.

Problem polegał na tym, że kiedy Kościół zrezygnował z posiadłości, w przegródce Mougins-la-Fontaine nie było już więcej dokumentów.

Thomas usłyszał kroki za plecami. Ojciec Domitien stanął przy nim i przepraszająco odchrząknął.

– Chciałbym zrobić przerwę na lunch i muszę zamknąć drzwi. Zostanie pan tutaj, profesorze, czy miałby pan ochotę dotrzymać mi towarzystwa i zjeść ze mną na dziedzińcu jakąś skromną kanapkę?

Thomas spojrzął na zegarek. Wpół do drugiej. Miał już lekko zmęczone oczy. Ostatnie dokumenty mogą poczekać.

– Dziękuję, z przyjemnością dotrzymam ojcu towarzystwa – odparł i poszedł za księdzem.

Na zabudowanym dziedzińcu było ciepło. Pod romańskim portalem, dawnym wejściem do kościoła, stał prosty drewniany stół i kilka krzeseł. Na stole był koszyk z kanapkami, porcelana, sztucce i parę butelek wody mineralnej.

– Zamówiłem z Café de la Cathédrale – wyjaśnił ojciec Domitien.

Jedli w milczeniu. Thomas czuł, że ksiądz go obserwuje. Miał nadzieję, że nie zacznie prawić mu kazania i nie będzie wypytywał o jego stosunek do religii. Thomas cieszył się, że w przeciwieństwie do Martine nie wychowywał się w rygorystycznie katolickim domu. Między innymi religia skomplikowała jej relacje z matką. Martine była czarną owcą w rodzinie, a Philippe, żeby oszczędzić szoku rodzicom, taktownie czekał i dopiero po ich śmierci rozwiódł się i ujawnił swoją orientację homoseksualną.

– Czy wolno spytać, nad czym pan pracuje? – odezwał się ojciec Domitien.

Thomas opowiedział o masowym grobie w Mougins-la-Fontaine. Ksiądz słuchał w skupieniu, po czym zamilkł na dłużej.

– Bardzo interesujące – rzekł na koniec. – Czy nigdy się pan nie zastanawia nad sensem poświęcania czasu i energii na zgłębianie czegoś, co się wydarzyło kilkaset lat temu, podczas gdy podobnym tragediom, do jakich dochodzi codziennie w otaczającym nas świecie, poświęca się zbyt mało uwagi?

Thomas osłupiał. Nie takiego pytania mógł się spodziewać po bibliotekarzu i szefie archiwum. Podobne pytanie postawiła mu Martine, tyle że lekkim tonem.

– Jestem mediewistą – powiedział. – Nie sądzę, by ojciec chciał być pozbawiony wiedzy o przeszłości. Jest niezbędna dla zrozumienia świata, w którym żyjemy, możemy z niej wynieść jakąś naukę. Uważam, że poznanie prawdy o powodach, dla których w Mougins-la-Fontaine ktoś zatłukł na śmierć sto osób, kobiet i dzieci, i pogrzebał w masowym grobie, byłoby czymś w najwyższym stopniu interesującym.

Ojciec Domitien smutno się uśmiechnął.

– Przepraszam, nie zamierzałem podważać zasadności pańskich badań. Otóż jest pewien problem, z którym się zmagam od wielu lat, nurtuje mnie odwieczna skłonność człowieka do zadawania okrucieństwa bliźnim. Proszę spojrzeć, co się obecnie dzieje w Rwandzie. Dorastałem w tym kraju i nie mam najmniejszych wątpliwości, że jest tam znacznie gorzej, niż się panu wydaje. Rzeź w Mougins prawdopodobnie właśnie teraz gdzieś się powtarza, podczas gdy my siedzimy na tym spokojnym dziedzińcu ijemy lunch.

– Czy wolno spytać – odezwał się Thomas po chwili milczenia – dlaczego powątpiewając w wartość tych zakurzonych archiwaliów, podjął się ojciec pracy bibliotekarza?

– Przyjechałem do Villette, żeby wykonać swego rodzaju historyczną pracę detektywistyczną, i przyjąłem tę posadę, którą mogłem otrzymać. Jestem tutaj, ponieważ szukam przyjaciółki. Z tego, co wiem, przyjechała do Villette w sześćdziesiątym pierwszym roku i słuch po niej zaginął. Cécile Naigiziki. Mówi to panu coś? Miała dwoje dzieci, Marie-Félice i Christophe’a, naturalnie dzisiaj byłiby dorośli.

Thomas pokręcił głową.

– Co to znaczy, że słuch po niej zaginął?

– Jak wspomniałem, urodziłem się w Afryce, w Kigali. Cécile była moją przyjaciółką z lat młodości i wiem, że znalazła się w grupie osób ewakuowanych do Belgii w związku z rozruchami w roku sześćdziesiątym pierwszym. Zdobyłem informację, że przyjechała z dziećmi do Villette, i tutaj trop się urywa. Nikt o niej nie słyszał. Nikt nie wie, co się z nią stało. Od wielu lat przebywam za granicą i teraz, kiedy znów jestem w Belgii, pomyślałem, że podejmę kolejną próbę odszukania jej.

– Przedziwne. Czy kontaktował się ojciec z Pałacem Sprawiedliwości? Może moja żona mogłaby pomóc? Jest sędzią śledczą – powiedział Thomas, wciąż odczuwając dreszcz dumy, kiedy mówił o pozycji zawodowej Martine.

– Byłbym ogromnie wdzięczny! Tymczasem może już powinniśmy wrócić do naszych zakurzonych archiwów.

Dwie godziny później Thomas był gotowy się poddać. W zbiorach katedralnych nic więcej nie znalazł o Mougins-la-Fontaine. Zgasił lampkę i poszedł oddać klucz ojcu Domitienowi.



Ksiądz nie siedział przy swoim biurku. Thomas zastał go w jednym z wewnętrznych pomieszczeń biblioteki, gdzie z posępną miną patrzył na skrzynie z papierami, zalatujące piwniczną stęchlizną.

– Gdybym tylko chciał, mam pracę na lata – powiedział z westchnieniem. – Może jest tutaj coś dla pana, profesorze Héger. Najstarsze dokumenty pochodzą bodaj z końca czternastego wieku. Ale wszystko jest bez ładu i składu.

Thomas nastawił uszu i pociągnął nosem jak pies myśliwski wietrzący zdobycz. Skrzynie z nieposegregowanymi dokumentami sprzed sześciuset lat to prawdziwy skarb.

– Co to jest? – spytał podekscytowany.

Ojciec Domitien wyjaśnił, że właśnie otrzymał przesyłkę z francuskiego muzeum prowincjonalnego, które się przenosiło do nowej, mniejszej placówki. Nikt nie wiedział, jak długo skrzynie stały w muzealnej piwnicy, przypuszczalnie około stu lat. Francuska kustosz poczuła ogromną ulgę, kiedy po pobieżnym sprawdzeniu zawartości jednej ze skrzyń skonstatowała, że pochodzi z pałacu biskupiego w Villette i można ją tam odesłać.

Tak czy inaczej, zadała sobie trochę trudu, żeby ustalić, dlaczego te dokumenty znalazły się we Francji. Stało się to w roku 1795, kiedy francuskie oddziały zajęły Villette i splądrowały pałac biskupi. Pewien przedsiębiorczy oficer zapałał sympatią do wspaniałych szaf w kancelarii biskupa i natychmiast zadbał o ich transport do swojego rodzinnego miasta. Tam część ich zawartości spalono, a resztę wrzucono do skrzyń, które przechowywano w różnych piwnicach, aż w końcu trafiły do muzeum. A teraz zostały zwrócone Villette.

Thomas nie mógł się powstrzymać. Kucnął i ostrożnie zaczął przeglądać sterty starych dokumentów. Od razu przyznał rację ojcu Domitienowi. Skatalogowanie może zająć tygodnie.

Potem się zastanawiał, dlaczego zaczął od przepatrywania najmniejszej skrzyni, z której wyjął garść bardzo starych dokumentów, o czym świadczył charakter pisma i gatunek papieru. Prędzej czy później i tak by do nich dotarł. Tymczasem natychmiast zobaczył „Mougins-la-Fontaine” i usiadł przy stole, żeby zagłębić się w lekturze.

To było sprawozdanie współpracownika biskupa z procesu sądowego. Thomas wyczytał między wierszami, że biskup wpadł w irytację, ponieważ sąd kościelny nie rozpatrzył sprawy po części dlatego, że wydarzenia miały miejsce na terenie, który już nie należał do Kościoła, a po części i przede wszystkim dlatego, że wchodziły w grę oskarżenia o czary.

W sierpniu 1404 roku niejaki Jacques, młynarz ze wsi Martigny, wybrał się do Mougins-la-Fontaine, żeby obejrzeć nowe koła młyńskie w tamtejszym młynie. Kiedy wrócił do domu, źle się poczuł. Początkowo wydawało się, że z powodu upału, i położył się, żeby odpocząć. Niestety, dostał wysokiej gorączki i po paru dniach zmarł. Wkrótce zmarła jego żona Jehane i pięcioro dzieci. Przeżyła tylko ich pięcioletnia córeczka. Potem zapadli na tę dziwną gorączkę najbliżsi sąsiedzi młynarza.

W tych czasach to nic niezwykłego, pomyślał Thomas. Ale strach przed zarazą, na pewno wciąż żywy w niespełna jedno pokolenie po spustoszeniach czarnej śmierci, przyczynił się do nerwowej atmosfery w wiosce. Po śmierci rodziny młynarza pewien trzynastolatek o imieniu Piers zaczął twierdzić, jakoby Jacques powiedział żonie i dzieciom, że pani na zamku w Mougins-la-Fontaine, Béatrice de Waremme, wdowa po Bernardzie d'Orbais'm, wysłała do niego i osobiście poczęstowała dziwnym napojem. Według Piersa wymówiła kilka słów w języku, którego zdumiony Jacques nie zrozumiał, i robiła jakieś dziwne znaki.

Wiść o tym błyskawicznie się rozniosła. Nagle wszyscy wiedzieli na pewno, że pani Béatrice i jej stara służąca Mahaut, zwłaszcza ona, były dobrze znanymi czarownicami, które miały swoje ciemne sprawy i coś kombinowały z ziołami i zaklęciami. Kiedy w Martigny zachorowała jeszcze jedna rodzina, grupa wzburzonych mieszkańców, głównie młodych mężczyzn i przypuszczalnie pijanych, postanowiła rozprawić się z czarownicami. Przebyli pieszo siedemnaście kilometrów dzielących ich od Mougins-la-Fontaine i wdarli się do zamku, którego pilnowało zaledwie kilku starych, niedołężnych żołnierzy. Odszukali Béatrice de Waremme i bez zbędnych ceregieli zabili ją, trójkę jej małych dzieci, starą Mahaut i wszystkich, którzy usiłowali im przeszkodzić w dotarciu do sypialni pani.

Po dokonaniu krwawego dzieła dotarło do nich, że się zbyt pośpieszyli i mogą sobie napytać biedy. Ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby się pozbyć wszystkich świadków, którzy widzieli ich we wsi, i z zakrwawionymi pałkami i nożami w garści chodzili od chałupy do chałupy, zabijając każdego, kogo zastali. Przeważnie były to kobiety i dzieci, ponieważ wielu mężczyzn wyruszyło z Bernardem d'Orbais'm na wojnę i razem z nim poległo. Wszystkich wrzucono potem do naprędce wykopanego na polu masowego grobu.

Ale nie udało się utrzymać w tajemnicy, że pani zamku i jej rodzina zniknęła z powierzchni ziemi razem z mieszkańcami wioski. Jeden ze starych wojaków, który próbował

bronić Béatrice de Waremme, przeżył i zdołał się ukryć, kiedy rozgorączkowani młodzi mężczyźni z Martigny znosili ciała do masowego grobu.

W styczniu 1405 roku kilku mieszkańców Martigny stanęło przed sądem, zostali skazani i straceni w okrutny sposób, zgodnie z panującym zwyczajem. Był wśród nich trzynastoletni Piers, który pierwszy rozpuścił plotkę. Ponadto pan na zamku w Martigny, Roland de Bioul, wypłacił odszkodowanie krewnym Béatrice de Waremme.

Najwyraźniej nikt nie poczuwał się do obowiązku rozkopania grobu. Odprawiono kościelną ceremonię w miejscu wskazanym przez jednego z oskarżonych mieszkańców Martigny, a potem wszyscy woleli zapomnieć o tej historii. Może to nie takie dziwne, pomyślał Thomas. Przykre wydarzenie poruszyło wiele osób w okolicy, ale czasy były bezlitosne, zewsząd groziła nagła śmierć, każdy chciał w miarę normalnie żyć.

Znalazł wyjaśnienie sprawy masowego grobu w Mougins-la-Fontaine. Poszło nadspodziewanie łatwo. Ale nie był zadowolony. Docieranie do prawdy, szukanie kontekstów i odpowiedzi na pytania w archiwach zwykle przepelniało go radością, podobną do tej, jaką odczuwał w latach swojej młodości, kiedy udało mu się strzelić ładnego gola albo zagrać smeczka nie do obrony. Prawda miała swój szczególny dźwięk, mocny i pełny, zawsze rozpoznawalny. Dlaczego teraz go nie słyszał?

W każdym razie pójdzie do archiwum w cytadeli, żeby sprawdzić, czy nie ma tam informacji o masakrze w Mougins-la-Fontaine, pochodzących z innych, niekościelnych źródeł.

Dla ojca Domitiena to nic nowego, pomyślał, smutna historia o ciemnocie, przesądach i okrucieństwie.

Znalazł go w innym pomieszczeniu, w głębi biblioteki, i oddał klucz, który wciąż miał w kieszeni marynarki.

– Znalazł pan coś, profesorze? – spytał ojciec Domitien.

Thomas opowiedział o swoim odkryciu.

Ksiądz w zamyśleniu potarł brodę.

– A wie pan, kto dziedziczył po Béatrice de Waremme i jej dzieciach?

Thomas, nieco zaskoczony, pokręcił głową.

– Nie, chciałbym to sprawdzić w archiwaliach cytadeli.

Ojciec Domitien wyjął z kieszeni wizytówkę, napisał kilka słów na odwrocie i wręczył Thomasowi.

– Pamięta pan naszą rozmowę podczas lunchu? Oczywiście w żadnym razie nie chcę ponaglać, ale byłbym nieskończenie wdzięczny, gdyby wspomniał pan małżonce o moim problemie i spytał, czy nie ma jakichś sugestii. Na odwrocie napisałem nazwisko przyjaciółki i imiona jej dzieci, a tutaj jest numer telefonu, pod którym zawsze jestem osiągalny.

Thomas zarezerwował stolik w Aux Armes de Verney na wpół do ósmej. Wychodząc na plac katedralny, spojrzął na zegarek. Szósta. Zdecydował się na szybki wypad do cytadeli, rzut oka na godziny otwarcia archiwum, bo bywały zmienne, i małą czarną z pięknym widokiem.

Ku jego zaskoczeniu ciężkie dębowe drzwi archiwum właśnie zamykała jego doktorantka Michèle Luys.

– Przez dwa miesiące jestem tu na zastępstwie i przy okazji zbieram materiały do dysertacji – wyjaśniła zadowolona. – Super!

Od razu zapewniła, że jeśli pan profesor zechce, będzie mógł korzystać z archiwum w weekendy, bo ona też zamierza wtedy pracować.

Thomas wypił kawę na tarasie w towarzystwie kilku grup turystów, które tradycyjnie kończyły tutaj swoją rundę po Villette. Poniżej rozpościerał się widok na miasto, to kościelne na Île Saint Jean i mieszczańskie na drugim brzegu rzeki, ze średniowiecznymi placami, barokowymi kościołami, secesyjnymi kamienicami i torami kolejowymi. W oddali, w lekkiej mgielce, majaczyła stalownia Forvil i jedyny wielki piec, który się ostał.

Dlaczego nie opuszczało go przykre uczucie niezadowolonia ze swojego znaleziska w archiwum katedralnym? Co się nie zgadzało w tej historii? Czyżby to, że w pewnym sensie przywodziła na myśl artykuł z bulwarówki, obfitujący w szczegóły i wstrząsający, ale powierzchowny? Nieznany sekretarz biskupa nie wyjaśnił, czy osobiście uczestniczył w procesie, czy znał go z relacji. Przypuszczalnie korzystał ze źródeł z drugiej i trzeciej ręki. Kto na przykład opowiedział o tym, jak Béatrice de Waremme daremnie błagała i szlochała, kiedy jeden z mężczyzn z Martigny chwycił za nogi jej najmłodsze dziecko, dziewięciomiesięcznego Guillaume'a, i roztrzaskał mu głowę o kominek? Albo o tym, jak dwie grupy prześladowców schwytały na gościńcu przerażone, uciekające dzieci i zatłukły je na śmierć? Kto wpadł na pomysł, żeby pójść do Mougins-la-Fontaine, i jak doszło do masowej psychozy?

Jeśli mu się poszczęści, może znajdzie odpowiedzi na kilka pytań w archiwum cytadeli.

Martine się spóźniała, ale wziął to pod uwagę. Czekając na nią, zamówił sobie drinka. Dostali dobry, osobny stolik we wnęce z widokiem na rzekę, gdzie mogli w spokoju porozmawiać.

Martine stanęła w drzwiach z wybicciem ósmej, uśmiechnięta, przepełniona oczekiwaniem. Rozpuściła włosy, które pod wieczór zawsze wysuwały się z koka, i miała na sobie nowy brązowy kostium z długą obcisłą spódnicą, dość dziwaczny, ale twarzowy. Przypuszczalnie Tatia uszyła go z czegoś, co wyszukała w jakimś sklepiku ze starociami albo na pchlim targu. Thomas nie wyznawał się na tych kreacjach, ale najczęściej Martine dobrze w nich wyglądała.

Zdecydowali się na zestaw sześciu minidań, a wybór win zostawili kelnerowi, nawet gdyby to miało ich zrujnować.

– Jak ci dzisiaj poszło? – spytała Martine.

Thomas powiedział, co znalazł, i przyznał, że nie jest zachwycony tymi odkryciami.

– Uhm. – Martine zakręciła kieliszkiem. – Jako prawnik, zadałabym pytanie: *cui bono*? Kto mógł zyskać na śmierci Béatrice i jej dzieci? Kto dziedziczył majątek?

– Zabawne. Ojciec Domitien zadał mi to samo pytanie.

– Ojciec Domitien?

– Nowy bibliotekarz w archiwum katedralnym. Poza tym do ciebie też ma pytanie...

Thomas opowiedział o poszukiwaniach przyjaciółki z młodości, która przyjechała do Villette w roku 1961 i zniknęła.

– Przedziwny zbieg okoliczności. Wszystko się kręci wokół roku sześćdziesiątego pierwszego. Właśnie ustaliliśmy, że tajemnica Jeanne Demaret może mieć związek z czymś, co się akurat wtedy wydarzyło. Jak się nazywała ta kobieta?

Thomas przepatrzył kieszenie. Przypomnił sobie, że włożył wizytówkę ojca Domitiena do teczki, którą zostawił w szatni.

– Zostawmy to na później – powiedziała Martine, kiedy kelner przyniósł pierwsze danie.

– A tobie jak idzie? – spytał Thomas.

– Sprawdziliśmy fundację stypendialną. Mają mnóstwo pieniędzy, poszczęściło im się w inwestowaniu. W eleganckim biurze w Messières zatrudniają na etacie kierownika kancelarii. Jest młody i zielony i niestety nic nie wie o początkach. Fundacja powstała w styczniu sześćdziesiątego drugiego, kapitał początkowy wniósł związek metalowców i rada gminy

Messières, co roku na wiosnę organizują wielki festyn, żeby pozyskać pieniądze dla fundacji. Poza tym dostali wysoką prywatną darowiznę, większą od związkowej i gminnej razem wziętych. – Martine rozbłyły oczy. – Ale była anonimowa!

– Jak można się dowiedzieć, kto ją przekazał?

– Nie mam pojęcia... Nam się to nie udało. Chyba będę musiała przycisnąć Dolheta albo Daelmansa, myślę, że to ważne. A wiesz, kto dostał dwa pierwsze stypendia w sześćdziesiątym drugim roku? Christine Blanchard, ta z telewizji, i Dominic di Bartolo. Zaraz ci pokażę.

Martine wyjęła z torebki niewyraźną kopię artykułu z „Gazette de Villette” z czerwca 1962 roku. Fotografia przedstawiała dwoje dumnych stypendystów: uśmiechniętą od ucha do ucha dziewczynkę z jasnymi warkoczami i chłopca o ciemnych kręconych włosach, przyłapanego raczej w chwili zadumy niż szczęścia.

– Powinieneś zobaczyć rozanielenie Julie, kiedy oglądała to zdjęcie. Ona naprawdę poważnie myśli o Dominicu, mimo że jeszcze ani razu się z nią nie umówił.

– Jest między nimi spora różnica wieku.

Potem nie rozmawiali o pracy. Dochodziła północ, kiedy postanowili wrócić do domu taksówką.

Thomas zapomniał wyjąć z teczki wizytówkę ojca Domitiena.

# ROZDZIAŁ 10

Sobota 9 kwietnia 1994

Nico podjął decyzję. Na pewno? Obudził się w sobotni poranek okręcony mokrym od potu prześcieradłem i z pulsującym bólem głowy, chociaż w piątek wieczorem nie wypił ani kropli. Miał wrażenie, jakby spał zaledwie parę godzin. Tak mocno drżały mu ręce, że golił się dwa razy dłużej niż zwykle i zaciął się na brodzie.

Na myśl o śniadaniu poczuł skręt żołądka. Mimo to zaparzył kawę, podgrzał mleko i wyjął wczorajszy chleb, czerstwy i prawie niejadalny. Ale czerstwy chleb powinien podziałać uspokajająco na żołądek. Ani mu się śniło schodzić do piekarni na rogu.

Wprawdzie była sobota, ale przypuszczał, że Martine Poirot zjawi się w Pałacu Sprawiedliwości, bo prowadzi sprawę o morderstwo. Mógłby zadzwonić na centralę i spytać, kiedy będzie w biurze, albo odwiedzi ją w domu. Znał adres.

Nie wiedzieć czemu druga ewentualność wpłynęła na niego krzepiąco. Rozmowa z sędzią śledczą sam na sam, bez kancelistki, była niczym ostrożne zanurzenie stopy w morzu, zanim się człowiek rzuci na głęboką wodę.

Poza tym miał inne powody, dla których wolałby się spotkać tylko z Martine Poirot.

Problem polegał na tym, że zaczął się bać. Od czwartku, odkąd usłyszał za sobą kroki, czuł, że ktoś go obserwuje. Idąc ulicą, mimowolnie napinał mięśnie karku, a kiedy odwracał głowę, nigdy nie zauważył nic podejrzanego. Może popadał w obłąd.

Ale przecież Jeanne zginęła.

Samochód zostawiał w biurowym garażu, bo tam miał lepsze miejsce niż na Rue Abélard, poza tym gdyby go potrzebował, wystarczył pięciominutowy spacer. Ale jeśli rzeczywiście go obserwują, jak się zachowają, widząc, że idzie po samochód w sobotę o ósmej rano?

Zamówi taksówkę. Boże, ja naprawdę zaczynam wpadać w obłąd, pomyślał, wylewając zimną kawę do zlewu. Mimo to nie zawahał się, kiedy uzyskał połączenie z centralą taxi.

– Poproszę o taksówkę na Rue Héloïse siedem. Dziękuję.

Szybko wyjął marynarkę z szafy, dwa razy przekręcił klucz w zamku i zbiegł po schodach. Jego mieszkanie zajmowało dwa ostatnie piętra. Zamiast wyjść przez bramę na Rue

Abélard, otworzył tylne drzwi, przeciął niewielkie podwórze z drzewami wiśni i znalazł się w sąsiednim kwartale. Brama, o czym wiedział, nie była zamknięta. Taksówka już czekała na Rue Héloïse.

– Clos des Abeilles w Abbaye-Village.

Odczuł coś w rodzaju ulgi. Przejeżdżali przez most, oddalając się od miasta ku wzgórzom po drugiej stronie rzeki. Teraz nie było już odwrotu.

Kiedy zapłacił i zobaczył, jak taksówka odjeżdża, czym prędzej dopadł dzwonka przy drzwiach wąskiego czterokondygnacyjnego białego domu przy Clos des Abeilles, żeby się w ostatniej chwili nie rozmyślił.

Na szczęście otworzyła Martine Poirot, a nie jej mąż. Chyba niedawno się obudziła, była świeżo po kąpieli, miała wilgotne włosy, czarne długie spodnie i biały frotowy szlafrok. Widząc go za progiem, przez chwilę wydawała się zaskoczona.

– Dominic! Jaka niespodzianka! – Uśmiechnęła się na powitanie. – Wchodź, napijemy się kawy!

Po wczorajszej rozpuście – jak skomentował zadowolony z siebie Thomas – Martine spała dłużej, niż zamierzała, i dopiero przed ósmą wzięła kąpiel. Szybko się ubrała i poszła do kuchni przygotować śniadanie, podczas gdy Thomas brał prysznic. Mleko skwaśniało, ale lada chwila powinien przyjechać mleczarz. Wylała je i umyła butelkę.

Potrzebowała mnóstwa kawy i nastawiła wodę w dużym dzbanku.

Usłyszała dzwonek do drzwi. Mleczarz, jak na zawołanie, pomyślała. Ale za drzwiami stał Dominic di Bartolo.

Patrzyła na niego zdumiona. Ani razu nie widziała eleganckiego Dominica bez krawata, a teraz wyglądał jak wyłowiony z rzeki i odwirowany w suszarce, niechlujnie ogolony, z przekrwionymi oczami, w rozchełstanej niebieskiej koszuli i źle dobranej marynarce. Co on tu, u licha, robi?

– Dominic! Jaka niespodzianka! Wchodź, napijemy się kawy!

Zaprowadziła go do jadalni, gdzie już ustawiła filiżanki. Thomas wciąż był pod prysznicem, słyszała, jak śpiewa *La donna è mobile* i szum wody w tle. Przyniosła trzecią filiżankę.

– Na pewno się zastanawiasz, co ja tutaj robię – odezwał się Dominic bezbarwnym głosem.



Pokiwała głową.

– Przyszedłem, bo mam informacje, które mogą mieć znaczenie dla wyjaśnienia sprawy morderstwa Jeanne Demaret i mają związek z czymś, co się wydarzyło trzydzieści trzy lata temu i o czym, jak sądzę, wiem tylko ja, nie licząc Jeanne i osób bezpośrednio w to zamieszanych.

Mówił tak szybko, że słowa niemal się o siebie potykały.

– Ale Dominicu... jeśli to rozmowa służbowa, wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że zgodnie z procedurą powinna być przy niej obecna moja kancelistka.

– Tak. Mimo to, jeśli pozwolisz, chciałbym ci o tym powiedzieć w cztery oczy. – Uśmiechnął się blade. – Potem oczywiście jestem gotowy zeznać wszystko do protokołu, jak należy, z sygnaturą, pieczęcią i tak dalej. Ale jak się przez tyle lat nosi taki ciężar...

Thomas zszedł z piętra, wesoło pogwizdując.

– Idę do piekarni, Martine. Co kupić?

Wetknął głowę do jadalni i drgnął na widok gościa. Naturalnie znał Dominica di Bartolo, spotkał go trzy albo cztery razy i wymienili zdawkowe uprzejmości. A teraz siedział u nich w jadalni w sobotę o wpół do dziewiątej rano. Czy miało to coś wspólnego z Julie? Wszedł i uścisnął mu dłoń.

Martine odprowadziła go do hallu.

– Kup duże opakowanie croissantów – powiedziała cicho – i przejdź się na rynek po gazety. I nie spiesz się, bo Dominic chyba mi wyjawia tajemnicę Jeanne Demaret.

Dominic wydawał się bardziej opanowany, kiedy Martine wróciła do jadalni.

– Jak chcesz, możesz robić notatki albo nagrywać, jeśli masz magnetofon – zaproponował i zaczął opowiadać.

Cofnął się do początku lat sześćdziesiątych, kiedy jako najmłodszy z pięciorga dzieci włoskiego górnika z napływowej siły roboczej w Belgii mieszkał w Aubermont z rodzicami, trzema siostrami i ze starszym o pięć lat bratem Danielem, którego wielbił.

W sierpniu 1961 roku, podczas kryzysu kongijskiego, do Messières przybyła grupa kongijskich uchodźców i została zakwaterowana w starym, opuszczonym budynku wiejskiej szkoły w Aubermont, usytuowanej na wzgórzu opodal wioski, w której nie było wody ani kanalizacji.

– Nie pytaj, dlaczego tam trafili ani kto ich tam umieścił. Wiem, że wtedy niewielu czarnych uchodźców z Konga przyjeżdżało do Belgii, ale wkrótce zrozumiesz, że nie miałem

ochoty tego dociekać. Mogło ich być od pięćdziesięciu do stu, nie znam dokładnej liczby, dużo kobiet i dużo dzieci, kilku starców i kilku młodych chłopaków. Dla mnie to było bardzo ciekawe, nigdy przedtem nie widziałem tylu czarnych ludzi. Poszedłem tam z kolegami i rozmawiałem z dziećmi, które mówiły po francusku tak jak my, i bawiliśmy się z nimi przez całe popołudnie. Dobrze zapamiętałem pewną dziewczynkę, miała na imię Marie-Félice i była taka słodka, że tamtego popołudnia trochę się w niej zakochałem...

Dominic sięgnął po portfel do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął małe czarno-białe zdjęcie i podał Martine.

Przedstawiała mniej więcej dziesięcioletnią, mlecznoczekoladową dziewczynkę, która miała dwie białe kokardy we włosach i sukienkę ze śnieżnobiałym kołnierzykiem, ozdobioną haftowanymi kwiatami. Ufnie patrzyła w obiektyw błyszczącymi oczyma. Obok niej stał puciołowaty ciemnoskóry pięciolatek i wpatrywał się ze zdumieniem w fotografa. Na odwrocie widniała napisana ołówkiem okrągłym dziecięcym pismem spłowiała dedykacja: „Dla Dominique’a od Marie-Félice”.

– Była bardzo dumna z tego zdjęcia. Dała mi je na pamiątkę i mieliśmy się znowu spotkać, żeby się pobawić. Ten chłopczyk to jej młodszy brat Christophe.

– Ona ma jaśniejszą karnację.

– Tak, powiedziała, że jej tata jest Belgiem, w czym chyba nie ma nic dziwnego. Tamtego lata mój brat Daniel o zmierzchu zniknął z domu. Latem spaliśmy w dobudówce, miała osobne wejście, więc nikt oprócz mnie nic nie widział, a ja nigdy bym go nie wydał. Wieczorem tego dnia, kiedy poznałem Marie-Félice, wymknął się jak zwykle. Wrócił wyjątkowo późno, kompletnie załamany. Spytałem, co się stało. Początkowo nic nie mówił, ale potem się otworzył, chciał to z siebie wyrzucić. – Dominic popatrzył przed siebie pustym wzrokiem. – Gdybyś wiedziała, ile razy żałowałem, że mi powiedział.

Daniel di Bartolo powiedział, że tamtego wieczoru grupa hałaśliwych nastolatków włóczyła się po wsi. Przypuszczalnie trochę wypili. Kilku ich rówieśników z kwatery dla uchodźców na wzgórzu wybrało się tam po wodę i doszło między nimi do utarczki słownej. Wieczorem rozeszła się pogłoska, że paru kongijskich chłopaków zaczepiało jedną z dziewcząt z Aubermont i może próbowało ją zgwałcić.

– Chyba nie było w tym grama prawdy – powiedział Dominic. – W każdym razie ci z wioski coraz bardziej się nakręcali i kiedy się ściemniło, postanowili pójść do szkoły, żeby wyrównać rachunki.

Dominic mówił teraz wolniej, zacinął się, robił długie pauzy.

Przyszli do kwatery uchodźców i załomotali w drzwi. Były zamknięte i nikt nie otwierał. Po chwili ktoś zaproponował, żeby przed wejściem rozpalili ognisko i ich „wywabić”. I rozpalili przy użyciu kanistra benzyny i zapalniczki. Ogień raz-dwa się rozprzestrzenił, stary budynek szybko stanął w płomieniach. Kiedy ludzie wewnątrz zaczęli się budzić, paliło się na całego. Nie mogli otworzyć drzwi. Wyglądało na to, że nikt nie ma klucza. Dominic wciąż słyszał udręczony głos Daniela, że słyszał krzyk śmiertelnie przerażonych dzieci, uwięzionych w płomieniach.

– Nic nie mogłem zrobić, Nico, nie wiedziałem, co robić, było za późno. Powinienem ich powstrzymać, ale od początku tkwiłem w tym po uszy.

Pożar na wzgórzu widziała cała wieś i wkrótce ruszyła do akcji straż pożarna. Kilku chłopaków zepchnęło na stromą drogę dojazdową wielki głaz i wozy nie mogły dojechać na miejsce.

Okna szkoły były od dawna pozabijane deskami, nie można się było przez nie wydostać, w każdym razie dorośli nie mieli szans...

Martine myślała, że Dominic nie może już być bledszy, niż jest, tymczasem kiedy zbliżał się do końca, pobladł jeszcze bardziej.

– Kilkorgu dzieciom prawie się udało przedostać między deskami. Wśród nich była Marie-Félice. Daniel wiedział, że to ona, bo mu o niej mówiłem. Wepchnęli ją z powrotem w płomień, krzycząc: „Do środka z tym pieprzonym bachorem!”. Kiedy Daniel mi to powiedział, nie chciałem już o niczym słyszeć, zatkałem uszy i wybiegłem z pokoju. Potem długo siedziałem pod drzewem i trząsałem się od płaczu. – Dominic umilkł, drżały mu ręce, na czole perlił się pot. – Kiedy wróciłem, Daniel nie żył. Powiesił się na haku od lampy. Czulem, że to przeze mnie, że zobaczył obrzydzenie na mojej twarzy i nie mógł tego znieść.

Martine miała wrażenie, jakby ktoś wymierzył jej cios w żołądek. Czy powinna Dominica jakoś pocieszyć? Nie była w tym dobra. Milczała, dopóki nie opanował drżenia dłoni.

– Twój brat – zaczęła – to nie twoja wina, nie potrafił żyć ze świadomością tego, co zrobił, mimo że trzymał się na uboczu.

Dominic pokiwał głową.

– Jeanne mówiła to samo. Jeanne Demaret.

– Więc ona też wiedziała?

– Tak, obudziły ją syreny wozów strażackich, ubrała się i pojechała rowerem do szkoły, żeby zobaczyć, co się dzieje, a kiedy dotarła na miejsce, było po wszystkim. Po drodze spotkała Daniela i on jej powiedział...

– A co było w dzień po pożarze?

– Nic! To niepojęte. Jakby się kompletnie nic nie stało. Chyba ukazała się jakaś wzmianka w „Gazette de Villette”, że spaliła się stara szkoła. A gdyby ktoś pytał o uchodźców, to zostali przewiezieni do Brukseli. Zresztą nikogo to nie interesowało. W mojej rodzinie myśleliśmy tylko o śmierci Daniela, totalnej katastrofie, której nic nie zapowiadało.

– Ale przecież ty wiedziałeś, dlaczego to zrobił, i milczałeś?

– Tak – przyznał z goryczą w głosie. – Rodzice i siostry byli kompletnie załamani, nie chciałem ich dobijać opowieścią o tym, że ich ubóstwiany Daniel brał udział w linczu, w którego wyniku zginęło w płomieniach kilkadziesiąt kobiet i dzieci.

– To musiał być dla ciebie wielki ciężar.

– Nie do zniesienia. Zacząłem wagarować, niewiele brakowało, żebym zszedł na złą drogę. Uratowała mnie Jeanne. Domyślała się, że wiem, co się wydarzyło. Pewnego dnia zaprosiła mnie do siebie, powiedziała, że wie, i od tamtej pory byliśmy cichymi sprzymierzeńcami. Przypuszczalnie zawdzięczam jej życie.

– Ale co się właściwie stało? Jak to wyciszono i dlaczego Demaret zgodziła się dochować tajemnicy?

– Powiedziała, że kiedy tamtej nocy przyjechała pod szkołę, zastała Jacques’a Daelmansa, Guya Dolheta i wielu mężczyzn z wioski i ze związku. Grzebali ciała, postanowili wyciszyć sprawę dla dobra społeczności. I chłopców. Jeanne przekonał do milczenia ich argument, że niektórzy nie skończyli nawet piętnastu lat i że przez wzgląd na ich przyszłość i przyszłość tych, którzy w niczym nie zawinili, będzie lepiej, jeśli nic nie wyjdzie na jaw. Zgodziła się. Ale do końca życia to nie dawało jej spokoju. Dlatego wybrała samotność.

– Wczoraj rozmawiałam z Justinem Willemartem.

– Tak, Justin... Bolała nad tym. Zresztą on nie był jedyny.

– Czy oprócz tych bezpośrednio zamieszanych wiedział o tym ktoś jeszcze?

– Nie, chyba tylko Jeanne i ja. Ty jesteś trzecia.

Milczeli przez chwilę. Na twarz Dominica zaczęły wracać kolory.

– Ale teraz chodzi o to, kto zabił Jeanne. Jeśli dobrze zrozumiałem, macie powody do przypuszczeń, że w końcu postanowiła mówić, prawda?

Martine powiedziała o zaginionym liście i ostatnich słowach Jeanne Demaret.

– Musiała uprzedzić mordercę, że zamierza wszystko ujawnić, i od tego powinniśmy zacząć. Kto tam wtedy był?

– Nie wiem. Daniel nie wymienił żadnych imion. Mniej więcej się orientuję, z kim się zadawał, i dużo o tym myślałem. Jest jedna osoba, o której ostatnio głośno w mediach, która miałaby poważne kłopoty, gdyby ta sprawa wyszła na jaw. To André Fontaine.

– André Fontaine? Nasz lokalny Führer? Ten, który opowiada w wywiadach, że dla ochrony belgijskiej kultury i tradycji musimy się pozbyć z kraju wszystkich czarnuchów, ale, rzecz jasna, przy użyciu pokojowych, parlamentarnych metod?

– Tak. Mieszkał w Aubermont, był trochę starszy od Daniela. Jego ojciec, lekarz, stoczył się przez alkohol, stracił pacjentów, musiał sprzedać duży dom w Luton i przenieśli się do rudery w Aubermont. André był wtedy dość... rozwydrzony.

Martine zapaliły się czerwone światełka. Gazeta w salonie Jeanne Demaret otwarta na artykule kontynuującym wątek podjęty w programie telewizyjnym Christine Blanchard o André Fontainie i Nicolasie Forgeronie. André Fontaine chwalił się swoimi wysokimi notowaniami i zapewniał o niezmiennej intencji posiłkowania się metodami pokojowymi. Czy Jeanne Demaret zażądała od niego, żeby wycofał swoją kandydaturę, i postanowiła przerwać milczenie, jeśli będzie obstawał przy swoim?

Zamknięcie faszysty Fontaine'a byłoby czystą przyjemnością!

Nie mogła jednak zapominać, że Fontaine nie działał sam. Miał w swoim ruchu ochoczych pomagierów, gotowych na każde jego wezwanie.

– Czy przyszły ci do głowy inne nazwiska? Kogoś, kto bardzo dużo by stracił, gdyby ta sprawa wypłynęła?

Dominic wahał się.

– Nie – powiedział po chwili. – Chyba nie. Fontaine jest najbardziej oczywistym kandydatem.

Martine słuchała go jednym uchem, już układała plany na ten dzień. Muszą natychmiast pojechać do Pałacu Sprawiedliwości. Musi ściągnąć Julie i formalnie spisać relację Dominica. Musi wezwać Christiana de Jonge'a

i Annick Dardenne i wysłać kogoś do obserwacji Fontaine'a. A może od razu go zatrzymać? Nie, za mało wiedzą. Gdyby tylko mogli wydobyć billingi od tego pioruńskiego Belgacomu, żeby sprawdzić, czy nie było jakichś połączeń z Fontaine'em! No i musi wziąć w obroty Guya Dolheta. Albo Jacques'a Daelmansa. Albo jednego i drugiego.

Thomas wszedł z gazetami pod pachą i dwiema torbami pieczywa.

– Nie będzie śniadania – powiedziała podekscytowana Martine. – Musimy natychmiast jechać do Pałacu.

Włożyła notatnik do torebki.

– Pojedziesz w szlafroku? – przyjaźnie spytał Thomas.

– Oj!

Martine pędem wbiegła na piętro i wróciła w rekordowo krótkim czasie. Do spodni włożyła biały T-shirt i brązowy żakiet.

– Nie mamy samochodu – przypomniał Thomas. – Wczoraj wróciliśmy taksówką.

– Jasny gwint! Ale Dominic na pewno przyjechał samochodem.

Dominic pokręcił głową.

– Nie, taksówką.

– Przed chwilą widziałem taksówkę na Rue de l'Abbaye. – Thomasowi zaczęło się udzielać ogólne podniecenie. – Kierowca podprowadzał starszą panią Roch pod drzwi jej domu. Jeśli się pospieszycie, powinniście go złapać.

– Idę – powiedział Dominic i ruszył w kierunku głównej ulicy, podczas gdy Martine porywczo usiłowała rozczesać wilgotne włosy.

Nigdy nie zapomni tego, co usłyszała. Miała wrażenie, jakby fale dźwiękowe docierały do niej w spowolnionym tempie. Ryk silnika. Głuchy łoskot. Kobięcy krzyk.

Wybiegła na ulicę, Thomas tuż za nią. Dominic leżał na Rue de l'Abbaye w kałuży krwi. Przy nim stała kobieta.

– Zrobił to naumyślnie! – krzyknęła histerycznie. – Zrobił to naumyślnie!

Z najbliższych domów zaczęli wychodzić ludzie. Martine kucnęła przy Dominicu i ujęła go za nadgarstek. Wyczuła słaby puls. Przykryła go żakiem.

– Wezwać karetkę, wezwać policję! – wrzasnęła dzikim głosem.

Zobaczyła, że Thomas już wrócił do domu, żeby zadzwonić. Miała takie uczucie, jakby do przyjazdu karetki minęły całe wieki, dopiero potem zorientowała się, że trwało to niespełna dziesięć minut. Ledwie karetka zatrzymała się z włączonymi syrenami, z naprzeciwka nadjechał radiowóz lokalnej policji, a chwilę później z Pałacu Sprawiedliwości, z Christianem de Jonge'em na tylnym siedzeniu. Z wdzięcznością pomyślała o Thomasie, który nawet o to się zatroszczył.

– Gdzie go zabieracie? – spytała sanitariusza, kiedy nieprzytomny Dominic był już w karetce.

– Do Saint-Sauveur.

– To monsieur di Bartolo z Pałacu Sprawiedliwości, nie może zostać sam, to było usiłowanie zabójstwa! – poinformowała sanitariusza, po czym zwróciła się do Christiana de Jonge'a: – Dzwoni do Pałacu i załatw mu ochronę! Możesz skorzystać z mojego telefonu, mieszkam tuż za rogiem.

Policjanci z miejscowego posterunku już zaczęli przesłuchiwać świadków wypadku. Martine dogoniła Christiana i streściła mu relację Dominica.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie jest Fontaine i co robił dzisiaj rano! Zobaczmy, czy tym razem będziemy mieli więcej szczęścia w odnalezieniu samochodu.

Christian obrzucił ją zamyślonym spojrzeniem.

– Mówisz, że Demaret i di Bartolo to jedyne osoby postronne, które o tym wiedziały? I oboje padli ofiarą „wypadku”? A teraz ty jesteś tą trzecią? Uważam, że powinniśmy razem pojechać do Pałacu radiowozem.

– Teraz ty też już wiesz.

– Im nas więcej, tym lepiej.

Thomas widział, jak odjeżdżają. Nagle, po półgodzinnej nerwówce, nastała cisza, a jego ciągle nosiło i czuł się zbędny. Wyrzucony poza nawias. Chciałby, żeby Martine przynajmniej w kilku słowach napomknęła o sensacyjnych tajemnicach wyjawionych przez di Bartolo. „Lepiej, żebyś nie wiedział” – szepnęła mu do ucha, pocałowała w policzek i wsiadła do samochodu.

Był dumny z jej pracy, nigdy nie marzyła mu się potulna kura domowa. Jego matka więcej czasu spędzała w atelier niż w kuchni i Thomas widział, z jakim zdumieniem patrzy na szpatułkę albo mątwkę, jakby nie miała pojęcia, co trzyma w ręku. „To tylko rzeczy doczesne!” – mówiła chórem czwórka dzieci Hégerów, kiedy coś się przypaliło albo rozgotowało.

Jeśli było ich stać, zatrudniali gosposię, niestety nieczęsto, więc Thomas i jego siostry musieli sobie radzić sami, kiedy Eva zamykała się w atelier, żeby się wywiązać z jakiegoś dużego zlecenia. Ale bywały takie chwile, w których dopadały Thomasa myśli bluźniercze, i nie miałby nic przeciwko temu, gdyby Martine preferowała życie rodzinne.

Mimo że sobie tego nie wyobrażał. Przecież znał ją na wylot. Po pierwsze, powodowało ją autentyczne poczucie sprawiedliwości i niewiara w autorytety, co wyniosła z dzieciństwa, kiedy jej ojciec został fałszywie oskarżony w nigdy niewyjaśnionym, mocno naciąganym procesie. Po drugie, zawsze chciała zaimponować rodzicom, żeby dowieść swojej przewagi nad Philippe'em. Choć rodzice już nie żyli, a Philippe dawno temu odpadł z konkurencji, Martine wciąż tym żyła. Żądza sławy tliła się w niej spokojnym, acz gorącym płomieniem.

Równie dobrze może zjeść croissanty, które niepotrzebnie kupił. Zaniósł je do jadalni razem ze świeżo zaparzoną kawą i mlekiem i zasiadł do lektury „Gazette de Villette”, „Le Soir”, „Libération” i „The Independent”.

Na stole leżała mała czarno-biała fotografia. Dwoje dzieci. Nigdy jej nie widział. Pewnie zostawił ją di Bartolo. Na odwrocie przeczytał: „Dla Dominique'a od Marie-Félice”.

Marie-Félice, rzadkie imię, ale gdzieś je niedawno słyszał. Myślał przez chwilę, poszedł do gabinetu i wyjął z teczki wizytówkę ojca Domitiena.

No tak, „Cécile, Marie-Félice i Christophe Naigiziki”.

Nie do końca wiedział, dlaczego od razu sięgnął po telefon i wybrał numer do Domitiena Rollanda. Chciał coś zrobić, chciał poczuć, że może mieć choćby częściowy udział w śledztwie, które całkowicie pochłonęło Martine.

Ojciec Domitien odebrał po trzecim sygnale.

– Dzień dobry, nazywam się Héger, wczoraj poznaliśmy się w bibliotece i pytał mnie ojciec, czy mógłbym porozmawiać z żoną o pana zaginionych znajomych. Mam przed sobą zdjęcie dwojga dzieci, podpisane przez kogoś o imieniu Marie-Félice. Myślę, że ma to coś wspólnego ze śledztwem, które prowadzi moja żona.

– Czy mógłby pan, profesorze, opisać to zdjęcie? – spytał ksiądz z niekłamaną ekscytacją.

– Zrobiono je trzydzieści–czterdzieści lat temu i przedstawia, jak sądzę, mniej więcej dziesięcioletnią dziewczynkę i pięcioletniego chłopca. Oboje są czarni, ale dziewczynka ma jaśniejszą karnację.



– To by się zgadzało. Chciałbym obejrzeć to zdjęcie. Czy moglibyśmy się spotkać? Na przykład jutro?

– Oczywiście. Jutro z samego rana wybieram się do archiwum w cytadeli.

– Co pan profesor na to, gdybyśmy się umówili w Café de la Cathedrale o jedenastej?

– Znakomicie.

Thomas poczuł się trochę lepiej, kiedy zasiadł wreszcie do spóźnionego śniadania i lektury gazet. Może zrobi Martine niespodziankę, znajdując świadka, który ma dla niej nowe i ważne informacje.

# ROZDZIAŁ 11

Sobota 9 kwietnia 1994

Christian de Jonge wysłał patrol pod dom André Fontaine'a na Rue d'Espagne. Nie najlepszy adres, bo trochę za blisko dzielnicy dziwek na tyłach Boulevard de Hainaut, ale dostatecznie blisko imigranckiego getta po drugiej stronie stacji kolejowej. W domu mieścił się gabinet lekarski i główna siedziba Front Patriotique Belge.

Patrol zameldował, że rano Fontaine jadł śniadanie w towarzystwie żony, a jego samochód, ciemnozielone renault safrane, stał przed domem. Silnik był chłodny, poza tym sąsiadka potwierdziła, że małżonkowie Fontaine nawet nie wyszli za próg. Wypatrywała ich zza firanki, żeby – ledwie któreś z nich się pokaże – wygarnąć, co jej leży na wątrobie. Miała dosyć rozlepiania na ulicy emblematów FPB, czym się zajmowali zwolennicy Fontaine'a. Dlatego była pewna, że żadne z nich nie wyszło z domu.

– Jasna cholera! – krzyknęła Martine, uderzając pięścią w stół.

Z przyjemnością wsadziłaby Fontaine'a.

– Mógł to oczywiście zrobić ktoś z jego grupy szturmowej od brudnej roboty – powiedział Christian. – Uczynna sąsiadka Fontaine'a skarżyła się, że młodzi ludzie w czarnych skórzanych kurtkach kręcą się tam o każdej porze dnia.

– Tak, ale potrzebujemy dowodów.

Martine zdawała sobie sprawę, że mają tylko domysły Dominica i artykuł o Fontainie, który Jeanne Demaret mogła przeczytać, zanim wyszła z domu i została przejechana. Oględnie mówiąc, cieniutko.

Gdyby chociaż ten pioruński Belgacom dostarczył im billingi! Zmuszenie Belgacomu do zrobienia czegokolwiek w weekend graniczyło z nie lada wyczynem, porównywalnym do obudzenia siedmiu braci śpiących z Efezu, ale nie zaszkodzi spróbować.

– Czy ktoś mógłby się dowiedzieć, kto jest najważniejszą osobą w Belgacomie w Vilette?

Martine rozejrzała się po zgromadzonych w pokoju konferencyjnym. Oprócz Julie, Christiana i Annick Dardenne był doproszony dodatkowy sekretarz i dwóch młodych policjantów z wydziału kryminalnego prokuratury z trzeciego piętra.

– De Kooning – poinformowała po chwili Julie. – Ludo De Kooning.

– Zadzwoń do niego do domu i powiedz, że chcę z nim rozmawiać.

Ludo De Kooning był zaskoczony i lekko zaniepokojony, jak doskonały biurokrata w średnim wieku, kiedy o godzinie jedenastej w sobotę odbiera telefon od sędziego śledczego.

Martine przybrała najmiłszy z możliwych ton głosu.

– Martine Poirot z Pałacu Sprawiedliwości. Dzień dobry, monsieur De Kooning. Wysłaliśmy do was formalną prośbę o wykaz połączeń, które są nam potrzebne w bardzo ważnym śledztwie w sprawie morderstwa... Ach tak, wie pan, że przyszła w czwartek? Więc dlaczego nie otrzymaliśmy wykazu?

Ludo De Kooning wyjaśnił, że osobiście nie widział pisma z Pałacu Sprawiedliwości, jedynie o tym słyszał. Ale naturalnie musi ono przebyć rutynową drogę służbową, zanim trafi na jego biurko do ostatecznej akceptacji. Teraz przypuszczalnie jest w poczcie wewnętrznej.

– Mogę panią zapewnić, że wydam decyzję pozytywną natychmiast po jego doręczeniu w poniedziałek, następnie w ciągu dnia przygotujemy wykaz i we wtorek dotrze do pani – rzekł z dumą.

Martine zacisnęła zęby.

– Czy nie można by tego trochę przyspieszyć? Wykaz jest mi potrzebny już teraz. Dzisiaj doszło do usiłowania zabójstwa i więcej osób może być w niebezpieczeństwie. Wykaz może się okazać dowodem niezbędnym do ujęcia mordercy.

– To niemożliwe, dzisiaj biuro jest zamknięte – sztywno odparł De Kooning.

– A czy pan jest zorientowany, co należy zrobić, żeby uzyskać wykaz?

– Owszem – przyznał niechętnie – ale, jak powiedziałem, jeszcze nie miałem w ręku waszej formalnej prośby.

Martine dostrzegła malutką furtkę.

– Moglibyśmy wysłać do pana samochód z nową prośbą i podwieźć pana do biura. Proszę pomyśleć o tym, że może pan uratować czyjeś życie – powiedziała z przekonaniem.

De Kooning wahał się.

– No dobrze, przynajmniej podrzucicie mnie do miasta i nie będę musiał się rozglądać za wolnym miejscem na parkingu.

– Czy przysłać samochód cywilny?

Roześmiał się. Po podjęciu decyzji był chętny do współpracy.

– Nie, przyjedźcie radiowozem, dzieci będą zachwycone.

Julie szybko napisała nową prośbę o wydanie billingów.

Martine podpisała ją, włożyła do koperty i wręczyła Annick Dardenne.

– Jedź do De Kooninga i nie spuszczaaj go z oka, dopóki nie dostaniesz wykazu!

Samochód, który uderzył w Dominica, według relacji jedyne go świadka czarne bmw, znalazł się na parkingu przy ruinach klasztoru. W żaden sposób nie popchnęło to sprawy naprzód. Został skradziony, o czym właściciel osobiście poinformował policjantów na miejscu wypadku. Zostawił go z kluczykiem w stacyjce przed kioskiem na Rue de l'Abbaye. „Chciałem tylko wyskoczyć po gazetę”.

Sprawca przypuszczalnie miał na parkingu inny samochód. Rano zawsze stało tam dużo aut. Goście Chez l'Abbesse Mathilde zwykle je tam zostawiali, kiedy decydowali się na powrót do domu taksówką po wypiciu zbyt wielu butelek wina.

– To zastanawiające, że akurat wtedy stał sobie samochód, w który wystarczyło wsiąść i odjechać – powiedział Christian, marszcząc czoło. – Myślę, że powinniśmy się przyjrzeć trochę bliżej właścicielowi bmw.

Już nadchodził Jacques Daelmans. Martine wolała wezwać jego zamiast Guya Dolheta z tej prostej przyczyny, że mimo wszystko był z nim łatwiejszy kontakt.

Usłyszała jego głos daleko na korytarzu. Nawet w Pałacu Sprawiedliwości Długi Jacques miał komu uścisnąć dłoń i poklepać po plecach. Przejście kilkudziesięciu metrów zajęło mu pięć minut.

Wszedł, podał rękę Christianowi, spytał Julie, jak się miewa jej babcia, z innymi przywitał się skinieniem głowy i zwrócił się do Martine:

– U pani w gabinecie?

Przytaknęła. Ruszył przodem. Gdyby była mężczyzną, na pewno przejąłby inicjatywę i usiadł pierwszy, ale teraz nie pozwalała mu na to galanteria.

Martine usiadła za biurkiem i gestem poprosiła, żeby zajął miejsce na krześle dla gości. Christian usiadł w fotelu na ukos za Daelmansem, a Julie jak zwykle obok Martine.

Daelmans odchylił się i założył nogę na nogę. Wysoki szczupły sześćdziesięciosiedmiolatek o brązowych oczach i gęstych siwych włosach. Za młodu na pewno świetnie się prezentował, pomyślała Martine. Jego czarna skórzana kurtka wyglądała na drogą. Najwyraźniej mu nie przeszkadzało, że siedząc na niskim krześle, znalazł się wobec niej w pozycji podporządkowanej.

– Chyba pani rozumie, madame Poirot, że jestem ogromnie ciekaw, dlaczego zostałem tutaj wezwany w sobotę rano – odezwał się Daelmans.

– Muszę panu zadać kilka pytań dotyczących pewnych wydarzeń, do których doszło w Aubermont szesnastego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku.

Daelmans wyprostował się na krześle.

– Nico di Bartolo!

Nie było to pytanie, więc Martine milczała.

– Czasami się zastanawiałem, czy Daniel z kimś rozmawiał przed śmiercią. A Dominic, cóż, był wtedy dzieckiem, musiało mu być ciężko.

Powiedział to półgłosem, trochę do siebie.

Martine zauważyła, że cały czas zerka na nią kątem oka.

– Wie pan, o jakich wydarzeniach mówię.

Daelmans pochylił się nad biurkiem.

– Zanim zacznę, musimy kilka rzeczy wyjaśnić. W jakiej sprawie jestem przesłuchiwany? Czy chodzi o morderstwo Jeanne Demaret, czy o przestępstwo, które mogło zostać popełnione przeszło trzydzieści lat temu?

Istotne pytanie. Martine też o tym myślała.

– Moje śledztwo dotyczy morderstwa Jeanne Demaret i usiłowania morderstwa Dominica di Bartolo, który jest nieprzytomny i przebywa na oddziale intensywnej terapii.

Jeśli Daelmans udawał zaskoczonego, był genialnym aktorem.

– Ktoś próbował zabić Nica? Kiedy? Gdzie? Jak?!

– Dzisiaj rano w identyczny sposób, w jaki została zamordowana Jeanne Demaret. Ale Dominic żyje. Jeszcze żyje.

– No tak, to zaczyna przekraczać wszelkie granice, nie można dłużej milczeć. Mimo to chciałbym wiedzieć, czy jestem o coś podejrzany i czy będzie mi potrzebny adwokat.

Martine już się upewniła, że przestępstwo, którego Daelmans mógł się dopuścić tamtej nocy trzydzieści trzy lata temu, uległo przedawnieniu.

Uśmiechnęła się ciepło.

– W śledztwie, które prowadzę, nie traktuję pana jako podejrzanego.

– No dobrze, co chce pani wiedzieć?

– Proszę opowiedzieć o tamtej nocy, to, co pan pamięta.

– Dawne czasy... – zaczął po chwili. – Pamiętam, że tuż po północy obudziło mnie walenie do drzwi. Przybiegł jeden z chłopców z Forvilu, nie będę wymieniał nazwisk, był w ochotniczej straży pożarnej, która wyjechała do pożaru starej szkoły w Aubermont. Wszyscy chłopcy byli z Forvilu, większość znałem z pracy albo ze związku. Ten, który mnie obudził, odchodził od zmysłów, bez przerwy krzychał, że „rozpętało się piekło”. Obudziłem Guya Dolheta, mieszkał kilka domów dalej, i pojechaliśmy tam. – Oczy mu pociemniały, jakby dręczyły go wspomnienia. – Na miejscu zastaliśmy zgliszcza. Strażacy nie mieli najmniejszych szans, paliło się na całego, poza tym, żeby dotrzeć na wzgórze, musieli najpierw usunąć z drogi kamienie. Potem się okazało, że nie ma wody. Kiedyś była tam studnia, ale wyschła. Wszyscy, którzy byli w szkole, zginęli. Wszędzie leżały zwęglone ciała, odór był taki... – Uniósł ramiona. – Przez wiele tygodni nie mogłem patrzeć na mięso, jadłem tylko ryby. Kilku chłopców jeszcze tam było, chcieli uciec, ale strażacy ich przytrzymali i powiedzieli nam, co się stało. Bardzo szybko zdecydowaliśmy, że musimy to zatuzować.

– Dlaczego? – ostro przerwała mu Martine. – Uważa pan, że to normalna reakcja na masowe morderstwo?

Pochylił się naprzód i spojrzał jej prosto w oczy.

– To nie było morderstwo, madame Poirot, to był szczeniacki wybryk, który się wymknął spod kontroli! Pomyśleliśmy o wszystkich niewinnych ludziach, których to może dotknąć, o rodzinach tych chłopców, o całej społeczności. Właśnie wtedy w Forvilu zastanawiali się, czy nowy wielki piec budować w Villette, czy w Luksemburgu. Czuliśmy, że gdyby ta historia wyszła na jaw, mogłoby się to źle skończyć dla Villette. Poza tym chłopcy byli bardzo młodzi, paru nie miało nawet piętnastu lat.

Martine pomyślała o zdjęciu, które pokazał jej Dominic, o dzieciach bawiących się na wzgórzu kilka godzin wcześniej, zanim zginęły osaczone przez płomienie i dym.

– Nie czuł pan, że jesteście coś winni dzieciom, które zginęły w pożarze?

– Myśli pani, że nie śniły mi się po nocach...? Pochowaliśmy wszystkich na wzgórzu, wkładanie do dołu małych ciał... Nigdy więcej... Większość z nas była na wojnie, niektórzy widzieli gorsze rzeczy. A oni nie żyli, nie mogliśmy im pomóc.

– I zakopaliście ich jak padlinę?

– Chwilę wcześniej uczciliśmy ich czymś w rodzaju minuty ciszy, nie byliśmy zbyt religijni, nie śpiewaliśmy psalmów, nic z tych rzeczy.

– A potem zatuszowaliście sprawę. To nie było trudne? – spytała Martine z niekłamana ciekawością.

– Droga madame Poirot, nie ma pani pojęcia, jakie to proste, kiedy wszyscy, którzy coś wiedzą, nie chcą, żeby to wyszło na jaw – odparł cynicznie Długi Jacques. – Proszę sobie wyobrazić, że zaledwie parę miesięcy po tym incydencie w Paryżu doszło do dużej demonstracji proalgierskiej. Policja spałowała na śmierć kilkuset uczestników, wrzuciła zwłoki do Sekwany i rzecz nigdy się nie wydała. Mówili mi o tym koledzy ze związku, którzy tam wtedy byli i widzieli to na własne oczy. – Długi Jacques pokręcił głową. – Wierzyć się nie chce. Kilkuset zabitych w centrum stolicy Francji i cisza! Paryskiej policji szefował wtedy Maurice Papon. W porównaniu z nim byliśmy amatorami. W każdym razie zobowiązaliśmy się do zachowania milczenia. Guy i ja odbyliśmy rozmowy z rodzinami chłopców, którzy, jak podejrzewam, porządnie dostali w skórę, i oczywiście wszyscy zgodzili się nic nie mówić. Lokalna policja też nie była zainteresowana nagłaśnianiem sprawy z tych samych powodów, co nasze.

– A dokumenty? Czy uchodźcy nie byli zarejestrowani w gminie?

Daelmans zakasłał.

– Zabrakło na to czasu, nie przebywali tam zbyt długo. Nie figurowali w żadnym rejestrze, a ludzie, których nie ma w papierach, mogą zniknąć bez śladu.

– Więc Jeanne Demaret o tym wiedziała?

– Tak. Biedaczka. Przyjechała rowerem w środku nocy w swojej kropkowanej sukience i o mało nie zwymiotowała wnętrzości, kiedy dotarło do niej, co się wydarzyło.

– I też zgodziła się milczeć?

– Wcale nie była taka chętna. Guy i ja musieliśmy dać z siebie wszystko, rozwodziliśmy się nad tym, że chłopcom może grozić kara śmierci albo dożywocie, mówiliśmy o niewinnych rodzinach i miejscach pracy, aż w końcu się zgodziła. I obiecaliśmy, że założymy fundację stypendialną, o którą wierciła nam dziurę w brzuchu, że to... że to coś w rodzaju pokuty.

– No tak. A teraz jesteśmy tu dlatego, że Jeanne Demaret została zamordowana, ponieważ najprawdopodobniej postanowiła przerwać milczenie. Pozostaje pytanie, kogo mogło to tak bardzo zaniepokoić, że postanowił ją zabić. Jeśli to nie pan ani nie monsieur Dolhet.

Długi Jacques podniósł dłonie w przeczącym geście.

– Madame, osobiście nie mam zbyt dużo do stracenia, kiedy sprawa wyjdzie na jaw. Jestem na emeryturze, wtedy zrobiłem to, co zrobiłem, nie z myślą o sobie, tylko o innych, i nawet jeśli dopuściłem się przestępstwa, zdążyło się już przedawnić. To samo dotyczy Guya.

– Ale obaj chcieliście, żebym przestała się tym zajmować!

Daelmans wzruszył ramionami.

– Nadal uważamy, że z myślą o naszej społeczności byłoby lepiej tego nie ujawniać. Jeanne mogła przecież zginąć w nieszczęśliwym wypadku. Ale targnięcie się na życie Nica to już nie przelewki. Możliwe, że innym też zagraża niebezpieczeństwo.

– Wobec tego przejdźmy do sedna. Którzy chłopcy brali udział w samosądzie tamtej nocy?

Daelmans milczał.

– No, monsieur Daelmans, kto tam był?

– W zasadzie wystarczą pani nazwiska tych, którzy mogliby mieć związek z morderstwem i usiłowaniem morderstwa.

– Sama o tym zdecyduję!

– Dobrze. No więc był Daniel di Bartolo, który tej samej nocy się powiesił, czyli nie wchodzi w grę. Cztery lata później dwóch chłopców poniosło śmierć w Forvilu w wyniku strasznego wypadku przy pracy. Może to sprawiedliwość boska. Ich nazwisk nie musi pani znać. Następny w ubiegłym roku doznał obrażeń w karambolu na autostradzie, jest sparaliżowany i wciąż leży w szpitalu. Jeden został pracownikiem organizacji pomocowych. To pewnie coś w rodzaju pokuty. Przez ostatnie pół roku był w Somalii, więc jego nazwiska też nie podam, chyba że udowodnicie, że to absolutnie konieczne. Następny, Jean-Luc Lelièvre, od zawsze nieco opóźniony w rozwoju, żyje z renty, waży sto pięćdziesiąt kilo i nie sądzę, żeby umiał prowadzić samochód. Michel Pirot też z całą pewnością nie jest tym, którego szukacie, chociaż teoretycznie mógłby być. Siedzi w zarządzie Forvilu, ale przypadkiem wiem, że przez cały tydzień był w Luksemburgu na negocjacjach z ARBED-em. I wreszcie... – Daelmans zawiesił głos i wyglądał jak iluzjonista, który za moment wyciągnie królika z kapelusza. – I wreszcie nasz André



Fontaine, wielki wódz Front Patriotique Belge, nasz waloński Führer, który ma nadzieję na polityczny sukces w czerwcowych wyborach do Parlamentu Europejskiego!

– Myśli pan, że to Fontaine?

– Pani chyba też, prawda? No, niechże się pani do tego przyzna – rzucił ojcowskim tonem. – Niechże się pani przyzna, madame Poirot!

– Proszę powiedzieć o nim coś więcej. Skąd się wziął w grupie chłopców z rodzin robotniczych w Aubermont?

– André Fontaine był prawdziwym łobuzem. – Daelmansowi pociemniała twarz. – Jego zapijaczony ojciec, kompletne zero, przeniósł się na nasze nieszczęście do Aubermont. Śmietanka towarzyska Villette nie chciała go znać, ale André wciąż próbował utrzymywać kontakty ze swoimi kolegami z tak zwanych wyższych sfer. Chyba z miernym skutkiem, bo zaczął się zadawać z naszymi chłopakami. Imponował im, udawał światowca i tak dalej. Poza tym zapraszał na wódkę, której w jego domu nigdy nie brakowało. Od początku myślałem, że to on stoi za tym koszmarnym wybrykiem.

– To wszyscy?

Martine kątem oka zobaczyła, że Christian wstaje i wychodzi z gabinetu, wywołany przez kogoś stojącego na korytarzu.

– Wymieniłem żywych i umarłych, wszystkich, którzy są warci zainteresowania – odparł Daelmans.

Christian wrócił, śmiał się całą twarzą i podniósł do góry dwa kciuki.

– Dziękuję panu – powiedziała Martine. – Tym razem zachował się pan rozsądnie, opowiadając o tym, co się wydarzyło w sześćdziesiątym pierwszym roku. Ale jestem zdumiona, że wcześniej usiłowaliście umorzyć śledztwo. Chcieliście chronić André Fontaine'a?

Daelmans wstał i uściskał jej dłoń.

– Wtedy jeszcze tego nie przemyśleliśmy i nie zdawaliśmy sobie sprawy, że to Fontaine – rzucił przez ramię na odchodne.

Martine ledwie go słyszała, jak najszybciej chciała poznać powody radości Christiana.

Usiadł na krześle, które zwolnił Daelmans, i pochylił się nad biurkiem.

– Dzwoniła Annick z Belgacomu. De Kooning ma pierwsze wykazy. Natychmiast zauważyła, że tydzień przed śmiercią Jeanne Demaret trzy razy łączyła się z Fontaine'em!

Martine wstała i uderzyła dłońmi o blat.

– Mamy go!

Ruszyła z Christianem i Julie do pokoju konferencyjnego na krótką naradę.

– Możemy go zatrzymać? – spytał Christian.

Martine wahała się. Z niekłamaną rozkoszą podpisałyby nakaz aresztowania André Fontaine'a, ale czy miała ku temu dostateczne powody?

– Jeszcze nie. Najpierw złożymy mu wizytę, a potem zobaczymy.

Willa na Rue d'Espagne pamiętała lepsze czasy, chociaż kilka puszek farby i nożyce do żywopłotu mogłyby sprawić cuda. Na zmatowiałej mosiężnej tabliczce przy furtce widniał napis, że André Fontaine, lekarz medycyny ogólnej, przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki. Wokół tabliczki były nalepki z emblematem FPB: dwie skrzyżowane flagi Belgii w dwóch skrzyżowanych mieczach i pochodnia w środku. W dużym oknie wychodzącym na ulicę wisiała większa wersja emblematu, bodaj chałupniczej roboty.

– Na pewno przyciąga tłumy pacjentów – mruknął Christian, wysiadając z samochodu.

Na schodach przed drzwiami stało trzech młodzieńców w czarnych skórzanych kurtkach z emblematem FPB na plecach. Zastawili przejście i wpatrywali się wyzywająco w Martine i Julie. Ich spojrzenia skupiły się na nogach Julie, która miała na sobie czerwoną mini.

– Policja – rzucił krótko Christian i odsunął dwóch wyrostków.

– Pieprzone gliny – warknął jeden i splunął przez poręcz.

– Chwileczkę, komisarzu – powiedziała Martine. – Zanim wejdziemy, poprosimy tych panów o okazanie dowodów osobistych. Może później będziemy chcieli z nimi porozmawiać.

Z kwaśnymi minami wyjęli dokumenty. Najmłodszy, pryszczaty, miał osiemnaście lat, najstarszy dwadzieścia dwa.

– Suka – wymamrotał pod jej adresem osiemnastolatek.

Martine zadzwoniła do drzwi. Otworzyła kobieta w jej wieku, dosyć ładna, o ciemnoniebieskich oczach i gęstych, staromodnie uczesanych, ciemnobrązowych włosach. Ubrana pańciowato i starannie umalowana. Wydawała się zaniepokojona.

– Madame Fontaine? – spytała Martine.

– Tak, Astrid Fontaine. O co chodzi?

– Nazywam się Poirot, jestem sędzią śledczą w Pałacu Sprawiedliwości, to moja kancelistka Julie Wastia, a to komisarz de Jonge z policji. Chcielibyśmy zamienić parę słów z pani mężem.

– André nie ma w domu – odrzekła nerwowo. – O co chodzi?

– Mamy tylko kilka rutynowych pytań. – Martine zrobiła krok naprzód, Astrid cofnęła się odruchowo w głąb hallu. – Może pani mogłaby nam pomóc.

– No nie wiem...

Kobieta rozejrzała się bezradnie wokół siebie.

– Chyba możemy gdzieś usiąść i przez chwilę porozmawiać?

Martine zrobiła jeszcze krok i Julie zamknęła drzwi przed nosem skórzanych chłopców.

Na wprost był gabinet lekarski, po prawej mała poczekalnia. Drzwi po lewej zdobił emblemat FPB, a dalej, też po lewej, były schody, najprawdopodobniej prowadzące do mieszkania państwa Fontaine.

– O, tutaj będzie dobrze – powiedziała Martine, wchodząc do poczekalni.

Usiadła na spłowiej kanapie o przetartych poręczach, Julie usadowiła się obok niej, a Christian usiadł na krześle pod ścianą. Astrid Fontaine wybrała wyświechtany fotel vis-à-vis Martine.

Żona André Fontaine'a jeszcze nie zadała im pytania, co tu właściwie robią. Chyba nie miała pojęcia, że sędzia śledczy nie składa wizyt domowych bez ściśle określonego celu. Albo nauczyła się, że lepiej o nic nie pytać. Martine zauważyła dwa sińce pod krótkim szerokim rękawem jej błękitnej bluzki: jeden seledynowiał, drugi wyglądał na świeży. Kiedy przyjrzała się dokładniej, pod okiem Astrid, mimo starannego makijażu, dostrzegła charakterystyczne przebarwienie.

Aha, to tak się sprawy mają.

– Co robił pani mąż we wtorek rano? – spytała Martine prosto z mostu.

Astrid Fontaine miała rozbiegane spojrzenie.

– Niby skąd miałabym pamiętać?

– To było nazajutrz po drugim dniu świąt Wielkanocy, kiedy w gazecie ukazał się wywiad z pani mężem. Proszę się zastanowić, na pewno pani sobie przypomni.

– Tak... W poniedziałek wieczorem wróciliśmy od moich rodziców. André wyszedł wcześniej rano po gazetę, wiedział o tym wywiadzie i czytał go przy śniadaniu. Około dziewiątej wybraliśmy się na zakupy do Delhaize na Avenue de la Gare.

– I przez cały czas byliście razem?

– Nie, kiedy ja robiłam zakupy, André pojechał do drukarni po nowe materiały partyjne, a potem czekał na mnie przed sklepem.

Christian i Martine wymienili spojrzenia.

– Jak długo go nie było? – spytała Martine.

– O co wam chodzi? – Astrid Fontaine w końcu zebrała się w sobie. – Co wy tu robicie i dlaczego zadajecie te wszystkie pytania?

– Jak długo go nie było? – powtórzyła Martine. – Godzinę? Dwie godziny?

– Coś koło tego. Nie pamiętam. Mam mętlik w głowie. Co wy sobie myślicie?! Że jak jesteśmy nacjonalistami i patriotami, to można nas nachodzić i dręczyć do woli?

Puste frazesy FPB dodały jej odwagi, zacisnęła wargi, podniosła głowę i obrzuciła ich hardym spojrzeniem.

– Czy pani to zaprotekowała, mademoiselle Wastia? – spytał Christian. – Pytanie: „Jak długo go nie było? Godzinę? Dwie godziny?”. Odpowiedź: „Coś koło tego”.

– Tak jest, panie komisarzu.

Astrid Fontaine zrzęda mina. Była przerażona.

– Nie będziemy dłużej zakłócać pani spokoju – powiedziała Martine. – Chcemy rozmawiać z pani mężem. Gdzie go zastaniemy?

– Jest na spotkaniu partyjnym w Messières.

– Gdzie?

– W barze Le Coq Wallon na Chaussée de Villette.

– Dziękujemy. – Martine wstała. – Ostatnie pytanie: Od ilu godzin stoją przed domem wasi młodzi przyjaciele?

– Bo co?

– Pytam z czystej ciekawości. Przyszli mniej więcej o jedenastej, prawda? Tak mówią świadkowie.

– Owszem, przyszli, kiedy zjedliśmy śniadanie.

– A dlaczego oni tam stoją?

– Żeby nas bronić przed atakami lewicowych ekstremistów i Arabami – z godnością odparła Astrid Fontaine. – Poza tym mąż zatrudnia ochroniarzy osobistych. Ma dużo wrogów.

– Biedactwo – odezwała się Julie, kiedy siedzieli w samochodzie. – On ją bije, zauważyliście?

– Tak – powiedziała Martine.

Christian niczego nie zauważył.

– Teraz już wiemy, że we wtorek Fontaine mógł być w Luton i mógł przejechać Jeanne Demaret.

– Otóż to – przyznała Martine. – A dzisiaj rano jego skórzani chłopcy, jeden albo kilku, mogli być w Abbaye-Village.

Messières, obecnie przedmieście Villette z osobną administracją, na początku stulecia w okresie przemysłowego rozkwitu miasta znakomicie prosperowało. Była tutaj ogromna garbarnia i dużo zakładów mechanicznych, które powstały wokół Forvilu. W Messières mieszkało wielu pracowników Forvilu, ponieważ grunty i domy były tańsze niż w Villette. W ostatnim dziesięcioleciu kryzys w branży stalowej i likwidacja całych gałęzi przemysłu bardzo mocno dotknęły Messières. Zniknęły miejsca pracy, opustoszały domy.

Chaussée de Messières, skromna arteria komunikacyjna prowadząca do Messières z osiedli położonych przy stacji kolejowej, przechodziła od granicy gminy w kierunku centrum Villette w Chaussée de Villette. Le Coq Wallon był zaraz na początku Chaussée de Villette. Niski, o spadzistym dachu, wolno stojący, wyglądał jak stara karczma. Na wietrze kołysał się ze zgrzytem przerdzewiały szyld z namalowanym kogutem. W jednym z okien wychodzących na ulicę wisiał ręcznie wypisany plakat z emblematem FPB.

Za barem stała młoda ciemnowłosa dziewczyna.

Martine podeszła do niej.

– Czy tutaj jest zebranie Front Patriotique Belge?

Dziewczyna popatrzyła na nią badawczo.

– Tak, w sali bankietowej, ale jeszcze się nie zaczęło, czekają na doktora Fontaine’a – powiedziała przyciszonym głosem.

Martine odniosła wrażenie, że ta młoda kelnerka najchętniej zerwałaby plakat FPB.

– Jesteśmy z Pałacu Sprawiedliwości, chcemy porozmawiać z André Fontaine’em – wyjaśniła równie cicho. – Usiądziemy tutaj i poczekamy.

Dziewczyna z konspiracyjną miną wskazała im stolik blisko wejścia do sali bankietowej.

– Właściwie dlaczego Fontaine założył własną partię? – spytał Christian. – Dlaczego zerwał z tą faszystowską bandą?

– Wydaje mi się, że miało to coś wspólnego z poglądami na flamandzkich separatystów – powiedziała Julie.

– Plus to, że w jego ocenie ma większe szanse wejść do parlamentu w Strasburgu, bo na liście Front National chcieli mu dać trzecie miejsce – dodała Martine.

Myślała o tym, czego udało jej się dowiedzieć o Fontaine’em. Urodził się w Villette w czerwcu 1944 roku, kiedy Belgia znajdowała się jeszcze pod okupacją niemiecką. Ojciec, Albert Fontaine, był lekarzem, matka Charlotte – pielęgniarką. Dorastał w Luton, gdzie ojciec z powodzeniem prowadził prywatną praktykę, i chodził do prywatnych szkół katolickich. W roku 1959 mocno pijany Albert Fontaine popełnił błąd podczas prostej operacji usunięcia wyrostka robaczkowego i dwunastoletnia dziewczynka zmarła. Była córką jednego z czołowych przemysłowców Villette. Po tej tragedii Albert Fontaine natychmiast stracił wszystkich zamożnych pacjentów. Kiedy sprzedał swój duży dom w Luton i przeniósł się do Aubermont, madame Fontaine rozstała się z nim i zamieszkała w Brukseli u niezamężnej siostry, gdzie wiodła nienaganne życie i w roku 1965 umarła na raka.

Młody André Fontaine podobno nigdy nie rozmawiał z matką, odkąd opuściła jego ojca. We wrześniu 1961 roku podjął studia medyczne na Uniwersytecie Katolickim w Lille.

Tamtego lata miał siedemnaście lat, pomyślała Martine, nie był już dzieckiem, nie był uczniem Jeanne Demaret. Zaledwie parę tygodni po pożarze został odprawiony z Villette. Zastanawiała się, skąd się na to wzięły pieniądze, bo przecież nie wyłożył ich zapijaczony ojciec. Czy miał krewnych, którzy dowiedzieli się, co zaszło, i postanowili go zabrać z Villette?

W Lille młody André Fontaine kontaktuje się z francuską pravicową ekstremą: monarchistyczną, antysemitką i ultrakatolicką. Kontynuuje flirt z ultraprawicą, kiedy parę lat później wraca do Belgii i kończy studia medyczne na ULB<sup>2</sup>. W roku 1970 żeni się z Véronique Charlier, córką wziętego brukselskiego adwokata, która odchodzi od niego w 1982. W 1985 żeni się po raz drugi z piętnaście lat młodszą Astrid Schmidt i przenosi swoją średnio prosperującą prywatną praktykę do Villette. W tym samym roku wstępuje do nowej walońskiej partii skrajnej prawicy, którą opuszcza pod koniec 1993 i zakłada Front Patriotique Belge. Jest niezłym mówcą,

---

<sup>2</sup> Université libre de Bruxelles (Wolny Uniwersytet w Brukseli).

ale beznadziejnym organizatorem, łatwo się irytuje, nie panuje nad finansami i nie potrafi przegrywać.

Otworzyły się drzwi do sali bankietowej, stanęła w nich kobieta około czterdziestki i niespokojnie rozejrzała się po barze. Szykowna blondynka. Martine rozpoznała ją: Jacqueline Henri, numer dwa na liście Fontaine'a do europarlamentu.

Podeszła do młodej kelnerki, zadała jej pytanie, na co ta w odpowiedzi pokręciła głową i lekko się uśmiechnęła.

W tym samym momencie André Fontaine wmaszerował do lokalu prężnym krokiem. Niewysoki, ale dobrze się prezentował. Miał gęste kasztanowe włosy i delikatne rysy twarzy, którą nieco szpeciły worki pod brązowymi oczami i zmarszczki niezadowolenia wokół ust. Był w rozpiętej jasnobłękitnej koszuli i czarnej kurtce dżinsowej, która wyglądała na nową. Teraz rzadko pokazywał się w garniturze, preferował styl plebejski: dżinsy i kraciaste koszule.

Mówił dialektem Villette, nienachalnym, ale wyczuwalnym.

– Gdzie pan się podziewał, doktorze?! – wysyczała Jacqueline Henri. – Nasi członkowie czekają od godziny.

Fontaine nie znosił żadnej krytyki, ani ukrytej, ani wyrażanej wprost, nawet jeśli pochodziła od jego najbliższych współpracowników.

Obrzucił ją długim nienawistnym spojrzeniem.

– Byłem w szpitalu Saint-Sauveur. Pacjent wymagał mojej opieki – odparł protekcjonalnie i wszedł do sali bankietowej z drepczącą za nim potulnie jak cień Jacqueline Henri.

Zanim zamknęła drzwi, usłyszeli oklaski.

– Co on robił w Saint-Sauveur? – szepnęła przerażona Julie.

– Spokojnie – odszepnął Christian. – Di Bartolo ma ochronę, na pewno nikt tam nie wejdzie.

– Nawet w białym fartuchu i ze słuchawkami na szyi? – spytała Martine. – Przecież jest lekarzem.

Christian zaklął i podszedł do baru. Kelnerka wyjęła aparat telefoniczny z półki pod kontuarem.

Wybrał numer i chwilę później podniósł kciuk.

– Wszystko w porządku – powiedział, wracając do stolika. – Opisałem im, jak wygląda Fontaine, żeby mieli na niego oko, gdyby mu się zebrało na następne wycieczki do szpitala.

Martine wstała.

– Aha, no to najwyższy czas na pogawędkę z panem doktorem.

Fontaine zaczynał się rozkręcać za prowizoryczną mównicą.

– Mówię: Wysłać do domu pasożyty wysysające życiodajną krew z narodu belgijskiego. Wtedy każdy uczciwy obywatel będzie miał pracę! Mówię: Wysłać do domu pasożyty, które niszczą nasze gniazda. Wtedy obniżymy podatki i osiągniemy nadwyżkę budżetową!

Dwadzieścia trzy osoby siedzące przy długim stole nagradzały każde zdanie rzęsy brawami. Zwykle zbierali się tutaj radośni biesiadnicy świętujący czyjeś pięćdziesiąte urodziny albo goście weselni. Walońskim ekstremistom w odróżnieniu od ich flamandzkich pobratymców nigdy nie udało się stworzyć silnej organizacji. Na oddział FPB w Messières składała się dość żalonna gromadka młodych mężczyzn, którzy w czarnych T-shirtach i z ciężkimi metalowymi ozdóbkami próbowali uchodzić za twardzieli, i bladych, wylęknionych dziewcząt, które potrzebowały słońca, witamin i większej wiary w siebie.

Fontaine przerwał, widząc Martine, Christiana i Julie.

– To zamknięte zebranie dla członków Front Patriotique Belge – oznajmił władcym tonem. – Proszę opuścić salę.

– Niestety – powiedziała Martine – jesteśmy z Pałacu Sprawiedliwości i musimy z panem porozmawiać, doktorze Fontaine. To pilne, prowadzimy śledztwo w sprawie o poważne przestępstwo.

Wahał się. Martine podejrzewała, że nie potrafi się zdecydować, czy w obecności partyjnych kolegów powinien poprosić o więcej szczegółów. Wstrzymała oddech. Jeśli ma coś do ukrycia, na pewno tego nie zrobi.

Fontaine wyprostował się jak struna.

– Młodzi przyjaciele, jako zaprawiony w boju niejednokrotnie doświadczałem szykan wymierzonych w prawdziwych patriotów. Być może spotykacie się z tym po raz pierwszy. Patrzcie i ucicie się! Muszę was teraz opuścić, ale wy zostańcie, zastąpi mnie Jacqueline. *Allez la Belgique!*



Żegnany burzą oklasków gorliwych zwolenników wyszedł zza mównicy, stanął między Christianem i Martine i z teatralnie podniesioną głową, niczym uwięziony bohater w walce o wolność, wymaszerował z sali.

– No, o co chodzi? – spytał cierpko.

Martine zwróciła uwagę, że po jego dialekcie nie ma śladu.

– Chcemy panu zadać kilka pytań.

– Jakich pytań?

– Co pan robił we wtorek około dziesiątej rano?

– We wtorek...? Skąd miałbym pamiętać?

– Tego dnia ukazał się wywiad z panem w „Gazette de Villette”.

– A, tak, przeczytałem go przy śniadaniu, a potem podwiozłem żonę do sklepu.

– Co pan robił, kiedy żona była na zakupach?

– Jeśli mnie pamięć nie myli, pojechałem do drukarni po materiały wyborcze.

– Do której drukarni?

– Na Chaussée de Namur.

Chaussée de Namur?! Właśnie tam zginęła Jeanne Demaret! Słowa Fontaine’a poraziły Martine jak prąd i poczuła słodki smak zwycięstwa.

– O co tu chodzi? – spytał Fontaine. – Nie będę odpowiadał na pytania, dopóki się nie dowiem, o co chodzi. Nie wiem, czy nie powinienem zadzwonić do swojego adwokata.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa Jeanne Demaret i może będzie lepiej, jeśli odbędziemy tę rozmowę w Pałacu Sprawiedliwości. Oczywiście ma pan prawo do adwokata.

Fontaine roześmiał się.

– Morderstwo Jeanne Demaret? Tej nauczycielki? Jeśli tak, nie sądzę, bym musiał niepokoić *maitre* Onckelinx w sobotni wieczór.

– *Maitre* Onckelinx? Brigitte Onckelinx?

– Tak, a co?

– Nie, nic – pospiesznie odparła Martine. – Byłam ciekawa, bo pracowałyśmy razem.

Brigitte Onckelinx zaczynała jako młodsza prawniczka w biurze adwokackim Loïc Niemegers&Dominique Carlier w tym samym czasie co Martine i od pierwszej chwili stały się śmiertelnymi rywalkami. No tak, to cała Brigitte, pomyślała mściwie Martine, broni taką szumowinę jak Fontaine. Chociaż to trochę dziwne, że wybrał sobie na adwokata kobietę.

Przecież Fontaine, czego była absolutnie pewna, nienawidził kobiet. Ilekroć zwracał się do niej, niemal fizycznie czuła jego wrogość.

Fontaine uparł się, żeby pojechać do Pałacu Sprawiedliwości swoim samochodem, i obiecał, że uda się tam natychmiast.

Stawił się w gabinecie Martine kwadrans po ich przybyciu. Zdążył założyć krawat i zamienić dzinsową kurtkę na marynarkę. Pewnie miał ją w samochodzie, pomyślała Martine. Dzinsową kurtkę traktował jak kostium, w którym grał przywódcę ludu.

Zirytował się, kiedy gestem zaprosiła go do zajęcia miejsca na niskim krześle, starannie dobranym, żeby mogła mieć dominującą pozycję nad przesłuchiwanymi.

– W ubiegłym tygodniu Jeanne Demaret trzykrotnie kontaktowała się z panem telefonicznie – zaczęła, ledwie Fontaine usiadł. – O czym rozmawialiście?

Uśmiechnął się szyderczo.

– Chciała się dowiedzieć, gdzie można pobrać karty wyborcze FPB. Dużo osób mnie o to pyta.

Julie, która siedziała obok Martine, zatrzęsła się ze złości.

– Nie sądzę, żeby mówił pan prawdę, doktorze Fontaine. – Martine uniosła brwi. – Dlaczego dzwoniła?

– Potrzebowała konsultacji lekarskiej. Miała uczucie słabości i obawiała się, że to coś z sercem.

– Niech pan nie będzie śmieszny – ostro zareagowała Martine. – Jeanne Demaret była pod opieką swojego lekarza w Luton i nie miała najmniejszego powodu, żeby cokolwiek konsultować z miernym lekarzem ogólnym z innej części miasta, cieszącym się złą polityczną sławą.

Zwęziły mu się oczy i zacisnął pięści. Widziała, że narasta w nim gniew. I odebrała to z ulgą. Nie podobała jej się jego rozbawiona mina, kiedy usłyszał, że chodzi o morderstwo Jeanne Demaret.

– To po co te pytania, skoro pani wie, o czym rozmawialiśmy? – wyszczał Fontaine.

– Racja, chyba wiem. Zanim spróbuje pan odświeżyć swoją pamięć, pomówmy o czym innym. Jak się nazywa ta drukarnia na Chaussée de Namur?

– Rapid Print. Idiotycznie, ale jest tania.

– Z kim pan się tam spotkał?

– Z właścicielem, Jerrym Boemerem.

- Jest sympatykiem FPB?
- Z tego, co wiem, nie. To biznesmen, nie patrzy na politykę przez końskie okulary.
- O której przyszedł pan do drukarni i o której pan stamtąd wyszedł?
- Przyszedłem mniej więcej za kwadrans dziesiąta, wyszedłem pół godziny później.

Przejrzałem materiał i zanim zapłaciłem, porozmawiałem przez chwilę z Jerrym Boemerem.

Według zeznań świadków Jeanne Demaret zginęła pod kołami samochodu tuż po dziesiątej. O ewentualnym udziale Fontaine'a decydowały minuty.

- Czy mógłby pan być ciut bardziej precyzyjny?
- Nie – warknął Fontaine. – Spytajcie Boemera, może ma lepszą pamięć. Poza tym data i godzina są na paragonie. Zachowałem oryginał, w drukarni powinni mieć kopię.
- Czyli nie dostał pan faktury, tylko zapłacił gotówką?
- Tak chciał Boemer.
- Bo ma pan opinię niesolidnego płatnika?

Fontaine przeszył ją wrogim spojrzeniem. Tak czy inaczej, miał coś w rodzaju alibi. Muszą przesłuchać właściciela drukarni i sprawdzić, czy paragon kasowy może go uwolnić albo obciążyć.

– Wiemy, co pan robił szesnastego sierpnia sześćdziesiątego pierwszego roku – podjęła Martine konwersacyjnym tonem. – I przypuszczalnie o tym rozmawiał pan z Jeanne Demaret, prawda?

– Nie do wiary, jak dużo pani wie – odrzekł Fontaine po kilku chwilach wymownego wahania. – W sierpniu sześćdziesiątego pierwszego przygotowywałem się na medycynę w Lille. To wszystko, co pamiętam.

– Gratuluję wyjątkowo elastycznego sumienia, skoro umknęło pańskiej łaskawej pamięci, że szesnastego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku miał pan swój udział w śmierci blisko stu osób, które zginęły w pożarze w Aubermont. Są liczni świadkowie, którzy twierdzą, że pan tam był.

Lekka przesada, ale Fontaine nie mógł tego wiedzieć. Szczerze mówiąc, wcale nie była przekonana, czy Daelmans widział go na własne oczy na pogorzeliisku. Cóż, jej błąd, nie dopytała.

– Tak, teraz sobie przypominam, że tuż przed moim wyjazdem do Lille kilku wioskowych rozrabiaków wznieciło ogień przed starą szkołą na wzgórzu. Byłem od nich trochę starszy,

oczywiście próbowałem ich powstrzymać, ale na próżno, bo ci chłopcy, synowie robotników, byli już zbyt napaleni.

– Czyli przyznaje pan, że tam był?

– Jak mówiłem, zadawałem się z tymi szczylami, podziwiali mnie i byłem z nimi tamtego wieczoru. Ale nic nie zrobiłem, niczego nie możecie mi udowodnić.

– A kto coś zrobił?

– Nie wiem.

Fontaine uśmiechnął się pyszałkowato. Martine nie była zachwycona. Znowu wydawał się zbyt pewny siebie.

– Jeanne Demaret dzwoniła do pana w sprawie tych wydarzeń z sześćdziesiątego pierwszego roku, prawda?

Fontaine wzruszył ramionami.

– Może pani myśleć, co się pani podoba, ona nie żyje, a ja niezbyt dokładnie pamiętam. Nigdy się pani nie dowie.

– Twierdzi pan, że jest przeciwko przemocy i że powinno się stosować parlamentarne metody przeprowadzania czystek etnicznych. Osobisty udział w masowym morderstwie podważyłby pańską wiarygodność wśród wyborców, prawda?

Tym razem uśmiechnął się szyderczo.

– Nie, pani sędzio śledcza, myli się pani! Gdyby to wyszło na jaw, zyskałbym dodatkowy argument na swoją korzyść. Czarni już w sześćdziesiątym pierwszym panoszyli się we wsi, czym doprowadzali mieszkańców do białej gorączki, a w końcu tak ich rozeźlili, że chłopcy postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Smutna historia, ale tak to bywa, kiedy zwykli ludzie nie mają dostępu do żadnych kanałów komunikacji politycznej, za których pośrednictwem mogliby wyrażać swoje niezadowolenie.

Pochylił się naprzód tak blisko niej, że poczuła zapach papierosów i taniej wody po goleniu i zobaczyła rozszerzone pory na nosie.

– Może nawet dostałbym trochę więcej głosów od ludzi, którzy uważają, że właśnie tak trzeba się rozprawić z tą hołotą, mają dosyć patyczkowania się i gładzenia o demokracji. Trzeba pani wiedzieć, że są i tacy. Uznaliby to za dowód, że naprawdę tak myślę, że warto oddać na mnie swój głos. Jeśli się pani wydaje, że przejechałem tę starą nauczycielkę, żeby powstrzymać

ją przed ujawnieniem tego, co się wydarzyło tamtej nocy, to radzę jeszcze raz się nad tym zastanowić. Ja nie miałem w tym żadnego interesu.

Położył nacisk na słowie „ja”. Martine nie zamierzała go pytać, co chce przez to powiedzieć, bo nie mogła mu pozwolić na przejęcie kontroli nad przesłuchaniem.

– Tak więc przyznaje pan, że był pan obecny przy masowym morderstwie w Aubermont szesnastego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku. I że gdyby to wyszło na jaw, mógłby pan na tym politycznie zyskać. Tak zapisaliśmy w protokole.

Wzruszył ramionami, ale minę miał nietęgą. Chyba trochę się zagalopował.

– Kto, pańskim zdaniem, mógłby mieć interes w nieujawnianiu tej historii? – spytała.

Podniósł ręce w odmownym geście.

– Nikt. Czy powiedziałem, że cokolwiek o tym wiem? Chciałbym zakończyć tę rozmowę, przecież jestem tutaj dobrowolnie, prawda?

– Może pan odejść, ale proszę być przygotowanym na to, że znów się z panem skontaktujemy.

Kiedy Fontaine wyszedł, Martine obrzuciła Christiana i Julie posępnym spojrzeniem.

– No i co? Nie wygląda to najlepiej. Jest zbyt pewny siebie.

– W każdym razie potwierdził, że był w Aubermont w sześćdziesiątym pierwszym – powiedział Christian.

– Oczywiście sprawdzimy, ile czasu spędził w drukarni, i przekonamy się, czy mógł zabić. Wystarczyłoby mu od dziesięciu do piętnastu minut. Ciekawe, czy on wie, kto miałby interes w pozbyciu się Jeanne Demaret, czy tak mu się tylko wyrwało?

– Myślę, że wie – włączyła się Julie. – Wie i żałuje, że powiedział za dużo. Pod koniec wydawał się przestraszony.

– Jutro skontaktuję się z Jerrym Boemerem – zdecydował Christian – a potem się zastanowimy. Teraz muszę się upewnić, czy moja żona nadal chce ze mną pójść na kolację. Ciao!

Julie, która zaczęła zdejmować z wieszaka swój czerwony płaszcz, zatrzymała się w pół ruchu i spojrzała na Martine.

– Wykręcić numer do szpitala, żebyś mogła spytać, jak się czuje Dominic? Tobie na pewno udzielą odpowiedzi.

– Czy coś was w ogóle łączy, czy tylko do niego wzdychasz? – dość obcesowo spytała Martine.

Julie wyglądała na przybitą.

– Jeden raz zaprosił mnie na drinka po pracy, to wszystko. Kręcę się koło niego, rzucam wymowne spojrzenia i czasami mi się wydaje, że on też patrzy na mnie wymownie.

Stan Dominica di Bartolo był stabilny, ale wciąż krytyczny. Niezbyt pocieszające. Idąc korytarzem, Julie wyglądała na jeszcze bardziej przybitą. Mały czerwony płomyk w mroku.

Martine przyłożyła dłoń do skroni. Pierwsze objawy bólu głowy.

Tego dnia przeżyła huśtawkę uczuć. Najpierw szok spowodowany wyznaniem Dominica, potem dużo większy szok, kiedy zobaczyła go we krwi i nieprzytomnego na jezdni, potem rosnące napięcie, kiedy dowody przeciwko Fontaine'owi zaczynały się układać w sensowną całość, i wreszcie ostry spadek napięcia, kiedy się okazało, że bezczelnie pewny swego Fontaine może mieć niezbite alibi.

Spojrzała na zegarek. Prawie dwanaście godzin temu Dominic di Bartolo włączył André Fontaine'a do śledztwa. Dużo się w tym czasie zdarzyło, ale było zdecydowanie za wcześnie, by uznać, że poniosła porażkę, nie udowadniając mu winy. Mimo to nie czuła się najlepiej.

Wysunęła dwie szuflady biurka, obróciła się na krześle i położyła na nich stopy.

Przed nią na półce stała brązowa statuetka ślepej bogini sprawiedliwości z wagą w dłoni. Kupiła ją po nominacji na sędzię śledczą, żeby stale pamiętać, że jej zadaniem jest poszukiwanie prawdy, bezstronne poszukiwanie tego, co może pomóc w uwolnieniu albo w skazaniu, żeby za żadną cenę nie preparować aktów oskarżenia przeciwko nikomu, mimo że miałyby się na to ochotę.

Niewiele brakowało, żeby o tym zapomniała przy okazji innej dużej sprawy, a teraz znowu była tego bliska. Bardzo chciała, żeby Fontaine był winny.

Analizując swoje motywy, musiała przyznać, że nie zachowywała się bezstronnie. Do jej śledztwa wkradła się myśl o matce i obudziła w niej dziecięcą tęsknotę za zadośćuczynieniem tym, których kochała i którzy kiedyś sprawili, że mała Martine postanowiła poświęcić swoje życie walce o sprawiedliwość. Właśnie się dowiedziała, że naziści odebrali jej prawdziwą mamę, a teraz w ramach zemsty chciała zamknąć faszystę. Tak myślało w niej zranione dziecko.

Nie może jednak przymykać oczu na to, co przemawia za niewinnością Fontaine'a, nie może odrzucać innych okoliczności.

Zadzwoiła do domu. Thomas jeszcze nie jadł. Obiecał przygotować dla nich zimny bufet.

Po drodze kupiła gazety. Były nowe szczegóły w sprawie śmierci belgijskich żołnierzy. W artykule wstępnym w „La Dernière Heure” domagano się, żeby Belgia wycofała swoje oddziały z Rwandy. „Jeśli plemiona lokalne mają ochotę się powybić po raz dziesiąty albo piętnasty w ciągu ostatnich dwudziestu lat, to jest ich sprawa, a nie nasza”. Partie opozycyjne żądały zebrania się parlamentarnej komisji spraw zagranicznych.

Przyjemnie było usiąść w fotelu przed kominkiem i jeść palcami. Thomas powiedział, że znów rozmawiał z księdzem z biblioteki katedralnej, który może mieć interesujące informacje.

– Nic mi teraz nie mów – poprosiła Martine. – Nie mam siły na jeszcze więcej informacji, porozmawiam z nim jutro. Ale czy mogłabym ci opowiedzieć, co się dzisiaj wydarzyło?

Lubiła rozmawiać z Thomasem o swoich śledztwach, mimo że nie powinna tego robić. Wiedziała jednak, że on nigdy nie zawiedzie jej zaufania. Mógł jej pomóc, wnosząc świeże spojrzenie na materiały dowodowe i tropy. Jego doświadczenie naukowo-badawcze też mogło się przydać.

– Masz problem natury źródłowej w sprawie tej masakry w Aubermont, prawda? – powiedział Thomas, podczas gdy Martine popijała wino. – O tym, co się stało, wiecie wyłącznie z drugiej ręki. Dominic di Bartolo jest źródłem pośrednim. Słuchając relacji brata, był w silnym stresie. Długi Jacques jest źródłem pośrednim, nie było go podczas masakry i zbyt dużo nie powiedział. Fontaine oczywiście tam był, do czego się zresztą przyznał, ale powiedział tylko to, co leżało w jego interesie, czyli nic. Co się tam stało?

– Masz rację... Nie wiemy, co się stało. Na przykład kto zapalił zapalniczkę? Kto przyniósł kanister benzyny i dlaczego? Kto, jeśli to prawda, co mówi Dominic, mógł zrobić coś tak potwornego i wepchnąć dziecko w płomień? To wygląda na coś znacznie gorszego niż wybryki pijanych nastolatków. I jeszcze jedno: kiedy poprosiłam Długiego Jacques’a o podanie wszystkich nazwisk, odpowiedział pokrętnie, że wymienił żywych i umarłych, wszystkich, którzy są warci zainteresowania. Tak, w tej całej historii jest dużo brakujących ogniw.

– Ciekawe – skomentował Thomas. – Mam identyczne odczucie w sprawie mojej masakry w Mougins.

– Jutro oboje zaczniemy ich szukać.

Dominic di Bartolo wciąż leżał nieprzytomny w szpitalu Saint-Sauveur, ale gdzieś w jego bezwładnym ciele tliły się wątlwym płomieniem resztki świadomości. Wiedział, że zamknie się nad jego głową czarna woda i pochłonie go jak Daniela. Niestawianie oporu przyniosłoby mu

ulgę. Jak cudownie byłoby odpocząć. Ale on nie może dać za wygraną. Musi o czymś powiedzieć. Nie wolno mu zapomnieć. Fontaine. To nie był Fontaine. Widział nadjeżdżający samochód, widział bladą, kamienną twarz za kierownicą i rozpoznał ją. To nie był Fontaine.



# ROZDZIAŁ 12

Niedziela 10 kwietnia 1994

Didier Marchal, wędrując w niedzielny poranek do cukierni i kiosku z gazetami, z pewnym zawstydzeniem postanowił zajrzeć do domu szalonej Gilberte. Nie widział jej od wtorku, kiedy przyszedł do niej w towarzystwie sędzi śledczej. To dość niezwykle, bo niemal codziennie krążyła po Place Marie de Bourgogne w starym, obszarpanym płaszczu i miotała obelgi na lewo i prawo.

Zielony półmrok w ogrodzie zgęstniał, niedługo liście w pełni się rozwiną. Kotów było chyba jeszcze więcej. Kiedy stanął przed drzwiami, robiły ósemki wokół jego nóg i natarczywie miauczały.

– Złap sobie mysz, od tego jesteś – powiedział ostrym tonem do wyjątkowo namolnego wielkiego rudzielca, który ocierał się głową o nogawki jego nowych spodni z szarej flaneli.

Usłyszał niosący się echem po domu odgłos kołatki, ciężki i donośny, bo nie tłumili go grube dywany ani inne tkaniny. Gilberte nie podeszła, mimo że zwykle otwierała, ledwie ktoś zdążył zastukać. Jeszcze raz podniósł kołatkę i uderzył mocniej. Nie doczekał się żadnej reakcji.

Może szalona Gilberte śpi. Przecież jest niedziela.

Od razu odrzucił tę idiotyczną myśl. Niby dlaczego Gilberte miałyby się wylegiwać w weekendy, skoro w jej życiu wszystkie dni były takie same?

Próbował coś zobaczyć przez brudną kuchenną firankę. Nic.

Może złamała nogę i potrzebuje pomocy?

Na razie postanowił nic nie robić, bo jeśli szalonej staruszce, z którą zawsze były kłopoty, nic nie jest, wystawi się na pośmiewisko. Wróci tu po południu.

Aż do furtki towarzyszyło mu miauczenie.

W domu czekały podekscytowane dzieci, pięcio- i sześcioletnie, ubrane i gotowe na od dawna obiecaną wyprawę do nowego aquaparku. Potem zjedli późny lunch w swojej ulubionej włoskiej restauracji na Chaussée de Namur. Didier Marchal i jego żona Christine zamówili dla siebie po osso bucco, Emilie i Nicolas spałaszowali prawie po całej pizzy i aż mrużyli oczy z zadowolenia i nasycenia.

– Może napijemy się kawy w domu i posadzimy ich przed telewizorem? – spytała Christine, patrząc na senne latorośle.

– Gdybyś mogła je zawieźć, zajrzałbym jeszcze na Clos des Lilas.

Zrozumiała.

– Ach, jak to dobrze, że mam męża, który troszczy się o złośliwe staruchy, bo wiem, że się mną zaopiekuje, kiedy będę brzydka, stara i zrzędliva.

– Mama nie jest stara i brzydka! – zaprotestował Nicolas.

Christine podrzuciła Didiera do rogu Chaussée de Namur i Clos des Lilas. Miał nadzieję, że wkrótce do nich dołączy i napije się dobrej mocnej kawy. Złe przecucia nie dawały mu jednak spokoju, zwłaszcza teraz, kiedy zajrzał do skrzynki na listy i zobaczył sobotnie wydanie „Gazette de Villette”. Szalona Gilberte była, o dziwo, pilną czytelniczką gazet i fakt, że jej nie wyjęła, fatalnie wróżył.

Gdy skierował się ku drzwiom, półmrok wydawał się głębszy, a willa z zepsutymi oknami do piwnicy bardziej opustoszała niż zwykle. Nie paliła się ani jedna lampa. Podniósł zmatowiałą kołatkę i puścił: raz, drugi, trzeci. I nic.

Na razie wolał nie wzywać karetki ani radiowozu. W telewizji widział, jak ludzie otwierają zamki kartą kredytową, i często się zastanawiał, czy to się sprawdza w prawdziwym życiu. Właśnie dostał nową kartę Bancontact, a poprzednią wciąż nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki. Gilberte nie powinna mieć do niego pretensji, jeśli wejdzie nieproszony i zastanie ją gdzieś na podłodze ze złamaną nogą. Nacisnął kartą rygiel i ku jego zdumieniu stary zamek poddał się wyjątkowo łatwo.

Owionął go odurzający odór kociego moczu, amoniaku, śmieci i czegoś znacznie gorszego.

Leżała na plecach w wielkim salonie, gdzie swego czasu elegancka i zadbana przyjmowała śmietankę towarzyską Villette. Teraz od dawna nie było tutaj żadnych mebli, a francuskie okna raz na zawsze zasłoniły żaluzje.

Po niej i wokół niej chodziły koty wszelkich maści i rozmiarów. Kilka zlizywało krew z kałuży pod jej głową.

Didier Marchal chwiejnie wyszedł do ogrodu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Na szczęście nie wymiotował.

Parę godzin później lekarka sądowa Alice Verhoeven oglądała doczesne szczątki Gilberte de Ridder.

– Nie żyje od sobotniego przedpołudnia. Będę mogła powiedzieć coś więcej po sekcji, ale na razie chyba powinno to wam wystarczyć.

Didier Marchal popatrzył na profesor Verhoeven. Miała na sobie męską kurtkę do talii w nijakim brązowym kolorze, jasnoniebieską sukienkę z krempliny, czerwone tenisówki i chustę w rybki. Wiedział, że jest wybitnym międzynarodowym autorytetem w medycynie sądowej.

– Oczywiście najważniejsza jest przyczyna śmierci – powiedział. – Czy mamy do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem? Co pani o tym sądzi, pani profesor?

– Och, w żadnym razie nie był to nieszczęśliwy wypadek, pan też z pewnością doszedł do tego wniosku.

Gilberte de Ridder leżała na plecach przed kominkiem, wspaniałym marmurowym cackiem. Na jednym rogu gzymsu była krew.

– Może ktoś chciał, żeby to wyglądało na wypadek, że przewracając się, uderzyła tyłem głowy o gzyms, ale to nonsens. Po pierwsze, była zdecydowanie za niska, a po drugie, zakrwawiony róg nijak się ma do obrażeń. Powstały skutek uderzenia czymś mniejszym i zaokrąglonym.

Didier Marchal przytaknął.

– Dużo tutaj starych plam, trudno się rozeznaczyć, ale wydaje się, że na wykładzinie jest kilka świeżych śladów krwi. Czy myśli pani, że mogła zostać przeniesiona?

– Bez dwóch zdań.

Didier Marchal zastanawiał się. O śmierci Gilberte w sobotnie przedpołudnie mógłby świadczyć fakt, że nie wyjęła gazety ze skrzynki. Nienaruszony zamek w drzwiach mógł wskazywać na to, że sama wpuściła mordercę. Na stole w kuchni stał talerz z nieapetyczną breją: grzanki, kiełbasa i zastygły tłuszcz. Mimo śladów kociej aktywności wyglądało na to, że Gilberte zaczęła jeść śniadanie, ale nie dokończyła, bo ktoś zastukał do drzwi, otworzyła, nieznanemu osobnik wszedł do domu i ją zabił.

Ale dlaczego?

Czy to zbieg okoliczności, że zaledwie kilka dni wcześniej była świadkiem morderstwa?

Zorientował się, że Alice Verhoeven mu się przygląda.

– W ostatnim tygodniu wyjątkowo wzrosła śmiertelność wśród sześćdziesięcioletnich kobiet na Clos des Lilas – skonstatowała.

– Owszem – potwierdził Didier Marchal. – Gilberte de Ridder udzieliła ważnych informacji dotyczących morderstwa Jeanne Demaret. Możliwe, że zachodzi tu jakiś związek. Tak czy inaczej, nie obejdzie się bez sędziego śledczego. Czy pani profesor wie, kto ma dzisiaj dyżur?

– Tak. François Cooreman.

– Ale jeśli ma to jakiś związek z morderstwem Jeanne Demaret, powinna się tym zająć ta sama osoba. Blondynka, ładna, dosyć młoda, szykownie ubrana... Jak ona się nazywa...?

– Martine Poirot. Myślę, że powinien się pan z nią skontaktować.

Didier Marchal popatrzył na martwą kobietę. Często się zastanawiał, czy Gilberte o pięknym głosie i pięknych oczach rzeczywiście była taka szalona, jak się wszystkim zdawało.

– Widziała mężczyznę, który dawał znaki zabójcy Jeanne Demaret. Nie umiała go opisać. Nie wiem, czy mogłaby nam powiedzieć coś więcej.

# ROZDZIAŁ 13

Niedziela 10 kwietnia 1994

Alibi André Fontaine'a wydawało się niezbite. Właściciel Rapid Print siedział przy śniadaniu, kiedy Christian de Jonge do niego zadzwonił. Mieszkał blisko drukarni i nie dał się długo prosić, żeby tam pójść i pokazać paragon kasowy.

– Fontaine nie jest wymarzonym klientem – powiedział niejako na swoje usprawiedliwienie Jerry Boemer – ale trzeba przecież z czegoś żyć. Składa duże zamówienia i dopóki nie dostaje nic na kredyt, nie mogę narzekać.

Lśniący nowością aparat kasowy Rapid Print zarejestrował wpłatę Fontaine'a we wtorek o 10.17. Fontaine poprosił również o odręczny dowód wpłaty i Boemer zachował kopię.

– Fontaine powiedział, że przez chwilę rozmawialiście. Można wiedzieć, o czym?

– Twierdził, że kolor się nie udał, i chciał dostać rabat – odparł Boemer. – To dla niego typowe. Nie zgodziłem się. Zapłacił pełną cenę, ale trochę czasu to zajęło, zanim do niego dotarło, że nie zamierzam ustąpić.

Christian nie rezygnował. Obok drukarni powinna przejeżdżać karetka jadąca na miejsce wypadku.

– Czy kiedy tu był, nie wydarzyło się nic szczególnego?

– Nie, nic takiego nie pamiętam. A! Kiedy wyciągał portfel, czerwony z wściekłości, przejechała na sygnale karetka z włączonym kogutem i pomyślałem, że jemu też by się przydała. Nie wiem, czy można to uznać za coś szczególnego.

No tak, gdyby Fontaine zabił Demaret i błyskawicznie udał się do drukarni, mógłby spokojnie patrzeć na pędzącą karetkę. Bardzo sprytnie zaplanowane alibi.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej się ku temu skłaniał. Scysja w sprawie koloru mogła być częścią planu, żeby w tym czasie był w drukarni.

– O której przyszedł?

Jerry Boemer przecesał palcami rzadką brodę.

– Chwileczkę... Wszedł, odebrał materiały, razem załadowaliśmy je do samochodu, zaparkował go przed drukarnią... Która to mogła być...? Mniej więcej za dziesięć dziesiąta.

Jasny gwint! Czyli nic z tego. Ale liczyła się każda minuta, a Boemer nie miał stuprocentowej pewności. Może uda się podważyć alibi Fontaine'a.

W Pałacu Sprawiedliwości Martine Poirot miała zafrasowaną minę.

– Bardzo proszę, spróbuj podważyć jego alibi, ale nie wkładaj w to całej energii. Na razie musimy je zaakceptować i rozejrzeć się za innymi potencjalnymi sprawcami.

– Tylko gdzie ich szukać? – spytał Christian.

– Wśród tych, którzy byli tamtej nocy w Aubermont. To, że Jeanne Demaret dzwoniła do André Fontaine'a, świadczy o tym, że się z nimi kontaktowała. Nikt mnie nie przekona, że było inaczej.

– Ale kto miałby wystarczająco silny motyw i możliwości, żeby zamordować w obawie przed zdemaskowaniem?

– Na przykład Pirot, ten z Forvilu. – Martine odruchowo pociągnęła za kosmyk włosów, który wysunął się z koka. – Nie jest wprawdzie osobą publiczną i podobno w minionym tygodniu był w Luksemburgu, ale powinniśmy go sprawdzić. Drugi kandydat, myślę, że bardziej prawdopodobny, to ktoś, kogo nie znamy. Jacques Daelmans nie powiedział nam prawdy. Julie, przeczytaj końcowy fragment zeznania Długiego Jacques'a, ten, gdzie go pytam, czy podał nam wszystkie nazwiska.

Julie sięgnęła po stenogramy, które przepisywała na maszynie.

– „Pytanie: To wszyscy? Odpowiedź: Wymieniłem żywych i umarłych, wszystkich, którzy są wari zainteresowania. Pytanie: Ale jestem zdumiona, że wcześniej usiłowaliście umorzyć śledztwo. Chcieliście chronić André Fontaine'a? Odpowiedź: Wtedy jeszcze tego nie przemyśleliśmy i nie zdawaliśmy sobie sprawy, że to Fontaine”.

– Lawiruje – skomentował Christian.

– Tak – przyznała Martine. – Nie słuchałam go uważnie. Rozkojarzyłam się, kiedy wszedłeś i podniosłeś dwa kciuki, bo Annick zadzwoniła z Belgacomu. Ale dlaczego miałby zataić jakieś nazwisko, skoro zdecydował się mówić?

– Żeby kogoś osłonić?

Wpadła zdyszana Annick Dardenne z grubą kopertą w rękę.

– Przepraszam za spóźnienie, zasnęłam. Mam kompletny wykaz z Belgacomu, to i owo zasługuje na uwagę.

Rozłożyła długi pomarańczowo-niebiesko-zielony rejestr połączeń. Kilka zakreśliła ołówkiem.

– Parę osób, do których dzwoniła dość często, już znamy. Choćby do Justina Willemarta i swojego lekarza, ale to bez znaczenia. Tutaj – Annick wskazała numer, który się powtarzał – cztery razy łączyła się z Elisabeth Sardou z Messières, zawsze późno wieczorem. Czy to nazwisko coś wam mówi?

– Hm... Brzmi znajomo... – Julie zamknęła oczy, zmarszczyła czoło, przesunęła palcami po ciemnych lokach i struchlała. – Już wiem! Wykłada literaturoznawstwo na uniwersytecie. Elisabeth Sardou vel madame Nicolasowa Forgeron!

Potrzebowali czasu, żeby to do nich dotarło.

– Oczywiście... – Martine przytaknęła, zanim jej mózg zdążył przetrawić tę informację, a kiedy przetrawił, poczuła się tak, jakby dostała obuchem w głowę. – Nicolas Forgeron brał udział w masakrze w Aubermont?! Nadzieja lewicy, wzorcowy antyrasista, zagorzały wróg neofaszystów?!

Christian przewrócił filiżankę i Annick czym prędzej chwyciła billingi, żeby je ocalić przed zalaniem kawą.

– Nie działajmy zbyt pochopnie – powiedział Christian. – Przecież mogło być tak, że chciała mu udzielić wsparcia w jego kampanii wyborczej.

– Mogło – przyznała Martine. – Ale bez względu na znikomy stopień prawdopodobieństwa nie wolno nam tego wykluczyć. To by nawet sporo tłumaczyło.

– Na przykład dlaczego Jacques Daelmans go osłania – mruknęła Annick.

– No właśnie. Co wiemy o Nicolasie Forgeronie? – spytała Martine. – Czy to w ogóle możliwe, żeby tam był? Julie, ty wiesz wszystko o wszystkich w Villette, co mogłabyś powiedzieć o Forgeronie?

– Nic ponadto, co wiedzą inni, ale mam kopię artykułu z mieszkania Jeanne Demaret, w którym zamieścili o nim notkę biograficzną.

Julie położyła artykuł na stole, żeby wszyscy mogli przeczytać.

Nicolas Forgeron urodził się w roku 1947, był synem robotnika stalowni w Messières, dzieciństwo spędził w Aubermont. Wspaniale się uczył, nie myślał jednak o pewnym zawodzie technicznym ani prawniczym, bo bardziej interesowała go literatura i filozofia. W roku 1967

zadebiutował wyjątkowo dojrzałą i powszechnie chwaloną powieścią *Chrzest ogniem*, która „w formie monologu traktowała o wolności i odpowiedzialności, pokucie i winie”.

W latach siedemdziesiątych mieszkał w Paryżu i coraz bardziej angażował się w ówczesne ruchy pozaparlamentarne. Jego druga i zarazem ostatnia powieść *Rynek kości słoniowej* poruszała problemy kolonialnej przeszłości Belgii. Potem zajmował się wyłącznie publicystyką społeczną, pisał artykuły do gazet i czasopism. Na początku lat osiemdziesiątych wrócił do Villette i swojego politycznego maciecznika, gdzie przyjęto go jak syna marnotrawnego. Przy pierwszej okazji został wybrany do rady gminy Messières, a parę lat później był burmistrzem. Od tamtej pory szybko piął się po szczeblach politycznej kariery i spodziewano się, że obejmie urząd ministra w Brukseli.

– Chrzest ogniem – wymruczał Christian – w którym płoną dzieci. Czy ktoś z was to czytał?

– Tak, ja – powiedziała Julie. – Kilka razy. Opowiada o facecie, który podrywa dziewczynę w paryskiej kafejce i razem podróżują po Europie, mniej więcej jak w kinie drogi, i na początku jest dużo seksu, ale z czasem wyjaśnia się, że facet ma jakąś mroczną tajemnicę z przeszłości i szuka kogoś, kto by mu przebaczył, mimo że nie wierzy w Boga. Potem okazuje się, że ta dziewczyna była blisko z kimś, komu on wyrządził krzywdę, ale nie dowiadujemy się, co to za krzywda. Kończy się tak, że jadą do Auschwitz, siedzą wieczorem w obskurnym pokoju hotelowym „w cieniu pieców krematoryjnych”, chociaż wątpię, żeby tam był hotel, i ona mówi, że mu wybacz, i potem go zabija, a on, kiedy widzi wycelowany w siebie nóż, po raz pierwszy odczuwa spokój.

– Oj, trzeba wezwać policję literacką, to nasz człowiek! – zakrzyknęła Martine.

– Jeśli się to czyta, mając w pamięci tę potworną tragedię w Aubermon, jest o czym myśleć.

– W sześćdziesiątym pierwszym miał zaledwie czternaście lat – zauważył Christian. – Był dzieckiem.

– To by tłumaczyło, dlaczego Daelmans go chroni – odezwała się Annick.

Julie puściły nerwy.

– Chroni przed ujawnieniem tego, co się stało w sześćdziesiątym pierwszym, ale kto chciałby chronić kogoś, kto zamordował Jeanne Demaret i próbował zabić Dominica?!



Martine zastanawiała się. Nieoczekiwanie Nicolas Forgeron objawił się jako prawdopodobny podejrzany. Ale nitki łączące go ze sprawą wciąż były cieniutkie jak pajęczyna.

– Annick, spróbuj się dowiedzieć, co Forgeron robił we wtorek przed południem i wczoraj rano. Przejrzyj gazety, skontaktuj się z biurem partii, możesz dać do zrozumienia, że coś mu zagraża, i wybadaj, jaki ma samochód.

– À propos samochodu – włączył się Christian – muszę sprawdzić, czy nie przyszło więcej informacji o gościu z bmw.

Rozległo się delikatne pukanie w futrynę. W drzwiach stała ciemna ładna kobieta około pięćdziesiątki.

– Przepraszam, zablądziłam i usłyszałam głosy... Nazywam się Daria di Bartolo Losseau, jestem siostrą Dominica. Przyszłam po jego samochód, ale nie wiem, jak trafić do garażu.

Julie wstała.

– Jeśli tutaj zaparkował, karta powinna być w biurku. Chodźmy do jego gabinetu.

Martine popatrzyła na aparat telefoniczny. Czy zdąży? Chciała porozmawiać z kimś, kto zna Nicolasa Forgerona, ale tak, żeby Nicolas się o tym nie dowiedział. Jean-Louis był idealny. Rówieśnik Forgerona, zrobił karierę w tej samej partii.

Wciąż pamiętała jego numer w Liège, ale wołała tam nie dzwonić z powodu Anne-Marie. Przy odrobinie szczęścia może zastanie go w mieszkaniu noclegowym w Brukseli. Tam nie znała numeru. Dostała go od telefonistki z centrali parlamentu, która najpierw oddzwoniła do Pałacu Sprawiedliwości, żeby się upewnić, czy Martine jest tą, za którą się podaje.

Z bijącym sercem wybrała brukselski numer. Wołała się nie zastanawiać, dlaczego dzwoni osobiście i pod nieobecność Julie.

Dużo myślała o Jeanie-Louisie po ich krótkim spotkaniu we wtorek. Zanim tego samego dnia wieczorem pojechała do Brukseli, wygrzebała kasety z ulubioną muzyką z początku lat osiemdziesiątych i puszczała je w samochodzie. Każdy akord przywoływał wspomnienia sprzed dwunastu lat, które uważała za pogrzebane. To był burzliwy okres, nie chciałyby, żeby się powtórzył, chociaż wtedy żyła pełnią życia i rozsadzała ją energia.

Nic już nie czuła do Jeana-Louisa, ale jeszcze nie wyrównała rachunków z tą dziewczyną, którą była, dużo bardziej podatną na zranienie niż teraz, a jednocześnie mniej strachliwą.

Słuchawka była mokra od jej spoczonej dłoni.

Jean-Louis odebrał po czwartym sygnale.

– Martine! – Chyba się ucieszył. – Miałem nadzieję, że się odezwiesz.

– Dzwonię służbowo.

– Ach, tak. To czemu tego nie zleciłaś swojej kancelistce?

– Chcę pomówić nieoficjalnie, poza protokołem. Skoro miałaś nadzieję, że się odezwę, dlaczego sam nie zadzwoniłaś?

Niedobrze. Miała wrażenie, że brzmi jak stara płyta, która się zacięła, igła tkwi w tym samym, zniszczonym rowku, jak dziesięć lat temu, kiedy ze sobą rozmawiali. Oskarżenia i rozczarowanie.

Parę lat później to ona z nim zerwała, bo zdała sobie sprawę, że to do niczego nie prowadzi. Nie było jej łatwo. Jean-Louis nigdy nie dawał za wygraną. Nie miał jeszcze dwóch lat, kiedy jego mama zostawiła męża i syna i wyjechała do Quebecu z kanadyjskim żołnierzem, podczas gdy mąż siedział w obozie jenieckim w Niemczech. Od tamtej pory robił wszystko, żeby najbliższe mu osoby nigdy więcej nie zniknęły z jego życia.

– Czy możemy zacząć tę rozmowę od początku? – spytała Martine. – Nie chcę wracać do naszych kłótni z lat osiemdziesiątych, chcę pomówić o Nicolasie Forgeronie. Jak dobrze go znasz?

Zaśmiał się cicho.

– Aha, już do tego doszłaś.

– Nie rozumiem.

– Poproszono mnie, żebym poważnie z tobą porozmawiał o szkodliwych następstwach rozrzebywania starych skandali, które nikogo już dzisiaj nie interesują, a mogą zaszkodzić interesowi społecznemu. Nie powiedziano mi tego wprost, ale domyśliłem się, że jest w to zamieszany Forgeron.

Martine na moment zamurowało.

– Poproszono cię? Kto cię poprosił?

– Lojalność partyjna nie pozwala mi wymieniać żadnych nazwisk, ale z pewnością sama na to wpadniesz. Odpowiedziałem, rzecz jasna, że to nie ma sensu, bo jak sobie coś postanowisz, nikt cię nie zmusi do zmiany raz obranej drogi, i że ja nie mam na ciebie najmniejszego wpływu.

– Kiedy odbyłaś tę ciekawą rozmowę?

– Przedwczoraj.

Czyli w piątek, dzień po lunchu z Dolhetem i Daelmansem. To na pewno któryś z nich. Stawiała na Guya Dolheta.

– Czy lojalność partyjna nie pozwala ci rozmawiać ze mną o Nicolasie Forgeronie?

Roześmiał się.

– Nic podobnego. Forgeron to nasza nadzieja na jasną przyszłość, polityk nowych czasów, niewykłany w nasz stary, skorumpowany aparat partyjny, otwarty na idee i ruchy społeczne nowych czasów. Wszyscy go lubią. Wszyscy oprócz mnie.

Interesujące. Jean-Louis, czaruś i manipulant, znakomicie potrafił oceniać ludzi.

– Dlaczego go nie lubisz?

– Może to zwykła zazdrość. Jak uprzejmie zauważyłaś, kiedy się ostatnio widzieliśmy, moja kariera utknęła poniżej szczytu, podczas gdy Forgeron pnie się dalej. Nie, to nie to, po prostu ma w sobie coś, co mi się nie podoba. Wrócił do Walonii mniej więcej w tym czasie, kiedy nasze drogi się rozeszły, był niczym świeży podmuch paryskiego uniwersyteckiego świata, pełen nowych pomysłów, jak powinno się pracować i dążyć do celu. I nie miał zielonego pojęcia o wewnętrznych rozgrywkach o władzę. Ale szybko się uczył. Bardzo szybko. Zakochał się we władzy. Tak ja to widzę.

– Chyba wy wszyscy jesteście zakochani we władzy?

– Owszem, tylko że Forgeron jest bardziej obłudny niż większość z nas, jest w nim coś fałszywego, jakiś nieczysty ton. Mógłbym ci opowiedzieć o niektórych jego manewrach... Ale, jak wspomniałem, wyłącznie ja tak uważam, więc niewiele ci to da.

– Czy wiesz, jaki to skandal, którego mam nie rozgrzebywać?

– Niestety, w tym ci nie pomogę, kolega, który zadzwonił do mnie w piątek, nie bawił się w szczegóły. Powiedział, że to się wydarzyło bardzo dawno temu i może zainteresować tylko smarkatych sędziów śledczych, którzy chcą się wybić za wszelką cenę. I oczywiście brukowce. Na pewno wiesz więcej niż ja, Martine. Może jakaś mała sugestia?

– Wykluczone, tajemnica śledztwa to rzecz święta. Przecież wiesz.

– A ty wiesz, że jestem przewodniczącym komisji sprawiedliwości i dowiem się o wszystkim, jeśli wybitny parlamentarzysta będzie zamieszany w skandal, który może skutkować działaniami prawnymi.

– Musisz poczekać. Może to nie potrwa długo.

– Już się cieszę! Do widzenia, Martine, miło było cię słyszeć. Często o tobie myślę.

– Do widzenia, Jean-Louis – odparła i odłożyła słuchawkę.

Dominic, jako szef kancelarii, zajmował gabinet w atrakcyjnym skrzydle starego pałacu biskupiego. Julie poszła tam z Darią di Bartolo, a Christian udał się piętro niżej do wydziału kryminalnego prokuratury, żeby zasięgnąć języka w sprawie wyników poszukiwań właściciela bmw.

Promienie kwietniowego słońca wpadające przez wysokie okna oświetlały pedantycznie uporządkowane biurko Dominica. Julie szybko znalazła kartę parkingową w górnej szufladzie.

Spod bordowej podkładki na blacie wystawał rozek jakiejś kartki. Julie wahała się przez chwilę. Choć zżerała ją ciekawość, nie miała najmniejszego powodu, żeby myszkować w prywatnych papierach Dominica. A jeśli ma to coś wspólnego ze sprawą?! Zerknęła na Darię, która patrzyła na zdjęcia w ramkach stojące na regale. Nic nie zauważy.

Ostrożnie wysunęła kartkę. Odręczna lista nazwisk. Na widok trzech szybciej zabiło jej serce: André Fontaine, Jean-Luc Lelièvre, Nicolas Forgeron. Inne nic jej nie mówiły. Pewnie to te, których Jacques Daelmans nie chciał wyjawiać Martine. Michela Pirota, którego wymienił, nie było na liście. Kilka osób Dominic wykreślił. Może nie żyły albo odpadły z innych przyczyn.

Dominic postawił wyraźny krzyżyk przy André Fontainie. Przy Nicolasie Forgeronie postawił znak zapytania i krzyżyk, ale mniej wyraźny, jakby miał wątpliwości.

Tak czy inaczej, Dominic zaliczył Nicolasa Forgerona do podejrzanych. Dlaczego od razu o tym nie powiedział, pomyślała Julie, wracając z Darią do aneksu. Na korytarzu dołączył do nich Christian z plikiem papierów.

Kiedy znów zebrali się w gabinecie Martine i Julie pokazała odręczną listę Dominica, Christian poinformował, że właściciel bmw to Luc Devos, prywatny kierowca i według danych zawartych we wszelkich możliwych rejestrach nieposzlakowany obywatel.

Martine zmarszczyła czoło.

– Prywatny kierowca z własnym bmw?

– Naszemu chłopakowi, który z nim rozmawiał, powiedział, że po niskiej cenie kupuje używane wozy od pracodawcy. Ta beemka miała już swoje lata.

– Aha. Myślisz, że jest czysty?

– Chyba nie... Coś mi tu nie gra. Czy mam go odwiedzić? Choćby po to, żeby spytać, dla kogo pracuje...

– Tak. A ja spróbuję się skontaktować z Michele Pirottem. Chciałabym porozmawiać z prawdziwym świadkiem, kimś, kto tam był tej nocy. Ciekawe, dlaczego nie ma go na liście Dominica.

Jego imię i nazwisko było w książce telefonicznej.

Odebrała żona.

– Jeśli chcecie rozmawiać z Michele, musicie się pospieszyć, bo znów wyjeżdża do Luksemburga. Niewiele brakuje, a zaczę podejrzewać, że ma tam kochankę! – Sądząc po jej śmiechu, wcale tak nie myślała. – Czy wolno spytać, o co chodzi?

– Chcemy sprawdzić kilka informacji o tym, co się wydarzyło lata temu – lekkim tonem powiedziała Martine. – Pani mąż powinien coś o tym wiedzieć.

– W sześćdziesiątym pierwszym? – spytała małżonka innym głosem.

Martine była zaskoczona.

– Dlaczego pani tak myśli?

– Ja...? Nie, nie – odparła pośpiesznie – już go proszę.

Michel Pirot przejął słuchawkę.

– Czym mogę pani służyć, madame Poirot?

Martine nie owijała w bawełnę.

– Chciałabym się dowiedzieć, co pan robił wieczorem szesnastego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku.

Nawet nie próbował udawać, że nie wie, o co chodzi.

– Zawsze myślałem, że prędzej czy później to musi wyjść na jaw, i dawno temu powziąłem decyzję, że jeśli ktoś mnie spyta, nie będę niczego ukrywał. Od samego początku uważałem tę znowę milczenia za kompletną paranoję.

– O czym mówimy? Chciałabym, żeby pan powiedział.

– Mówimy o śmierci mnóstwa ludzi, którzy tamtej nocy zginęli w nieprzypadkowym pożarze starej szkoły. Przypuszczam, że pani o tym wie. Wszystko pani opowiem, ale byłbym wdzięczny, gdyby mogła pani tutaj natychmiast przyjechać. Dzisiaj wieczorem mam ważną kolację w Luksemburgu.

Michel Pirot mieszkał w jednej z ekskluzywnych dyrektorskich willi na płaskim wzgórzu z widokiem na odległe meandry rzeki i zakłady Forvilu, przesłonięte ścianą wysokich drzew. Czekał na nich w salonie, którego francuskie okna wychodziły na ogród i Mozę zasnutą mgiełką.

Szczupły mężczyzna o żywych oczach i szpakowatych brązowych włosach. Miał na sobie niebieską koszulę i spodnie od garnituru. Dobrze odprasowana marynarka wisiała na krześle.

Doktor metalurgii, w latach siedemdziesiątych podjął swoją pierwszą pracę w Forvilu, potem przenosił się od stalowni do stalowni, otrzymując coraz wyższe stanowiska kierownicze, a parę lat temu wrócił jako zastępca dyrektora naczelnego. Nazywano go mediatorem.

– Skąd wiecie, że tam byłem? – zapytał z ciekawości, kiedy Martine i Julie usiadły na kanapie.

– Od monsieur Daelmansa – odparła Martine.

Michel Pirot roześmiał się.

– Stary drań! Nigdy mi nie darował, że – jak by to powiedzieć – zmieniłem stronę w walce klasowej. Znalazłem się pod szkołą przez czysty przypadek. Ja i Nicolas Forgeron byliśmy tam najmłodszy, mieliśmy po czternaście lat. Nicolas był moim najlepszym przyjacielem, ale właśnie wtedy zaczął się ode mnie oddalać. Ja wciąż byłem dosyć dziecinny, on już nie. W Aubermont była grupa chłopaków, którzy trzymali się razem. Przewodził im Daniel di Bartolo, przystojny, bystry i miły, dzisiaj powiedzielibyśmy o nim „charyzmatyczny”, i w tym samym roku zaczął się z nimi zadawać André Fontaine, mimo że przedtem patrzył z góry na dzieci z robotniczych domów. Oczywiście chciał sobie znaleźć kogoś, nad kim mógłby dominować, zawsze tego chciał, i miał przewagę, bo był najstarszy i bardziej doświadczony od innych. Rozpuszczał masę ohydnych plotek o różnych ludziach, przynosił alkohol, papierosy i chyba pisemka pornograficzne. Nie lubił Daniela, najchętniej by się go pozbył, ale to nie było możliwe, więc ciągle prowadzili ze sobą coś w rodzaju walki o przywództwo. Pod koniec lata zaczęli znikać z wioski wieczorami. Robiło się z tego jakieś tajemnice, nie miałem pojęcia, dokąd chodzili. Po pewnym czasie Nicolas, wyjątkowo dojrzały jak na swój wiek, przyłączył się do nich i powiedział mi, że starszy znajomy André wozi ich samochodem do luksusowej willi w innej części miasta, gdzie są goszczeni wszystkim czego dusza zapagnie. Kto wie, czy nie było tam i dziwki, ale Nicolas o nich nie wspominał. W każdym razie jeździli tam wiele razy. Wieczorem szesnastego sierpnia Nicolas postanowił, że wprowadzi mnie do grupy, i poszliśmy razem do André. Nie byłem zachwycony, już wtedy uważałem André Fontaine’a za antypatycznego typka, ale znałem i lubiłem innych chłopaków. Kiedy przyszlismy, alkohol stał na stole i był tam ten starszy gość. Wyglądał jak gangster, miał tatuaże i ogoloną głowę i od razu było widać, że to on rządzi, nadaje ton. Wcześniej tego dnia coś się wydarzyło. Do wsi przyszło po wodę kilku

chłopców z grupy uchodźców, i parę dziewcząt, zafascynowanych ich wyglądem, zaczęło z nimi rozmawiać. Nasz przyjaciel André od razu próbował wszystkich podburzać, a wieczorem ten gangster dalej to wałkował. Powiedział, że był w Kongu, dobrze poznał czarnuchów i że nie wolno im pozwolić, żeby się zanadto zbliżali do naszych dziewcząt. Cały czas podjudzał, mówił: „jesteście mężczyznami czy nie?”, i w miarę jak wszyscy byli coraz bardziej pijani, zaczęło wychodzić na to, jakby ci chłopcy, którzy wybrali się do wioski po wodę, chcieli zgwałcić dziewczęta, z którymi tylko rozmawiali. Ja byłem ostrożny, nie piłem, udawałem, że piję, widziałem, jak gangster i André podgrzewają atmosferę. Daniel starał się ją nieco schłodzić, żartował, ale z tymi dwoma nie miał szans. Zobaczyłem, jak André patrzy na Daniela, z autentyczną nienawiścią, i żałowałem, że tam jestem. Powinienem być zostać w domu, bawić się z młodszym bratem i czytać *Przygody Sprycjana i Fantazjo*. W końcu André i ten drugi zaczęli mówić o tym, żeby pójść na wzgórze i wyrównać rachunki. Wszyscy byli już tak nabuzowani, że się zgodzili. Kiedy wyszliśmy, zauważyłem szydercze uśmiešky André i jego kumpla i ten drugi przyniósł z samochodu kanister z benzyną. Poczulem się nieswojo i chciałem uciec, ale André mnie zatrzymał i powiedział coś w rodzaju: „O nie, chłopaku, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

Do tej pory Michel Pirot mówił płynnie i rytmicznie, jakby to był monolog teatralny, teraz nagle zamilkł.

– I zaczyna się najgorsze – podjął po chwili. – Dotarliśmy na wzgórze, rozproszyliśmy się wokół szkoły i krzyczeliśmy. Ja nie. Stałem pod drzewem i próbowałem być niewidoczny. Wtedy zobaczyłem coś, czego chyba nikt nie powinien widzieć. Przysięgam na moją duszę, że tak było. André nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte, klucz tkwił w zamku od wewnątrz. Wyjął go, włożył z drugiej strony, przekręcił i wyrzucił w krzaki. Potem zaczął walić w drzwi i krzyczeć: „Chodźcie tu, jeśli macie odwagę!”. A przecież nikt nie mógł wyjść. André zawołał, żeby ich wykurzyć, wypłoszyć jak dzikie zwierzęta, i kilku chłopaków zaczęło znosić gałęzie i układać pod drzwiami. Przyjaciel André polał je benzyną, resztę benzyny rozlał wokół szkoły i podłożyli ogień. – Milczał przez dłuższą chwilę. – Co mogę więcej powiedzieć? Zginęli. Wszyscy.

– Wiem, że w tej sytuacji zabrzmiało to dziwnie, ale czy zapamiętał pan coś szczególnego? – spytała Martine.

– Tak – odparł cicho. – Coś najokropniejszego, co wciąż do mnie wraca w koszmarnych snach. Okna były zabite deskami, nie można się było wydostać, uchodźcy próbowali je usunąć. Jedną, z tyłu szkoły, udało im się wyłamać. Powstała nieduża szczelina, przez którą zaczęła wychodzić mała dziewczynka. Gangster ją zobaczył i zaśmiał się szyderczo, widząc, że ma jasną karnację. „Bękart – powiedział – takich tu nie chcemy. Do środka z nią”. Dziewczynka była już w połowie na zewnątrz. Chwycił ją i wepchnął w ogień. A tym, który stał z tyłu szkoły i pierwszy ją zauważył, i zawołał kumpla André, był Nicolas. Mój najlepszy przyjaciel. Widziałem to i od tamtej pory ani razu się do niego nie odezwałem. Nigdy.

Pióro Julie skrzypiało po papierze.

– Potem doszło do zмовy milczenia, o czym pani już wie od Długiego Jacques’a.

– Wiem, ale nie rozumiem – przyznała Martine. – Z pana relacji wynika, że był tylko jeden sprawca, ten, którego pan nazywa przyjacielem André Fontaine’a. Większość chłopców właściwie nic nie zrobiła. A pan był raczej świadkiem niż uczestnikiem...

– Pyta pani, czy mówię prawdę? Tak. Zastanawia się pani, dlaczego go nie wydaliśmy?

– Tak.

– Bo kiedy przyjechali Dolhet i Daelmans i wzięli sprawę w swoje ręce, on zniknął. Chyba w ogóle nie mieli pojęcia o jego istnieniu. Wyszli z założenia, że zrobili to nasi chłopcy, i chcieli ich chronić. Żadnemu z nas nie zależało na rozgłosie. Ja na przykład, czternastoletni dzieciak, chciałem o wszystkim zapomnieć. A Dolhet i Daelmans mieli największą władzę w okolicy. Jeśli coś postanowili, nikt się nie sprzeciwiał.

– Czy Fontaine brał w tym aktywny udział?

Pirot prychnął.

– On, nie, jest śliski jak piskorz. Zajmował się podżeganiem i miał innych od czarnej roboty, tak jak dzisiaj. To jego specjalność.

– Daniel di Bartolo?

Pirotowi pociemniały oczy.

– Daniel... Tak, to prawdziwa tragedia. Poza tym, że był pod szkołą i trochę pokrzyczał, nie zrobił nic złego. Może się bał, że jeśli nie pójdzie, straci swoją pozycję w grupie. Powiesił się chyba dlatego, że w jego ocenie nie powinien był dopuścić do tego, co się stało. Sporo się wtedy nauczyłem, czym jest gra o władzę. Że na przykład nie wolno się wahać przed wycofaniem się z



czegoś, co się uważa za złe, nawet kosztem utraty prestiżu i wysokiego miejsca na drabinie władzy.

Martine wiedziała, że Michel Pirot w swojej poprzedniej pracy był jednym z nielicznych szefów, któremu udało się trzymać z daleka od szeroko komentowanej afery opcyjnej.

– Nicolas Forgeron? – spytała.

– Już powiedziałem, co zrobił. Często się zastanawiałem dlaczego. Wydaje mi się, że wtedy był trochę zafascynowany André Fontaine'em, jego elitaryzmem i ideą nadczłowieka. Nicolas był niesamowicie bystry i André dawał mu fory, żeby czuł się lepszy od innych. Chyba dlatego, żeby zdyskredytować Daniela. Ponieważ Nicolas był inteligentny, szybko mu to przeszło, ale zło już się stało. Czy zna pani jego powieść *Chrzest ogniem*? Czytając ją, można się domyślić, że dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu tego, co się wydarzyło w Aubermont. Ale mnie nie było go żal. Nic a nic.

Jak dotąd Pirot nie zapytał, dlaczego rozgrzebują tę starą historię. Martine zwróciła mu na to uwagę.

Spojrzał na nią.

– Czuję, że szkielet wypadnie z szafy właśnie teraz, kiedy Nicolas jest w drodze na szczyt. Spodziewałem się, że ktoś mnie o to spyta.

– Dlaczego sam pan się nie zgłosił?! – wybuchnęła Martine. – Wiedziały o tym dwie osoby postronne. Jedna nie żyje, druga leży na oddziale intensywnej terapii.

– Wolno spytać, kim są te osoby?

– Nie żyje Jeanne Demaret, a Dominic di Bartolo walczy o życie.

Pirot był wstrząśnięty.

– Nie miałem pojęcia, że wiedział. Gdybym miał, mógłbym z nim porozmawiać. Nico kolegował się z moim młodszym bratem.

– Pańska żona wie?

– Tak, Claire wie. Nie można żyć ze sobą, zatajając coś takiego.

– A zna pan nazwisko przyjaciela Fontaine'a?

– Mówiło się na niego Congo. Raz słyszałem jego prawdziwe imię i nazwisko i przed pani przyjściem próbowałem je sobie przypomnieć, ale niestety. Możliwe, że wpadnie mi do głowy w najmniej oczekiwanym momencie. Wtedy się do pani odezwę.

Kiedy Martine wróciła do biura, zadzwonił Didier Marchal z lokalnej policji w Luton i poinformował, że Gilberte de Ridder została znaleziona martwa w swojej willi.

# ROZDZIAŁ 14

Niedziela 10 kwietnia 1994

Kiedy Thomas przyszedł, ojciec Domitien już siedział przy stoliku w Café de la Cathédrale, zamówił cappuccino i croissanta i patrzył na tłumy ludzi mrowiących się na placu katedralnym.

– To uprzejme z pańskiej strony, że się pan ze mną skontaktował i zechciał ze mną spotkać. – Ojciec Domitien wstał i przywitał się z Thomasem uściskiem dłoni. – Od tylu lat zastanawiałem się, co się stało z moimi przyjaciółmi.

Thomas usiadł i zamówił espresso. Wyraz oczekiwania na twarzy księdza wprowadził go w zakłopotanie. Sądząc po tym, co w zaufaniu usłyszał od Martine w sobotę wieczorem, wszystko przemawiało za tym, że przyjaciółka ojca Domitiena i jej dzieci zginęli koszmarną śmiercią w pożarze szkoły w Aubermont.

Ale tego nie mógł powiedzieć.

Wyjął portfel, do którego wsunął zdjęcie w złożonej kopercie. Ostrożnie je wyłuskał i położył przed ojcem Domitienem. Ten podniósł je kciukiem i palcem wskazującym i uważnie się przyglądał. Na jego szczupłej wrażliwej twarzy malowały się różne uczucia: radość, melancholia, ciekawość.

– Tak, to dzieci Cécile... Chyba pan rozumie, że chciałbym się dowiedzieć, w jakich okolicznościach wszedł pan w posiadanie tego zdjęcia i co pan wie o ich losach.

– Niestety, nie mogę zbyt dużo powiedzieć. Ma to związek ze śledztwem, które prowadzi moja żona i o którym w zasadzie nic nie wiem. W każdym razie obawiam się, że musi się ojciec przygotować na to, że ojca przyjaciele zmarli, że nie żyją od wielu lat.

Stado gołębi poderwało się z placu, kiedy zegar na Saint Jean Baptiste wybił kwadrans: jedno mocne uderzenie, głuchy, ostateczny dźwięk, mącający spokój kwietniowego poranka.

– Nie jestem tym szczególnie zszokowany. – Ojciec Domitien gwałtownie zamieszał kawę. – Ale naprawdę chciałbym wiedzieć, co ich spotkało.

– Powinien się ksiądz bezwzględnie skontaktować z moją żoną. Niewykluczone, że informacje księdza mogą okazać się przydatne w śledztwie.

Thomas wyjął z kieszonki na piersi swoją wizytówkę i napisał służbowy numer telefonu Martine do Pałacu Sprawiedliwości.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Proszę mi opowiedzieć o Cécile Naigiziki i jej dzieciach – odezwał się Thomas. – Jak ksiądz ich poznał i jak trafili do Villette?

Ojciec Domitien wpatrywał się stół niewidzącym spojrzeniem.

– Chyba już panu mówiłem, że dorastałem w Afryce, w Kigali, gdzie ojciec pracował w belgijskim urzędzie administracji kolonialnej. Jej rodzina należała do miejscowej elity Tutsi i Cécile odebrała staranne wychowanie. W wieku jedenastu lat została sierotą i moja matka zaopiekowała się nią. Jej pozycja w naszym domu była trochę dwuznaczna, w każdym razie ona i ja zostaliśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Thomas usłyszał króciutką pauzę przed „dobrymi przyjaciółmi” i pomyślał, że może to było coś więcej, że młody Domitien Rolland żywił gorętsze uczucia do swojej czarnej przybranej siostry. Bo dlaczego miałby jej szukać pół wieku później?

Ojcu Domitienowi pociemniały oczy.

– Kiedy miała osiemnaście lat, poznała belgijskiego oficera, który – elegancko rzecz ujmując – zabiegał o jej względy, a chodziło mu oczywiście tylko o to, żeby zaciągnąć ją do łóżka. Ale Cécile była pobożną katoliczką i się szanowała. W końcu postanowił się z nią ożenić. Pobrali się w tajemnicy, mając za świadków dwoje służących. Nie było mnie wtedy w Kigali, studiowałem na uniwersytecie w Leuven, o wszystkim dowiedziałem się później od Cécile.

– Madame Butterfly – skomentował Thomas.

– Tak – z goryczą potwierdził ksiądz. – Akt ślubu potraktował jak świstek papieru, kiedy już zaspokoił swoje seksualne zachcianki, żeby zakosztować egzotycznych rozkoszy. Krótco potem wrócił do Belgii. Cécile naiwnie wierzyła, że niebawem ją do siebie sprowadzi, tymczasem już nigdy się do niej nie odezwał. W pięćdziesiątym pierwszym urodziła córkę Marie-Félice. Kilka lat później, kiedy w końcu zrozumiała, że jej Basti ją porzucił, związała się z innym mężczyzną i urodziła mu syna Christophe’a. W pięćdziesiątym dziewiątym w Rwandzie wybuchły walki wewnętrzne i wielu Tutsi opuściło kraj, między innymi Cécile i jej rodzina. Trafili do Konga, gdzie Cécile zatrudniła się jako gosposia u wyższego belgijskiego urzędnika kolonialnego. Potem z powodu walk, które rozgorzały po uzyskaniu przez Kongo niepodległości, jakimś sposobem znalazła się wśród osób ewakuowanych samolotem wojskowym do Belgii.

Ewakuacja miała objąć obywateli belgijskich, ale grupie czarnych Rwandyjczyków udało się do nich dołączyć. Sytuacja była wyjątkowa, od żadnej z walczących stron w Kongu nie można się było spodziewać cienia sympatii.

Ojciec Domitien nie znał szczegółów, jak to się stało, że Cécile Naigiziki i jej dzieci trafiły do Aubermont. Z listu, który od niej dostał, dowiedział się tylko, że ma czasowe lokum w Villette i że napisała do mężczyzny, z którym nadal pozostawała w związku małżeńskim. Miała nadzieję, że przynajmniej zechce wziąć odpowiedzialność za swoją córkę.

– Czy kiedykolwiek się do niej odezwał? – spytał Thomas.

Ksiądz pokręcił głową.

– Można spokojnie założyć, że belgijski oficer robiący karierę nie chce znać dziecka rasy mieszanej ani czarnej żony, z którymi się w ogóle nie kontaktował.

Thomas zapłacił za kawę. Zamierzał pójść do cytadeli i sprawdzić, czy znajdzie w tamtejszym archiwum coś, co rzuci więcej światła na wydarzenia w Mougins-la-Fontaine.

Michèle Luys spojrzała przez okienko w drewnianej furcie i rozpromieniła się na jego widok. Ciężki klucz z chrzęstem obrócił się w zamku i ciężkie nitowane drzwi uchyliły się na tyle, żeby mógł wejść.

– Witam, panie profesorze, cieszę się, że mogę pomóc – powiedziała Michèle z entuzjazmem, który nagle wydał się Thomasowi wyjątkowo gorący.

Michèle Luys była jedną z jego najzdolniejszych doktorantek, jej praca o stosunkach między feudalną ziemską arystokracją a rozwijającą się klasą kupców na przełomie XIV i XV wieku zapowiadała się na świetną i nowatorską. Thomas z czystym sumieniem poświęcał Michèle długie godziny jako jej opiekun naukowy.

Ale gdzieś z tyłu głowy miał świadomość, że Michèle jest niezwykle atrakcyjna, i wolałby, żeby Martine o tym nie wiedziała. Parę razy posunął się do skomplikowanych manewrów, byle tylko nie doprowadzić do ich spotkania. Michèle była bardzo podobna do Martine sprzed dziesięciu lat, acz nie ubierała się równie wykwintnie.

Teraz upięła jasne włosy w niedbały kok na czubku głowy i wetknęła na krzyż dwa długopisy. Dla ochrony przed chłodem w archiwum na biały T-shirt i obcisłe dzinsy włożyła czarny blezer. Nosila okulary w niemodnej, grubej czarnej oprawce, które zsuwały się na czubek nosa, ilekroć coś ją zaabsorbowało.

Czekała na niego. Pośrodku pokoju, na okaleczonym blacie solidnego dębowego stołu Thomas zobaczył kosz piknikowy i dwa kieliszki.

Zaczerwieniła się, widząc, że popatrzył na kosz.

– Zabieram lunch ze sobą, żeby nie tracić czasu, i pomyślałam, że może pan profesor...

Dokończyła cicho i niewyraźnie.

Thomas usiłował przybrać poważny profesorski ton.

– Dziękuję, Michèle, to miłe z twojej strony. Ale chyba będzie lepiej, jeśli najpierw popracujemy.

Podszedł do kartoteki w głębi pokoju.

– Nad czym pan profesor pracuje? – zapytała z niekłamana ciekawością.

Nie było powodu, żeby to przed nią ukrywać. Thomas o wszystkim jej opowiedział. Słuchała ze zmarszczonymi brwiami, obracając pióro w smukłych palcach.

– Na czym polega problem? – zapytała, kiedy skończył. – Chyba wszystko jest jasne.

– Tak, wiem. Ale mam takie uczucie, że czegoś tu brakuje. Może po prostu za łatwo to poszło. Tak czy inaczej, naprawdę chciałbym się dowiedzieć, co się działo w Mougins po masakrze.

Michèle powoli, z namysłem pokiwała głową.

– Dość dużo wiem o jednej osobie zamieszanej w tę sprawę, o Rolandzie de Bioulu, panu na Martigny, który w tamtym okresie miał poważne kłopoty finansowe.

Thomas znał pracę doktorską Michèle i nie pamiętał nazwiska de Bioula z jej opisu finansowych i matrymonialnych powiązań między szlachtą i kupcami. Zwrócił jej na to uwagę.

Okulary Michèle zsunęły się na czubek nosa.

– Owszem, ale pracując tutaj, znalazłam sporo nowych materiałów i część dotyczy właśnie de Bioula i jego nieudanych interesów. De Bioul zainwestował w import towarów ze Wschodu, których zakup powierzył grupie włoskich kupców z Brugii, ale ich statek zatonął podczas zimowych sztormów pod koniec tysiąc czterysta trzeciego roku, i został bez grosza. Żeby mieć gotówkę na tę inwestycję, zastawił Martigny i w roku tysiąc czterysta czwartym czynił desperackie próby zdobycia pieniędzy, byle nie stracić swoich włości.

Thomas poczuł, jak włosy podnoszą mu się na karku. Spojrzał wyczekująco na Michèle.

– Wiesz, komu oddał w zastaw Martigny?

Michèle podsunęła okulary.

– Zastawił majątek w jakimś włoskim banku, nie pamiętam w jakim, ale zapisałam nazwę i gdzie ją mam w notatkach.

– Czy mogłabyś ją od razu odszukać? Ja przejrzę rejestry podatkowe i postaram się sprawdzić, co się stało z Mougins.

Poszedł do kartoteki, Michèle zdjęła z półki skoroszyty i notatnik, rozłożyła je na biurku, usiadła i wyjęła długopis z koka.

Interesujące Thomasa rejestry były w jednym z wewnętrznych pomieszczeń. Szybko znalazł informacje o Mougins za rok 1410. Majątek należał do Raymonda de Hierges'a. W latach 1407–1409 też figurował jako właściciel Mougins-la-Fontaine.

Usłyszał pełen entuzjazmu głos Michèle:

– Profesorze Héger!

Kiedy wrócił do pokoju, w którym siedziała, podniosła głowę znad papierów. Miała zaróżowione policzki i okulary na czubku nosa, niżej niż kiedykolwiek.

– Żoną Rolanda de Bioula była Catherine d'Orbais! Wiedziałam, ale dopiero teraz skojarzyłam, jestem prawie pewna, że to siostra Bernarda d'Orbais'go.

– Czyli mogłaby odziedziczyć Mougins-la-Fontaine?!

Michèle zapalczywie pokiwała głową.

– A ten bank to Banco Santangelo.

Thomas przeglądał rejestry podatkowe drżącymi z podniecenia dłońmi. 1406 – Raymond de Hierges, 1405 – bingo! Raymond de Hierges nabył Mougins-la-Fontaine w październiku 1405 roku od... Banco Santangelo.

Nazwa banku aż biła w oczy, jakby zapisano ją ognistymi literami, i stanowiła brakujące ogniwo fatalnego łańcucha wydarzeń, których mroczne konsekwencje zaczynał sobie uświadamiać. Późnym latem 1404 roku spadkobierców zamożnego Bernarda d'Orbais'go zamordowali ludzie z posiadłości należących do jego zadłużonego szwagra Rolanda de Bioula. Czy cały majątek po bracie odziedziczyła żona de Bioula? W każdym razie bank, który przyjął w zastaw dobra Rolanda de Bioula, w rok po masakrze nagle stał się formalnym właścicielem Mougins-la-Fontaine, włości Bernarda d'Orbais'go.

Thomasowi coś zadzwoniło w uszach. Znał ten dźwięk. Dobrze mu znany dźwięk prawdy.

Martine wzdrygnęła się, widząc krwawe ślady kocich stóp w salonie, gdzie leżała Gilberte de Ridder. Było dużo krwi. Gilberte zapewne jeszcze żyła, kiedy została przeniesiona z hallu, gdzie spotkała swojego mordercę. Fotografowie i technicy kryminalni zrobili swoje, karawan pogrzebowy właśnie odjechał z jej doczesnymi szczątkami. Drzwi wejściowe stały otworem, dzięki czemu odór kociego moczu, śmieci i śmierci nie był zanadto dojmujący. Albo zdążyła do niego przywyknąć.

– Ktoś musi się zaopiekować kotami – powiedziała zbyt głośno.

Jej słowa rozbrzmiały echem w wielkim pokoju.

Stojący tuż obok Didier Marchal spojrział na nią pytająco.

– Zaopiekować się?

– Tak – odparła z gestem zniecierpliwienia. – Trzeba z nimi coś zrobić, nie mogą się kłębić w pustym domu. Ale to chyba sprawa gminy?

Marchal skinął głową.

– W piwnicy są kocięta, pomyślałem, że może mógłbym je zanieść moim dzieciom...

– Bardzo proszę.

Martine była ciekawa, ile Marchal ma dzieci, ile mają lat i jakie mają imiona, ale postanowiła nie zadawać mu takich pytań.

Przez chwilę milczeli.

– No tak, dlaczego Gilberte de Ridder nie żyje? – spytała.

– Sądzimy, że ma to jakiś związek z morderstwem Jeanne Demaret, to znaczy ja tak sądzę i dlatego do pani zadzwoniłem.

– Bardzo dobrze pan zrobił, też tak myślę, inne powody wydają się mało prawdopodobne. Możliwe, że wiedziała coś więcej o mężczyźnie, który stał na czatach w jej ogrodzie. Może zobaczyła coś, dzięki czemu mogła go zidentyfikować. Albo go rozpoznała. Tylko dlaczego nic nam nie powiedziała?

– Może dlatego, że się przestraszyła. A ten gość mógł ją uciszyć w obawie przed tym, że mogłaby coś powiedzieć.

Ale według słów szalonej Gilberte człowiek w ogrodzie jej nie widział. Martine i Julie przeczytały przed przyjazdem do Luton jej zeznania i Martine miała w pamięci każde zdanie. Gilberte powiedziała, że zauważyła mężczyznę przez okno i wyszła na schody, żeby sprawdzić, co robi w jej ogrodzie. Zobaczyła, jak wskakuje na mur i macha ręką, jakby dawał komuś znaki.



Nie odezwała się do niego, on jej nie widział. Do tego momentu jej relacja była spójna i logiczna. Dopiero na pytanie o wygląd intruza zaczęła wygłaszać nedorzeczne tyrady i miotać obelgi.

Do jakiego stopnia Gilberte była szalona? Martine przypomniała sobie, że Didier Marchal też się nad tym zastanawiał. Chciałaby poznać prawdę. Rozejrzała się po salonie. Wysokie okna, piękne proporcje, kominek z zielonego marmuru, który mógłby pomieścić byka, spłowiełe aksamitne zasłony.

Jeśli mieszkanie Jeanne Demaret, wysprzątane i dopieszczane jak dom dla lalek, skrywało pieczołowicie strzeżoną tajemnicę, co można byłoby powiedzieć o życiu Gilberte na podstawie jej opustoszałej, popadającej w ruinę willi?

– Co pan właściwie wie o Gilberte de Ridder?

– Znam jej rok urodzenia i miejsce zamieszkania i niewiele więcej. Aha, wiem, że jest właścicielką willi, którą odziedziczyła po rodzicach. Dowód osobisty zwykle trzymała w szufladzie w kuchni. Może są tam jakieś inne dokumenty.

Dowód rzeczywiście leżał w jednej z szuflad wysokiej i przypuszczalnie wartościowej szafy razem ze zmatowiałymi srebrnymi łyżkami, zepsutym grzebieniem i kilkoma brudnymi chusteczkami do nosa.

Gilberte de Ridder urodziła się w Brukseli 11 czerwca 1931 roku i była panną. Wyglądała starzej, pomyślała Martine. Panna? Nie rozwódka, nie wdowa, tylko panna?

Przypomniała sobie jej zgryźliwy śmiech i zaskakująco ładny głos: „Dobrze znam mężczyzn. Jeśli się ich nie pilnuje, chodzą do Murzynek, Filipinek i wszelkiej maści lafirynd”.

– Kto może wiedzieć o niej coś więcej? Od jak dawna tu mieszkała i jakie życie prowadziła, zanim oszalała?

Didier Marchal zastanawiał się przez chwilę.

– Najlepiej byłoby o nią spytać Victora Florivala. Od niepamiętnych czasów był inspektorem tutejszej policji. Kilka lat temu przeszedł na emeryturę, ale wciąż mieszka w Luton. Widuję go czasem na Place Marie de Bourgogne.

– Julie, namierz go i zapytaj, czy możemy z nim porozmawiać. Zadzwoń z telefonu samochodowego.

Didier Marchal i Julie popatrzyli na Martine, zaskoczeni jej stanowczością. Sama nie miała pojęcia, dlaczego musi natychmiast zdobyć informacje o Gilberte de Ridder, ale była absolutnie pewna swego, bo intuicja, która rzadko dawała o sobie znać, zazwyczaj jej nie myliła.

Victor Florival mieszkał w jednym z małych domów z muru pruskiego opodal starego rynku. Czekał na nich na schodach, zadowolony, że będzie miał towarzystwo i będzie mógł pomóc w śledztwie. Wysoki i szczupły, o jasnoniebieskich oczach, w okularach w metalowej oprawce, bardziej przypominał nauczyciela akademickiego niż emerytowanego policjanta.

– Biedactwo – powiedział. – To trochę szokująca wiadomość, że została zamordowana. Czy to morderstwo na tle rabunkowym? Czy miała w domu dużo pieniędzy?

– Pieniądzy? – niemądrze powtórzyła Martine.

– Tak, przypuszczalnie była najbogatsza w Villette. Ale może o tym nie wiedzieliście...?

Wszyscy troje wpatrywali się w niego z otwartymi ustami, jak ryby w akwarium. Martine zauważyła, że cieszy go ich zdumienie. Dobrze wiedział, że nie wiemy, pewnie od dawna nikt się z nim nie liczył, pomyślała gorzko, czując jednocześnie, że właśnie teraz usłyszy coś, co może się okazać rozstrzygające w sprawie morderstwa Jeanne Demaret i Gilberte de Ridder.

Victor Florival zaprowadził ich do dużego pokoju z widokiem na ogródek, wypełnionego regałami z książkami i zdjęciami ilustrującymi różne okresy z historii Villette. Na stole przy zestawie kanapowym Martine zobaczyła książkę Thomasa o Raimuncie de Verneyu.

Victor Florival pochwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się.

– To takie moje małe hobby – wyjaśnił. – Od zawsze fascynowała mnie historia Villette, a po przejściu na emeryturę postanowiłem ją zgłębić jeszcze bardziej. Gilberte zainteresowałem się trochę bliżej, ponieważ była wnuczką po kądzieli Léo Dequenne’a, jeśli to wam coś mówi?

Zabrzmiało to jak pytanie, ale Victor Florival nie czekał na odpowiedź. Kiedy Julie energicznie pokiwała głową, udał, że tego nie widzi, szczęśliwy, że nareszcie może wygłosić wykład ze swojego ulubionego przedmiotu, mając przed sobą gorliwych słuchaczy.

Léo Dequenne, dziadek Gilberte de Ridder, na przełomie wieków magnat stalowy w Villette, był właścicielem jednej z tych stalowni, które na początku XX wieku stały się częścią składową Forges de Villette, czyli Forvilu. Zawsze z powodzeniem lokował swoje pieniądze i w odpowiednim momencie się wycofywał. W latach trzydziestych uchodził za najbogatszego człowieka w Belgii.

W życiu prywatnym miał mniej szczęścia. Jego dwaj synowie polegli w pierwszej wojnie światowej, żona zmarła na hiszpańską grypę. Przeżyła tylko córka Marie, jego jedyna spadkobierczyni, która pod koniec lat dwudziestych poślubiła dyplomatę Philippe’a de Riddera i w roku 1931 urodziła Gilberte.

Drugą wojnę światową Marie Dequenne spędziła w Londynie, gdzie Philippe de Ridder pracował dla belgijskiego rządu na uchodźstwie. Po wojnie rodzina mieszkała w Ankarze, Genewie i Waszyngtonie. W Villette bywali rzadko albo wcale.

Na początku 1961 roku Léo Dequenne zmarł w swojej willi na Clos des Lilas. Żył w odosobnieniu i większość czasu poświęcał na działalność dobroczynną. Marie Dequenne i jej małżonek ambasador, który właśnie odszedł na emeryturę, postanowili opuścić Brukselę i osiąść w Villette, w domu rodzinnym Marie.

– Pamiętam moje pierwsze spotkanie z nimi – powiedział Victor Florival. – Byłem wtedy młodym, świeżo upieczonym inspektorem. Oboje, ambasador i jego żona, zrobili na mnie ogromne wrażenie. Ona, mimo że przekroczyła pięćdziesiąt lat, była czarująca, elegancka i obyta w świecie.

Martine straciła cierpliwość.

– A Gilberte?!

– Wszystko w swoim czasie – odparł Florival. – Próbuję naświetlić tło, żebyście zrozumieli, że Gilberte nie była znana w Villette, nie biegała tutaj jako mała dziewczynka. Czasem się nad tym zastanawiałem. Ambasador i jego żona zawsze byli serdeczni i uprzejmi, ale nie do tego stopnia, żeby usiąść przy kuchennym stole i wdawać się w pogawędkę z dzielnicowym. Mimo to po pierwszym spotkaniu wyszedłem z przeświadczeniem, że przeprowadzili się do Villette, żeby być bliżej córki, która mieszkała z mężem w Mons. Ale ani Gilberte, ani jej mąż ani razu ich nie odwiedzili. Gilberte pojawiła się dopiero w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, zamieszkała z rodzicami i zarejestrowała się w tutejszym urzędzie skarbowym. Lily, pomoc domowa, którą zatrudniali, powiedziała mi, że panienska ma wątłe nerwy i przez kilka lat była w jakiejś klinice w Szwajcarii.

– A co z jej mężem? – spytała Julie.

– Nigdy się o nim nie mówiło. Też mnie to nurtowało i zagadnąłem o niego Lily. Nic nie wiedziała o żadnym młodym panu.

Martine była ciekawa, jak Gilberte wówczas wyglądała, jak się zachowywała i czy już wtedy była szalona.

– Była ładna, niewysoka, szczupła, miała kasztanowe włosy i elegancko się ubierała – odparł Florival. – Sprawiała wrażenie osoby nieśmiałej, nie udzielała się towarzysko, w najlepszym razie chodziła z rodzicami na koncerty i wystawy.

Na początku lat siedemdziesiątych Gilberte nagle rozpoczęła nowe życie. Zatrudniła się jako tłumaczka w Komisji Europejskiej w Brukseli, biegle znała angielski, niemiecki i włoski, znalazła tam mieszkanie i coraz rzadziej wracała do Villette.

Małżonkowie de Ridder zmarli pod koniec lat siedemdziesiątych. Po ich śmierci Gilberte zaczęła przyjeżdżać do willi na Clos des Lilas z mężczyzną, Francuzem, który też pracował w Komisji i po pewnym czasie wprowadził się do niej na stałe. Idylla trwała w najlepsze, dopóki na początku lat osiemdziesiątych Gilberte nie nakryła swojego ukochanego w łóżku z filipińską służącą. Chwyliła za nóż i wyrzuciła oboje na ulicę.

– No to mamy Filipinkę – szepnęła Julie do Martine. – Ciekawe, kim była Murzynka.

– Od tamtej pory było z nią coraz gorzej. Przestała pracować, unikała ludzi, przestała o siebie dbać. Miała jakiegoś administratora, który zarządzał majątkiem i zajmował się płatnościami, ale nie wiem, kto to taki.

Zupełnie jak w powieści, pomyślała Martine, w miarę kolejnych zwrotów akcji coraz bardziej urzeczona tą historią. Mnóstwo w niej było motywów zbrodni, jak zwykle, kiedy wchodziły w grę duże pieniądze. Kto dziedziczy po Gilberte? Czy jest jakiś testament? Musi się tego dowiedzieć.

Jeśli Gilberte de Ridder została zamordowana na tle majątkowym, jej śmierć nie miałaby nic wspólnego ze śmiercią Jeanne Demaret. Byłby to jednak wyjątkowo dziwny zbieg okoliczności, że świadek morderstwa ginie parę dni później z zupełnie innego powodu.

Martine zastanowiło, że Victor Florival wymienił rok 1961, w którym wszystko się zaczęło.

– Powiedział pan, że małżonkowie de Ridder wprowadzili się do domu na Clos des Lilas w sześćdziesiątym pierwszym. Czy przypomina pan sobie, jaki to był miesiąc?

Myślał przez chwilę.

– Zaraz, zaraz... Léo Dequenne zmarł wiosną. Pamiętam, że kiedy ambasador z żoną przyjechali pierwszy raz, kwitły wiśnie. Zanim tam zamieszkali, zlecieli generalny remont i wprowadzili się jesienią. W lecie dom stał pusty. Czasami tam zaglądałem, stąd wiem. Zabawne, że pani o to pyta, bo zdarzyło się coś dziwnego. Kilka razy w lipcu i w sierpniu sąsiedzi informowali, że wieczorami są tam jacyś ludzie, ale kiedy przychodziłem sprawdzić, nigdy nie zauważyłem śladów włamania, wszystko wydawało się w nienagannym porządku. Pomyślałem, że to pewnie architekt wnętrz albo rzemieślnicy, których zatrudnił ambasador. Okazało się, że

nie, o czym dowiedziałem się we wrześnie, bo wtedy zaczęły się prace remontowe. Ponieważ nic nie zginęło i niczego nie zniszczono, nie zajmowałem się tą sprawą. Ale to było dziwne.

Luc Devos mieszkał nad garażem swojego pracodawcy. Christian de Jonge przystanął na starannie zagrabionym podwórzu i rozejrzał się. Na wprost, z widokiem na rzekę, stał niski budynek: biały, długi, z mansardowym dachem i dwoma rzędami wysokich okien. Dom bogacza, pomyślał Christian. Devos mieszkał w przybudówce po lewej. Drzwi sąsiadujące z trzema szerokimi bramami garażowymi prowadziły do wąskiego korytarza i dalej, stromymi schodami do mieszkania.

Luc Devos czekał na Christiana. Niewysoki, silnie zbudowany, o muskularnych ramionach i udach, w spodniach khaki i ciemnej rozpiętej koszuli. Ostrzyżony na jeża, oczy czarne, nieprzeniknione. Na szyi gruby złoty łańcuch, na nadgarstku drogi rolex. Wierny sługa i człowiek od wszystkiego, ktoś, komu szef ufa i czasami sprawia kosztowne prezenty.

– No, kiedy zwrócić mi samochód? – spytał Devos, ledwie uściśnił sobie dłonie.

Miał miażdżący uścisk, jakby chciał pokazać, kto tu rządzi.

Christian natychmiast się zirytował.

– Obawiam się, że to jeszcze trochę potrwa, musimy pobrać próbki, żebyśmy mogli powiązać sprawcę z przestępstwem. To dla pana kłopot?

– Nie, skąd – obojętnie odparł Devos. – Pułkownik pozwala mi korzystać ze swoich wozów. Napije się pan czegoś?

Christian miał ochotę na piwo i kiedy Devos po nie poszedł, rozejrzał się po mieszkaniu. Duży pokój z oknami na dwie strony, do którego wchodziło się prosto ze schodów. Po prawej wąski korytarz prowadzący do kuchni. Dwoje zamkniętych drzwi, jedno pewnie do sypialni, drugie do łazienki.

W pokoju dominował zestaw do siedzenia z obiciami z brązowej skóry, ogromny telewizor i szpanerski barek. Pod stołem leżała skóra zebry, na ścianie, obok czegoś, co wyglądało jak ciosy słonia, wisiała skóra leoparda. To nie wszystko. Christian nie widział tylu afrykańskich trofeów i pamiątek od czasów szkolnej wizyty w Muzeum Afryki Środkowej w Tervuren.

Devos przyniósł dwie puszki piwa i wyjął z barku szklanek dla Christiana. Sam pił z puszki.

– Widzę, że długo był pan w Afryce – odezwał się Christian, wskazując głową trofea na ścianie.

– Zgadza się. Pojechałem do Konga w latach pięćdziesiątych z drugim batalionem komandosów, są teraz we Flawinne.

– A kiedy wrócił pan do Belgii?

– W sześćdziesiątym z pułkownikiem Theroux, dla którego pracuję. Wtedy nie był jeszcze pułkownikiem.

– Z pułkownikiem Theroux? Tym, który był ministrem obrony w latach osiemdziesiątych?

Devos przytaknął. W jego ciemnych oczach pojawiło się coś na kształt dumy. Tak, wierny sługa, pomyślał Christian, żołnierz, który lojalnie trwa przy swoim pułkowniku i od trzydziestu pięciu lat słucha jego rozkazów.

Znał Theroux, niezbyt dobrze, ale wszyscy wiedzieli, kim był: wojskowy o ambicjach politycznych, mający znakomite kontakty w Waszyngtonie. Czy jego nazwisko nie pojawiło się przypadkiem w związku z ostatnimi spekulacjami na temat objęcia wysokiego stanowiska w NATO?

Devos przyglądał mu się.

– Chyba nie przyszedł pan po to, żeby mnie wypytywać o Afrykę?

– Nie, miałem nadzieję, że dowiem się czegoś więcej niż policja lokalna, jak doszło do kradzieży pańskiego samochodu.

Devos wzruszył ramionami.

– Niewiele tu jest do opowiadania. Wszedłem do kiosku z gazetami i kiedy płaciłem, usłyszałem, że ktoś odpala mój wóz. Wybiegłem i zobaczyłem, jak odjeżdża Rue de l'Abbaye.

– Czy zauważył pan coś przed kioskiem, na przykład kogoś, kto patrzył na pański samochód?

– Przed warzywniakiem jakieś pańce wybierały sobie pomidory, na ulicy stało paru długowłosych łobuzów, ale żeby ktoś się gapił na mój wóz... Nie, nie zauważyłem. Chociaż kiedy wchodziłem do kiosku, minąłem się w drzwiach z jakimś Arabem. Tak, teraz sobie przypominam, że mu się spieszyło.

– Jak wyglądał?

– Normalnie, jak Afrykanin, śniady, niepewne spojrzenie...

– Miałem na myśli wiek, ubranie, znaki szczególne – wyjaśnił spokojnie Christian.

Wątpił w istnienie Araba, ale chciał utwierdzić Devosa w przeświadczeniu, że nie on jest obiektem ich zainteresowania, tylko jego spostrzeżenia.

Devos znów wzruszył ramionami.

– Tak na oko ze dwadzieścia pięć lat, dzinsy, czarna skóra, błyszcząca koszula, wyglądał trochę jak żigolak.

– Jakie gazety pan kupił?

– „Le Soir” i „La Libre”, chciałem poczytać o Rwandzie, tam jest mój stary pułk.

Cholerne rzeczy się tam dzieją.

To jego pierwszy spontaniczny komentarz, pomyślał Christian.

– Czy często zostawia pan samochód z kluczykiem w stacyjce?

Devos obrzucił go długim spojrzeniem.

– Jak mi się spieszy...

– Mimo że przed kioskiem stało paru długowłosych łobuzów?

– Widzieli, jak wysiadałem, chłopaki tego pokroju wolą ze mną nie zadzierać. Poza tym wciąż tam byli, kiedy wóz zniknął.

– Dlaczego pojechał pan po gazety do Abbaye-Village, chyba można je kupić gdzieś w okolicy?

Devos był niemile zaskoczony pytaniem. Zamilkł na kilka sekund, które wydawały się wiecznością. Lewą ręką zgniótł puszkę po piwie, co w nagłej ciszy zabrzmiało nienaturalnie głośno.

– Sprawdzalem menu w Chez l'Abbesse Mathilde. Myślałem, żeby zaprosić tam przyjaciółkę na kolację.

– Aha. I zaprosił pan?

– Nie, to dla mnie za drogo i mają jakieś wydumane dania.

Christian zauważył, że Devos stał się podejrzliwy. Zaczynał się domyślać, że policja nie interesuje się jego uwagami w sprawie złodziei samochodów, tylko nim samym. Siedział jak na szpilkach, z dłońmi na kolanach, i patrzył na ręce Christiana, jakby się spodziewał, że za chwilę zobaczy wyciągniętą broń.

Trzeba go uspokoić.

– Czy rozpoznałby pan tego Araba?

Devos minimalnie się rozluźnił.

– Chyba tak.

– Wobec tego być może zaprosimy pana do Pałacu Sprawiedliwości, żeby obejrzał pan kilka zdjęć. – Christian podniósł się z fotela. – Mamy kilku kandydatów, rozumie pan, recydywiści.

Zatrzymał się przed wąską ścianą obok schodów. Wisiało na niej sporo fotografii. Kilka bodaj z lat pięćdziesiątych. Młody, ale rozpoznawalny Devos w mundurze w towarzystwie innych młodych żołnierzy w afrykańskich realiach. Na jednym wyprostowany jak struna obok mniej więcej trzydziestoletniego oficera. Christian nie miał wątpliwości, że to Theroux. Był na wielu zdjęciach. Devos na baczność w mundurze szofera przy lśniącej limuzynie przed jakimś budynkiem rządowym i Theroux po cywilnemu z ręką na jego ramieniu, Theroux w mundurze przed główną kwaterą NATO w Mons podczas milej pogawędki z generałem o granitowej szczęce, przypuszczalnie głównodowodzącym NATO, Theroux z premierem...

Devos siedział w fotelu, Christian czuł na sobie jego badawcze spojrzenia. Spokój gospodarza wydawał się pozorny. Był napięty i podminowany.

W jednym rzędzie brakowało jednej fotografii, pusty prostokąt jaśniejszej tapety świadczył o tym, że coś tutaj wisiało.

– Robił pan porządki w zdjęciach? – spytał Christian z maksymalną nonszalancją, na jaką było go stać, i sekundę później usłyszał, że Devos się podnosi i staje za nim.

– Pękło szkło w ramce – rzucił krótko.

Christian ruszył do wyjścia, zostawiając Devosa na schodach. Dużo by dał za obejrzenie tego zdjęcia. Ciekawe, dlaczego je usunął. Przypuszczalnie było gdzieś w mieszkaniu, ale nie mógł niczego szukać bez nakazu. Przypomniawszy sobie o blaszanych koszach na śmieci przed furtką. Tam zawsze może zajrzeć.

W drugim koszu zobaczył coś w ramce. Wyjął, odwrócił i ostrożnie zamknął pokrywę.

Szkło nie pękło. Uśmiechnięty Theroux w mundurze galowym ścisnął dłoń króla Baudouina, obok stała młoda elegancka kobieta w toczku – żona? – a w tle oczywiście wierny Devos. Pewnie dlatego zachował to zdjęcie. Ale dlaczego je wyrzucił? Jakie stanowiło zagrożenie?

Czy wyzbywanie się sentymentalnych pamiątek miało jakiś związek z morderstwem i usiłowaniami morderstwa?



Poszedł do Luca Devosa z niejasnymi podejrzeniami, że samochód zostawiony samopas z kluczykiem w stacyjce, który miał posłużyć do zlikwidowania Dominica di Bartolo, to niekoniecznie dzieło przypadku. Teraz zaczynał się utwierdzać w swoich podejrzeniach. Ilekroć Devos się spinał i z trudem odpowiadał na niewygodne pytania, Christian czuł aż do szpiku kości, że coś ukrywa. Parę razy zrobiło się groźnie.

Wyjął zdjęcie z ramki i włożył ją do kosza.

Annick Dardenne doskonale wiedziała, że potrafi łączyć jak z nut. Mogła prosto w oczy i ze szczerym uśmiechem wciskać trzy czwarte prawdy, pół prawdy i zero prawdy. To była jej największa zaleta jako policjantki kryminalnej, nie licząc umiejętności wtapienia się w ścianę.

Podejrzewała, że w pełni wykorzysta swój talent, żeby się wywiązać z powierzonego jej zadania. Wcale nie było łatwe. Miała się dowiedzieć, co robił Nicolas Forgeron, kiedy zginęła Jeanne Demaret i o mały włos nie zginął Dominic di Bartolo, ale w taki sposób, żeby ani on, ani nikt inny niczego się nie domyślił.

Miała nadzieję, że Nicolas Forgeron jest niewinny. Była na jednym z jego spotkań i zrobił na niej wrażenie. Charyzmatyczny, żarliwie zaangażowany w zwalczanie wszelkich form niesprawiedliwości społecznej, tak różny od wszechobecnego zasiedziałego betonu i skorumpowanych cyników.

I nagle się okazało, że może być mordercą! Annick Dardenne była gotowa w to uwierzyć, nie miała większych złudzeń co do natury ludzkiej, zwłaszcza tej w męskim wydaniu, ale mimo to nie wyzbyła się nadziei.

Przejrzenie prasy było łatwiejsze, niż myślała. Redakcja „Gazette de Villette” mieściła się przy Avenue de la Gare w ciemnej, zniszczonej kamienicy z lat trzydziestych. W ogóle nie musiała tam wchodzić, bo w hallu można było nieodpłatnie przeczytać gazety z ostatniego tygodnia. Pomyślała, że im rzadziej będzie wymachiwać policyjną legitymacją, tym lepiej. Uśmiechnęła się nieśmiało do strażnika w recepcji i zasiadła do lektury.

Nicolas Forgeron był wymieniony trzykrotnie. W poniedziałek prowadził posiedzenie rady gminy w Messières. Po długiej dyskusji podjęto decyzję o sortowaniu śmieci. Na razie nic podejrzanego. Front Patriotique Belge rozdawał ulotki przed urzędem gminy i Nicolas Forgeron wdał się w burzliwą rozmowę z André Fontaine'em. O sortowaniu śmieci czy o czymś innym?

W środę gminne towarzystwo kulturalne zorganizowało któreś z rzędu spotkanie seminaryjne poświęcone współczesnej powieści belgijskiej. Tym razem miało traktować o

twórczości Nicolasa Forgerona. Ponieważ Forgeron obiecał wziąć w nim udział, mimo że w ostatnich latach prawie wcale nie wypowiadał się na temat swoich powieści, frekwencja dopisała. Ale nie przyszedł. Podobno nagle zachorował. Odpowiedzi na pytania dotyczące jego utworów udzielała w jego zastępstwie małżonka, literaturoznawczyni Elisabeth Sardou.

Dużo osób chciało się dowiedzieć, dlaczego przestał pisać. Elisabeth Sardou odpowiedziała trawestacją Marksa: „Pisarze rozmaicie tylko interpretowali świat, nam idzie jednak o to, aby go zmienić”. Wyjaśniła, że Nicolas Forgeron dokonał świadomego wyboru. Zamiast pisać powieści, postanowił spożytkować całą swoją energię i kreatywność na rzecz naprawy świata poprzez czynne uprawianie polityki.

Młody gimnazjalista zapytał o kanwę *Chrztu ogniem*. Annick czytała odpowiedź Elisabeth Sardou, czując dreszcz na plecach: „Wydarzenia z okresu wczesnej młodości Nicolasa boleśnie uświadomiły mu odpowiedzialność Belgii i Belgów za okrucieństwa w Afryce i obie jego powieści są próbą rozrachunku z tym problemem”.

Jeśli we wtorek Nicolas Forgeron z premedytacją przejechał Jeanne Demaret, żeby ukryć swój udział w wydarzeniach z sierpnia 1961 roku, można zrozumieć jego „nagłą chorobę”. Uczestnicząc w seminarium, musiałby odpowiadać na pytania o genezę *Chrztu ogniem*.

Nie był jednak bardzo chory, bo w czwartek przyszedł na mszę w intencji Jeanne Demaret. Jako jeden ze znanych mieszkańców Villette udzielił wywiadu, w którym mówił o jej wielkim znaczeniu dla społeczności. Na zdjęciu wyglądał na zmartwionego. Kiedy madame Demaret zaczęła uczyć w wiejskiej szkole, do której chodził, miał trzynaście lat. „Ona pierwsza powiedziała mi, że jestem coś wart, pierwsza zachęcała mnie do pisania i dodawała wiary w siebie”.

Judasz! – pomyślała Annick, rozjuszona do żywego, czym sama siebie zaskoczyła. Nie dlatego, że znalazła w prasie jakieś dowody obciążające Nicolasa Forgerona, bo nie znalazła i wcale się tego nie spodziewała, ale dlatego, że nie dopatrzyła się niczego, co oczyściłoby go z podejrzeń – że na przykład w tym czasie, kiedy Jeanne Demaret została przejechana, był na posiedzeniu, a kiedy usiłowano zamordować Dominica di Bartolo, rozdawał ulotki.

Musi szukać dalej.

Siedziba partii, dokąd się udała po więcej informacji o aktywności Forgerona w ostatnim tygodniu, tak jak redakcja „Gazette de Vilette” mieściła się na Avenue de la Gare, ale dalej od stacji kolejowej, nieopodal starszych dzielnic miasta. Zbudowana pod koniec lat dwudziestych

według projektu znanego, acz nieco ekscentrycznego architekta uchodziła za jeden z pomniejszych zabytków Villette.

Tutaj nie mogła dyskretnie wślizgnąć się do środka. Od głównego wejścia oddzielała ją solidna okratowana brama. Nacisnęła guzik domofonu, coś zazgrzytało, przedstawiła się, zamek kliknął, pchnęła furtkę w bramie.

Przebiegała mały brukowany dziedziniec z brązowymi posągami, pokonała cztery schody, otworzyła drzwi wejściowe i znalazła się w słynnym sześciokątnym atrium. Trzy kondygnacje, na ścianach malowidła z motywami górnictwa i hutnictwa, co – jak zapamiętała – ktoś określił mianem katedry pracy.

Recepcja była po lewej. Annick podeszła do lady, uśmiechnęła się do młodej kobiety i wyjęła policyjną legitymację.

– Jestem z Pałacu Sprawiedliwości, chciałabym porozmawiać z kimś, kto mógłby mi udzielić informacji o środkach bezpieczeństwa podczas kampanii wyborczej.

Recepcjonistka miała niepewną minę.

– Zarząd jest na zebraniu, raczej nie mogę im teraz przeszkadzać. Ale przed sekundą widziałam Francine de Gryse, rzeczniczkę prasową sztabu wyborczego...

Zawiesiła głos i popatrzyła na Annick.

– Oczywiście może być Francine de Gryse – zapewniła z uśmiechem Annick.

Recepcjonistka połączyła się z centralą, która przełączyła ją na numer wewnętrzny.

– Ktoś z Pałacu Sprawiedliwości chciałby się spotkać z Francine. – Po chwili pokiwała głową i odłożyła słuchawkę. – Trzecie piętro, pokój trzysta dwadzieścia jeden, z windy w lewo i za rogiem.

Winda była sprytnie wkomponowana w monstrualne malowidło, które chyba miało przedstawiać wielki piec. Zajmowało trzy kondygnacje i wieńczyły je białe-niebieskie płomienie. Wchodząc do windy, miała wrażenie, że wchodzi do wnętrza wielkiego pieca.

W pokoju 321 stało biurko, krzesła i regały na książki, które pewnie tam były od samego początku. Na zniszczonym blacie stała elektryczna maszyna do pisania. Przyjęła ją kobieta uczesana w koński ogon, w okularach w metalowej oprawce, ubrana w dżinsy, czerwony golf i ciemnoniebieski manchesterowy żakiet. Na jej twarzy malował się entuzjazm.

Annick okazała legitymację i przedstawiła się. Francine de Gryse skinęła głową i spojrzała na nią pytająco.

– Przychodzę prosto z odprawy w Pałacu Sprawiedliwości – zaczęła Annick, konstatając z niejakim zadowoleniem, że to prawda. – Pojawiła się kwestia bezpieczeństwa podczas kampanii wyborczej – kontynuowała, wciąż nie mijając się z prawdą. – Sytuacja stała się dosyć napięta w związku z kampanią FPB. Z tego, co wiemy, podczas poniedziałkowego posiedzenia rady gminy doszło do przykrego incydentu. Otrzymałam polecenie, żeby się zorientować, co zamierzacie w kwestii środków bezpieczeństwa i jak zaplanowaliście kampanię. Może doszło do większej liczby incydentów?

Francine de Gryse nie powzięła żadnych podejrzeń.

– Proszę usiąść. – Przysunęła do biurka metalowe krzesło. – Napije się pani czegoś? Wody? Kawy? – Wychyliła się na korytarz. – Aurélie! Mogłabyś przynieść dwie kawy? – Usiadła za biurkiem, krzesło niebezpiecznie zaskrzypiało. – Powinno stać w muzeum, jak większość tego wyposażenia. Tak, sprawy bezpieczeństwa. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że przyszła pani o to spytać akurat dzisiaj, bo to jeden z punktów porządku dziennego, który będzie omawiany na zebraniu zarządu. Może chciałaby pani być na sali, kiedy ta kwestia będzie poruszana?

– Nie, nie. – Annick lekko się spłoszyła. – Jestem posłańcem, mam zebrać trochę podstawowych informacji o planach kampanii i zdać z tego relację. Gdyby zechciała mi pani podać nazwisko kogoś, z kim moi zwierzchnicy mogliby się jutro skontaktować i poznać wnioski zarządu... Nawet nie pomyślałam, żeby spędzać niedzielę na zebraniu z politycznymi tuzami.

Uśmiechnęła się poufale do Francine de Gryse, która odwzajemniła się uśmiechem zrozumienia, wyjęła jakąś kartkę z pliku papierów na biurku, podkreśliła dwa nazwiska i wręczyła Annick.

– Eric Fabry i Jean-Pierre Santini. Zajmują się sprawami bezpieczeństwa. Eric pracuje tutaj, a Jean-Pierre w urzędzie gminy.

Annick podziękowała i schowała kartkę do torby.

– A jaki był przebieg tego poniedziałkowego incydentu? Czy doszło do bezpośrednich gróźb?

Francine de Gryse miała zakłopotaną minę.

– Nie było to przyjemne. Najpierw ta sama co zawsze banda nieudaczników z FPB rozdawała ulotki, ale tuż po zakończeniu posiedzenia zjawił się Fontaine w towarzystwie dwóch odrażających ochroniarzy i ledwie Nicolas zdążył opuścić budynek, od razu do niego

przyskoczył, a ochroniarze ustawili się w odwodzie. Doszło do straszliwej kłótni, nie można było usłyszeć, o czym mówią. Potem Nicolas nie chciał nic powiedzieć. Zauważyłam, że jest wzburzony, i zadałam mu to samo pytanie co pani, czy Fontaine mu groził, ale nie doczekałam się odpowiedzi. Po prostu nie wiem.

Annick pochyliła się nad biurkiem.

– Byłam na spotkaniu z Nicolasem Forgeronem parę tygodni temu, jest fantastyczny – powiedziała absolutnie szczerze. – To chyba oczywiste, że biorąc pod uwagę jego wysokie standardy, może stać się celem ataków rasistów i prawicowej ekstremy. Czy teraz, kiedy istnieje pewne zagrożenie, zapewnicie mu dodatkową ochronę?

Spojrzenie Francine de Gryse mówiło samo za siebie. Rozłożyła ręce w geście bezradności.

– Doskonale panią rozumiem, ale Nicolas nie chce o tym słyszeć...

– Nawet po kłótni z Fontaine'em...?

– Już następnego dnia, we wtorek, całe przedpołudnie jeździł całkiem sam, żeby kupić prezent urodzinowy dla żony...

Annick mocniej zabiło serce. We wtorek przed południem zginęła Jeanne Demaret. A Nicolas Forgeron „jeździł całkiem sam”. Jak ma teraz w miarę naturalnie zapytać, co robił w sobotę?

Na korytarzu rozległy się ciężkie kroki. To na pewno nie Aurélie z kawą, pomyślała Annick.

Francine de Gryse rozpromieniła się.

– Nicolas! Właśnie o tobie rozmawiamy!

Z dwiema filiżankami kawy wszedł Nicolas Forgeron, pisarz, burmistrz, parlamentarzysta, potencjalny minister i hipotetyczny morderca.

– Aurélie powiedziała, że masz gościa z Pałacu Sprawiedliwości, i pomyślałem, że muszę się dowiedzieć, o co chodzi – odezwał się głębokim ciepłym głosem, który świetnie się sprawdzał na wiecach, w radiu i telewizji.

Jedną filiżankę postawił przed Francine, drugą przed Annick i przysiadł na krawędzi biurka. Wysoki, szczupły, w dżinsach, czerwonym golfie i manchesterowej marynarce. Przypomina raczej francuskiego inteligenta niż przywódcę robotniczego, pomyślała Annick. Miał sińce pod oczami i ranę na brodzie, jakby się zaciął przy goleniu.

– Dobrze, że jesteś! Pani inspektor też jest tego zdania, że powinieneś mieć większą ochronę.

Forgeron popatrzył na Annick, na jej krótko ostrzyżone włosy, granatowe spodnie i nijaki żakiet z katalogu La Redoute, jakby jej w ogóle nie widział. Ani trochę się tym nie przejęła.

– Aha, inspektor...?

– Dardenne. Annick Dardenne.

– Pani inspektor Dardenne, od kiedy to Pałac Sprawiedliwości troszczy się o nasze bezpieczeństwo? Myślałem, że to raczej domena lokalnej policji albo żandarmerii.

Odchyliła się na krześle i posłała mu stuwatowy uśmiech, uśmiech tabloidalny, którego ostatnio nie praktykowała, ale chyba jej się udało, bo się speszył.

– Niekoniecznie – powiedziała. – W tym konkretnym przypadku, kiedy pozyskaliśmy informację, że spotkał się pan z groźbami André Fontaine’a, musimy to wyjaśnić.

Nicolas Forgeron nerwowo przesunął dłonią po włosach.

– A, to poniedziałkowe zajście. Nic wielkiego się nie stało, nie zamierzałem tego nagłaśniać, nic mi nie groziło. Widzi pani, mnie i Fontaine’a łączy wspólna przeszłość. W dzieciństwie przez kilka lat mieszkaliśmy po sąsiedzku i któregoś lata trzymaliśmy się razem. Wydaje mi się, że właśnie dlatego tak się na mnie zawziął, ale ani myślę fundować mu rozgłosu, na którym mu zależy.

– Czyli przez wzgląd na starą przyjaźń woli pan milczeć – skomentowała Annick.

Forgeron nie ukrywał irytacji.

– Nie, to nie tak... Chyba pani rozumie, co mam na myśli.

Wyjął z kieszeni marynarki paczkę papierosów, poczęstował Annick, ale odmówiła, potem Francine de Gryse, która nie odmówiła, wytrząsnął jednego papierosa dla siebie i zapalił.

Zaległa długa cisza.

Annick czekała. Czuła napięcie, domyślała się, że Nicolas Forgeron ma wątpliwości, o co jej naprawdę chodzi.

– Skoro jest pani z Pałacu Sprawiedliwości – odezwał się z mało przekonującą nonszalancją – może coś pani wiadomo o śledztwie w sprawie śmierci Jeanne Demaret?

Annick napotkała jego spojrzenie.

– Prowadzi je madame Poirot i wydaje mi się, że ma jakieś tropy.

– Szykują się zatrzymania?

– Jeszcze nie, ale to kwestia czasu – odparła mgliście.

Francine de Gryse była speszona i zdezorientowana, jakby nie bardzo rozumiała, o czym mowa.

– Przecież to był wypadek samochodowy. Czy tym się zajmuje sędzia śledczy?

– To nie był wypadek – powiedziała Annick, nie spuszczać wzroku z Forgerona.

W jego niebieskoszarych oczach dostrzegła wahanie.

Zaciągnął się kilka razy. Leciutko drżały mu dłonie.

– Wczoraj doszło do kolejnego wypadku. Widzi pani jakiś związek?

– Co ma pan na myśli? – spytała Annick słodkim głosem.

– Słyszałem, że Dominic di Bartolo walczy ze śmiercią.

– Gdzie pan to słyszał? To nie jest rzecz powszechnie znana.

– Droga inspektor Dardenne – odrzekł z irytacją – u nas wszyscy wszystkich znają. Moja żona dowiedziała się o tym od jednej z siostr Dominica. No więc czy widzi pani jakiś związek ze śmiercią Jeanne Demaret?

– Nie mnie się o tym wypowiadać. Jak wspomniałam, śledztwo prowadzi madame Poirot.

– Również w sprawie Nica di Bartolo? Czy to jest jedno i to samo śledztwo?

Annick uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

Na korytarzu dały się słyszeć głosy.

– Nicolas, kontynuujemy zebranie!

Wstał.

– Do widzenia, pani inspektor Dardenne. Jak mówiłem, nie potrzebuję dodatkowej ochrony, w każdym razie nie przed André Fontaine'em.

Annick też wstała i wyciągnęła rękę do Francine de Gryse.

– Do widzenia, dziękuję za pomoc, jeszcze się odezwiemy.

Dłoń kobiety była zimna. Annick ruszyła do drzwi, czując na sobie jej zaniepokojone spojrzenie.

– Mamy kolejne morderstwo do wyjaśnienia i mnóstwo nowych informacji o zabójstwie Jeanne Demaret. Dzisiaj wieczorem zjemy kolację w biurze i będziemy musieli się zadowolić suchym prowiantem – powiedziała Martine, kiedy wszyscy zebrali się wokół stołu w pokoju konferencyjnym. – Jeśli czekają na was w domu, zadzwońcie i uprzedźcie.

Julie zaproponowała, że pójdzie do À la Justice Aveugle i zamówi kanapki. Annick postanowiła dotrzymać jej towarzystwa, a Christian zszedł na chwilę do kolegów z kryminalnej.

Martine usiadła przy biurku z głową w dłoniach. Pulsowało jej w skroniach. W tej sprawie nie było trudno o ból głowy. Miała wyrzuty sumienia z powodu śmierci Gilberte de Ridder. Dlaczego nie nakłoniła jej do powiedzenia wszystkiego, co wiedziała? Na samą myśl o zdemaskowaniu jako mordercy polityka, którego podziwiała, czuła się wyjątkowo nieswojo. Nie wspominając o tym, jaki to wywoła szum i że raczej nie przysporzy jej uznania ani zaszczytów. Obalenie bohaterów nie przynosi poklasku.

I jeszcze Thomas. Czy nie będzie zły, że wróci późno? Dzisiaj rano zachowywał się jakoś...

Zebrała się w sobie i podniosła słuchawkę. Thomas był w domu. Wcale się nie przejął, że nie przyjdzie na kolację.

– Wobec tego zjem coś na mieście w towarzystwie jednego z moich doktorantów, Michèle Luys. Spotkaliśmy się dzisiaj w archiwum.

W tonie jego głosu było coś przesadnie nonszalanckiego i śliskiego.

– Michel Luys? Kim on jest?

– Ona. Michèle. No wiesz, ta, która pisze o szlachcie feudalnej i kupcach. Miała trochę archiwaliów, dzięki którym posunąłem się naprzód w poszukiwaniach materiałów w sprawie masowego grobu w Mougins. Możliwe, że znajdzie coś więcej na uniwersytecie. Miała to sprawdzić.

– Leci na ciebie?

– Daj spokój.

Na chwilę zapadła cisza.



– Aha – podjął Thomas bardziej naturalnym tonem. – Czy odezwał się do ciebie ojciec Domitien Rolland?

– Nie, dlaczego?

– Mówiłem ci o nim wczoraj wieczorem. Rozpoznał dzieci ze zdjęcia, które zapomniał zabrać Dominic di Bartolo. Powiedziałem mu, żeby się z tobą skontaktował. Chyba powinnaś z nim porozmawiać.

Martine rysowała na podkładce esy-floresy. Wściekle czarne znaki zapytania.

– Ach, tak, znał kilka ofiar masakry w Aubermonet? Interesujące, ale nie wiem, czy to w tym momencie wniesie coś nowego do śledztwa. Jeśli masz jego numer telefonu, to sama zadzwonię, jak znajdę czas.

Usłyszała szuranie krzesłami w pokoju konferencyjnym. Julie wetknęła głowę i poinformowała, że już są. Tony przysłał kogoś z kanapkami za godzinę.

Alice Verhoeven przekazała wiadomość, że zrobi sekcję zwłok Gilberte de Ridder w poniedziałek rano. Christian dowiedział się, że wizja lokalna na Clos des Lilas trwa nadal i że na piętrze znaleziono nieprzebrane mnóstwo papierów i dokumentów.

– Sprawę morderstwa Gilberte de Ridder przeanalizujemy dokładniej jutro, po sekcji – zdecydowała Martine. – Skupmy się na Demaret i di Bartolo. – Zrelacjonowała przebieg rozmowy z Michelem Pirottem. – Teraz już wiemy, że Nicolas Forgeron nie dość, że był obecny podczas masakry w Aubermonet, to brał w niej aktywny udział. Przepięknie uległo co prawda przedawnieniu, ale jeśli wyjdzie na jaw, co zrobił tamtej nocy, jego kariera polityczna raczej się skończy.

Christian podniósł rękę, prosząc o głos.

– Czy można wierzyć Pirotowi? Może to on jest winny? Chodzi mi o to, że panom z dyrekcji Forvilu, którzy nie należą do moich idoli, byłoby nie w smak, gdyby się okazało, że ich wice zaczynał karierę jako młodociany masowy morderca.

Martine pokiwała głową.

– Oczywiście. Ale nie wydaje mi się. Pirot zapewnia, że dyrektor marketingu w Forvilu i kilku szefów z ARBED-u mogą poświadczyć, że cały wtorek siedział na zebraniu w sali konferencyjnej w Luksemburgu, więc to nie on przejechał Jeanne Demaret. Naturalnie to sprawdzimy, ale myślę, że możemy go skreślić. Poza tym nie ma go na liście Dominica, co

świadcząoby o tym, że nie skłamał, mówiąc, że wcześniej nie zadawał się z tą grupą chłopaków z Aubermont.

– Okej. Spotkałem się z kimś, kto mógłby być Congiem, tym, który podłożył ogień, oczywiście jeśli wierzyć Pirotowi.

Christian opowiedział o rozmowie z Lukiem Devosem, o jego afrykańskiej przeszłości i poczuciu zagrożenia, ilekroć pytania zaczynały się robić niewygodne. Na koniec puścił w obieg zdjęcie ocalone z kosza na śmieci, które włożył do plastikowej okładki.

– Co jest na nim takiego niebezpiecznego? Tego, kto mi to wyjaśni, zapraszam na jednego do À la Justice Aveugle.

Martine pokręciła głową.

– Ajajaj! Grzebałeś w śmieciach? Ja tego nie słyszałam.

Podniosła okładkę kciukiem i palcem wskazującym. Młody król, elegancki pułkownik, z tyłu wierny Devos z przesywającym spojrzeniem i uśmiechnięta młoda kobieta.

– Toczek i garsonka à la Chanel, bardzo to w stylu Jacqueline Kennedy. Całkiem możliwe, że zostało zrobione w sześćdziesiątym pierwszym. Kto to jest? Theroux nie ma żony, w każdym razie nigdy o żadnej nie słyszałam.

– To chyba wdowiec, prawda? – odezwała się Julie.

Nikt nie potrafił rozwiązać tej zagadki.

Martine popatrzyła na Annick.

– Teraz twoja kolej.

Annick wyjęła notes i opowiedziała o tym, co wyczytała w gazetach i jak przebiegło spotkanie z Nicolasem Forgeronem. Słuchali z zapartym tchem.

– Był zdenerwowany, bardzo zdenerwowany i podejrzliwy. Nabrałam pewności, że ma coś za uszami. Myślę, że to on zamordował Jeanne Demaret. Niestety.

Martine, Annick i Julie wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Christian ziewnął.

– Ja głosuję na chrześcijańskich demokratów, nigdy nie rozumiałem tego szumu wokół Nicolasa. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, powinniśmy dostać medal za uratowanie kraju przed masowym mordercą w rządzie.

– Nie byłby pierwszy – mruknęła Martine.

W tym momencie pojawił się Tony z koszem kanapek.

– Oddani służby sprawiedliwości zasługują wyłącznie na mój osobisty serwis – powiedział z lekką ironią, stawiając kosz na stole.

– Po prostu cię to bawi, że możesz sobie chodzić po Pałacu Sprawiedliwości nie w charakterze podejrzanego – odcięła się Martine.

Zauważyła, że jego wzrok zatrzymał się na zdjęciu wyciągniętym ze śmieci Luca Devosa.

– Mówi ci to coś? – rzuciła krótko.

Tony popukał palcami w plastikową okładkę.

– Luc Devos, chłopaczek, który dzięki Theroux nigdy nie siedział, a powinien. Jeśli go o coś podejrzewacie, to prawdopodobnie jest winny. – Znów popatrzył na zdjęcie. – Zrobione w Mons, przed SHAPE<sup>3</sup>. Ale to już chyba wiecie.

– Jesteś pewien? – spytała.

– Jasne, zanim awansowałem na szefa i właściciela restauracji w Villette, pracowałem w barze niedaleko SHAPE. Nie mam żadnych wątpliwości. No a teraz zostawiam was, żebyście się mogli oddać walce z przestępczością. Przynieście mi kosz jutro, okej?

Pogwizdując, zniknął za drzwiami.

Martine wstała, podczas gdy Annick, Julie i Christian zaczęli się częstować. Pora na podsumowanie. Wyjęła flamaster i coś napisała na bloku.

– Co wiemy? Po pierwsze, Nicolas Forgeron był obecny przy masowym morderstwie w Aubermont w sześćdziesiątym pierwszym, w którym aktywnie uczestniczył. Po drugie, potencjalnie mógł przejechać Jeanne Demaret we wtorek. Po trzecie, jest wyraźnie zdenerwowany i zadaje pytania dotyczące śledztwa. Kto z was uważa, że miał swój udział w morderstwie Jeanne Demaret i usiłowaniu morderstwa Dominica di Bartolo?

Podniosły się trzy dłonie.

Martine pokiwała głową.

– Luc Devos. Jego samochód został wykorzystany do próby zabójstwa. Bardzo prawdopodobne, że Devos był w Aubermont w sześćdziesiątym pierwszym. Poza tym jest zdenerwowany. Jak myślicie, jest winny?

Znów podniosły się trzy dłonie, ale z pewnym wahaniem.

---

<sup>3</sup> SHAPE (Supreme Headquarters Allied Powers Europe) – Naczelne Dowództwo Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie, siedziba Dowództwa Sił Sojuszniczych NATO ds. Operacyjnych.

– Słaby punkt polega na tym, że nie wiemy, czy to on jest tym Congiem – przyznał Christian. – Gdybyśmy mogli mieć pewność...

– Michel Pirot nie pamiętał jego ksywki, ale jak usłyszy, może sobie przypomni – zauważyła Julie.

– Dobrze – powiedziała Martine. – Niewykluczone, że przed kolacją zastaniemy go w hotelu w Luksemburgu. Zajmiesz się tym?

– A André Fontaine? – włączyła się Annick. – Był w Aubermont i to on go znał. Kto jak kto, ale Fontaine musi wiedzieć, czy Congo to Luc Devos.

– Fontaine, tak... – Martine zamyśliła się. – Co o nim sądzimy? Był tam w sześćdziesiątym pierwszym, ale ma alibi na czas morderstwa Jeanne Demaret i nie sprawia wrażenia zdenerwowanego. Myślę, że go skreślimy z listy podejrzanych. Dzisiaj znów z nim porozmawiamy i zapytamy o Devosa. Ale najpierw zastanówmy się, co się właściwie wydarzyło i jak to się z sobą łączy. Christian?

Christian odchylił się na krzesło, zetknął opuszki palców obu dłoni i myślał, niezrażony ciszą, jaka zapadła wokół stołu.

– No więc tak: Jeanne Demaret nie chce, żeby w rządzie zasiadał masowy morderca. Milczała przez te wszystkie lata, ponieważ kiedy to się stało, Forgeron był dzieciakiem. Teraz uważa, że to zaszło za daleko. Kilka razy dzwoni do Forgerona i próbuje go namówić, żeby... bo ja wiem?... żeby się wycofał z polityki albo coś w tym stylu. W przeciwnym razie ujawni, co się wydarzyło w sześćdziesiątym pierwszym. Forgeron wpada w panikę. Ani mu w głowie rezygnować ze swojej wspaniałej kariery na rzecz czegoś w rodzaju pokuty. Musi więc uciszyć Jeanne Demaret. Ale mordowanie to nie jego specjalność, dlatego kontaktuje się ze starym kumplem Lukiem Devosem, który obmyśla plan. Forgeron prowadzi samochód, Devos stoi na czatach. Może Forgeron dzwoni do Demaret z budki telefonicznej i umawia się z nią, dzięki czemu obaj wiedzą, kiedy wyjdzie z domu.

– A dlaczego Dominic? – spytała Julie.

– No właśnie, ty mi to powiedz. Może Forgeron tak jak Jacques Daelmans zastanawiał się, czy Daniel di Bartolo nie zwierzył się przed śmiercią swojemu młodszemu bratu. Poza tym Dominic był w zażyłych stosunkach z Jeanne Demaret, czyli Forgeron miał dodatkowy powód do przypuszczeń, że coś wie.

– Dlaczego Devos miałby pomagać Nicolasowi Forgeronowi? – włączyła się Annick. – To, co zrobił w sześćdziesiątym pierwszym, uległo przedawnieniu, a poza tym nie musi się martwić o swoją karierę polityczną.

– Dobrze pytanie – przyznał Christian. – Ale Devos nie jest taki bystry jak Forgeron, może po prostu nie wie, że nic mu nie grozi. Albo uznał, że dobrze mieć haka na przyszłego ministra.

Annick nie dawała za wygraną.

– A jak się do tego ma morderstwo Gilberte de Ridder?

– Rozpoznała mężczyznę w swoim ogrodzie. Czytała gazety, więc przypuszczalnie wiedziała, kim jest Forgeron, niewykluczone, że ujął ją za serce tak jak was. A może to Forgeron stał na czatach, a Devos prowadził? A może przed morderstwem obaj odbyli krótką naradę w ogrodzie?

Na moment zapadła cisza.

– Dobrze – powiedziała Martine. – Myślę podobnie. A teraz tak: Julie, zadzwonisz do Pirota, a potem spróbujesz tu ściągnąć naszego przyjaciela Fontaine'a. Musimy wziąć pod obserwację Forgerona i Devosa, na pewno się ze sobą skontaktują, bo nieźle się wystraszyli. Ty się tym zajmiesz, Christian. I podsłuchem telefonicznym. Jutro zdobędziemy ich billingi z ostatniego tygodnia. Dostaniesz nakazy, jak tylko Julie je przygotuje i da mi do podpisu.

Kiedy Julie usiłowała się dodzwonić do Michela Pirota, Martine sięgnęła do kosza po kanapkę. Ciemny chleb z mozzarellą i pomidorem. Plaster pomidora ześlizgnął się z kromki i wylądował na jej szarych spodniach. Jasny gwint! Z nie najgorszym skutkiem wyczyściła plamę serwetką i wodą mineralną.

Była ciekawa, dokąd Thomas zamierzał pójść ze swoją uczynną doktorantką i jak ona wygląda. Na pewno na niego leci, jak większość doktorantek, pomyślała kwaśno. Opiekunowie naukowci mają w sobie coś nieodparcie erotycznego, zwłaszcza wysocy blondyni o niebieskich oczach jak Thomas.

Poczuła wzbierającą falę zazdrości i natychmiast się opanowała. Nie ma teraz na to czasu.

Nieproszona pojawiła się myśl o Jeanie-Louisie i jej ukradkowej rozmowie. Zadzwoń, żeby uzyskać informacje mające związek ze sprawą. Nie darzyła go żadnym uczuciem. Absolutnie żadnym.

Michel Pirota wyszedł z pokoju hotelowego, ale Julie udało się go złapać w restauracji, gdzie pił drinka przed kolacją. Przekazała słuchawkę Martine.

- W czym mogę pani pomóc, madame Poirot?
- Czy mówi panu coś nazwisko Devos? Luc Devos?
- Oczywiście! Tak właśnie się nazywał!
- Mężczyzna o przydomku Congo?
- Tak.
- Jest pan pewien?

– Całkowicie pewien. Wie pani, jak to jest, kiedy nie można sobie czegoś przypomnieć.

Dopiero jak się to usłyszy, wszystko staje się jasne i człowiek zachodzi w głowę, jak mógł zapomnieć.

No to załatwione, pomyślała z ulgą Martine. Następny puzzel znalazł się na swoim miejscu.

Julie zawiadomiła, że André Fontaine jest w drodze.

– Trochę marudził, więc coś tam mu powiedziałam o utrudnianiu śledztwa i w końcu łaskawie się zgodził. Ale tym razem będzie z adwokatem.

– Ojej, z papugą Onckelinx – westchnęła Martine. – To wymaga przygotowań na najwyższym poziomie.

Stała przed źle oświetlonym lustrem obok szafy z archiwaliami. Fryzura jak zwykle była w rozsypce. Kompletnej. Wyjęła szpilki, rozpuściła włosy i uczesała na gładko, żeby opadały na kołnierzyk zielonego żakietu, który Tatia przerobiła ze starej kurtki Philippe'a. Pociągnęła usta pomadką, spryskała włosy perfumami i kiedy była gotowa, usłyszała na korytarzu odgłos szpilek Brigitte Onckelinx.

Brigitte Onckelinx, jej rówieśnica, była od niej o cztery centymetry wyższa i miała o cztery odcienie jaśniejsze włosy. Jako prawniczki reprezentowały tę samą klasę. Nigdy się nie lubiły. Brigitte nie robiła żadnej tajemnicy, że w swojej adwokackiej karierze stawia przede wszystkim na zarabianie pieniędzy. Idealistyczne zapędy Martine traktowała z szyderczo życliwym pobłażaniem.

Ale była niezwykle biegłą adwokatką w sprawach karnych.

– Cześć, Martine, kopę lat! Jestem wcześniej od mojego klienta, mam do was trochę bliżej niż on.

Brigitte Onckelinx usiadła na krześle dla gości, nie podając ręki na powitanie, i założyła elegancką nogę na elegancką nogę. Każdy kosmyk białych blond włosów był na swoim miejscu, ciemnoczerwona garsonka Escady leżała doskonale.

– Sympatycznych masz klientów – powiedziała Martine, nie mogąc się powstrzymać.

Brigitte uśmiechnęła się kwaśno.

– Pamiętam pewną idealistkę, która zwykła była wygłaszać kazania o prawie wszystkich obywateli do reprezentacji prawnej, kiedy narzekałam na męty, których czasami trzeba było bronić u Carliera i Niemegeersa. Tak czy inaczej, nasza firma zawsze obsługiwała rodzinę Fontaine, mój teść przyjaźnił się z jego ojcem.

Brigitte wyszła za mąż za Jeana-Claude'a Bougarda, najmłodszego udziałowca znanego zespołu adwokackiego Bougard&Fils. Mieli trzy ładniutkie córki, które Brigitte spłodziła w rocznych odstępach, nie przerywając kariery.

Obrzuciła Martine badawczym spojrzeniem. Martine miała nadzieję, że plama na spodniach już wyschła.

– Ciekawy żakiet – powiedziała Brigitte. – Sama go uszyłaś? Może nie zauważyłaś, że szwy po bokach są na wierzchu.

Martine uśmiechnęła się słodko.

– Martin Margiela, najnowsza kolekcja.

Przyszedł André Fontaine i zmienił się nastrój. Brigitte Onckelinx obciągnęła spódniczkę i wyjęła z aktówki papier, pióro i magnetofon. Martine odsunęła od siebie wszystkie myśli, które nie miały nic wspólnego ze śledztwem.

Fontaine tym razem zrezygnował z kurtki dżinsowej i przypadkowej marynarki. Umył i wyszczotkował kasztanowe włosy, i włożył szary garnitur w kredowe prążki. Spodnie były trochę za długie, a granatowa koszula tak ciemna, że z daleka można ją było wziąć za czarną. W bezlitosnym świetle jarzeniówek zmarszczki niezadowolenia wokół jego ust wyglądały jak wąwozy.

– To zakrawa na policyjne szykany – burknął.

Brigitte Onckelinx położyła dłoń na jego ramieniu, dając mu do zrozumienia, żeby nic nie mówił. Martine była ciekawa, czy Fontaine powiedział jej o tym, co się wydarzyło w Auberfontaine. Powinien, jeśli chciał, by miała szansę mu pomóc.

– Zanim zaczniemy, proszę o zaprotokołowanie, że mój klient, doktor Fontaine, jest tutaj z własnej woli i wyłącznie dlatego, że zależy mu na zrobieniu wszystkiego, co w jego mocy, by pomóc policji w śledztwie w sprawie morderstwa madame Demaret – wyrecytowała Brigitte, wbijając wzrok najpierw w Martine, a potem w Julie.

Martine skinęła głową. Julie zaprotokołowała.

– No dobrze, doktorze Fontaine – powiedziała Martine i pochyliła się nad biurkiem. – Kiedy widział się pan ostatnio z Lukiem Devosem?

Tego się Fontaine nie spodziewał. Uciekł spojrzeniem i zwilżył wargi językiem.

– Z Lukiem Devosem...? – wydukał po kilku sekundach.

– Tak, pańskim starym przyjacielem, który był z wami, kiedy w sierpniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku podpaliliście szkołę w Aubermont – podpowiedziała mu uczynnie Martine. – Z pewnością pamięta go pan, prawda?

Fontaine zerknął na adwokatkę.

– Może zrobimy przerwę i opowie pan *maître* Onckelinx, co się wtedy wydarzyło, jeśli o tym nie wie – zaproponowała Martine głównie dlatego, żeby wyprowadzić z równowagi Brigitte.

– Nie ma potrzeby – odparła zimno Brigitte. – Mój klient przyznał, że był obecny podczas tego tragicznego incydentu w sierpniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, nie ponosi jednak żadnej odpowiedzialności za to, co się stało. Poza tym kwestia odpowiedzialności jest w tym przypadku irrelevantna, ponieważ sprawa już dawno uległa przedawnieniu.

– Wobec tego może pan sobie zupełnie spokojnie przypomnieć Luca Devosa. Mamy świadka, który zeznał, że Devos też był tam obecny i że był pana bliskim przyjacielem.

Fontaine zdumiał się.

– Świadka? Kogo?

– Kogoś, kto też tam był.

Fontaine milczał przez chwilę. Martine niemal widziała, jak odtwarza w pamięci wszystkich uczestników i skreśla jednego po drugim, mniej więcej tak jak Dominic, żeby sprawdzić, czy powiedziała prawdę. Uznał, że istnieje jedna możliwość.

– To pewnie ten mały grubas, którego Nicolas przywłókł ze sobą. Jak on się nazywał...?

– Pytam o Luca Devosa, doktorze Fontaine. Widział się pan z nim ostatnio?

– Nie. Tak jak pani powiedziała, przyjaźniłem się z nim w sześćdziesiątym pierwszym, był w Aubermont, ale potem nasze drogi się rozeszły. Zacząłem studiować medycynę w Lille i



miałem zupełnie inne towarzystwo. Poza tym wydaje mi się, że on dosyć szybko wyjechał z pułkownikiem Theroux do Waszyngtonu. Theroux był przez kilka lat attaché wojskowym w Waszyngtonie.

– Ale teraz mieszka w Villette. Czyba pan o tym wie?

– Owszem – przyznał Fontaine. – Kilka razy natknąłem się na niego, ale się nie widzimy.

– Wobec tego chyba już skończyliśmy – powiedziała Brigitte Onckelinx. – Mój klient potwierdził, że przyjaźnił się z Lukiem Devosem w sześćdziesiątym pierwszym, i oświadczył, że już się z nim nie spotyka. Czy to wszystko, co chcieliście wiedzieć?

Brigitte zaczęła się podnosić z krzesła.

– Niezupełnie – odparła Martine. – Doktorze Fontaine, wspomniał pan o małym grubasie, którego Nicolas przywłókł ze sobą. Miał pan na myśli Nicolasa Forgerona, prawda?

Brigitte Onckelinx wytrzeszczyła swoje lodowato niebieskie oczy, odwróciła się do Fontaine'a, jakby chciała go o coś spytać, i zacisnęła usta.

Fontaine uśmiechnął się, nie był to jednak przyjemny uśmiech.

– Ojej, wygadałem się. Chociaż pewnie już o tym wiedzieliście. Cóż, Nicolas miał wtedy nieco inne poglądy i jeśli wolno mi tak powiedzieć, w pewnym sensie był moim pierwszym gorliwym wyznawcą.

– A teraz jest pana gorliwym przeciwnikiem. Dlaczego nie rozpętał pan burzy politycznej i nie zdemaskował Forgerona?

Autentycznie była tego ciekawa. Ale ledwie zadała to pytanie, znała odpowiedź. Oczywiście chodziło o szantaż. Nieważne, jawny czy ukryty. Ekstremistycznemu politykowi trafiła się żyła złota, fantastyczny hak na robiącego zawrotną karierę Nicolasa Forgerona.

Brigitte Onckelinx też to sobie uświadomiła i posłała Fontaine'owi ostrzegawcze spojrzenie. Niepotrzebnie. André Fontaine nie był głupi.

Przybrał rzewną minę.

– Z powodu starej przyjaźni. Obiecaliśmy sobie, że będziemy milczeć, my wszyscy, którzy tam byliśmy.

– Klócił się pan z Nicolasem Forgeronem po posiedzeniu rady gminy w Messières w poniedziałek. Dlaczego?

– Ach, byłem wściekły, że gmina notorycznie uniemożliwia FPB wynajęcie lokalu. Powiedziałem Nicolasowi to i owo o wolności słowa, zrobiło się dość gorąco, ale chyba mnie zrozumiał, bo po naszej krótkiej rozmowie nagle się okazało, że możemy zarezerwować Le Coq Wallon.

Fontaine zaśmiał się szyderczo.

Przez ułamek sekundy Martine niemal współczuła Nicolasowi Forgeronowi.

– Mam nadzieję, że to wszystko. – Fontaine wstał. – Czas mnie goni.

Brigitte zamknęła aktówkę i wyszła za nim, zaciskając wargi. Na korytarzu jej modulowany, jasny głos nabrał ostrości, jak zawsze, kiedy była zła. Brigitte Onckelinx nie miała pojęcia o roli Nicolasa Forgerona w dramacie w Aubermont i nie lubiła niespodzianek.

Przez ułamek sekundy Martine niemal współczuła Fontaine'owi.

# ROZDZIAŁ 15

Poniedziałek 11 kwietnia 1994

Martine obudziła się mokra od potu, ze ściągniętym i zmiętym prześcieradłem gdzieś w okolicy stóp. Spojrzała na budzik: zadzwoni dopiero za godzinę. Miała sen, który w szarym świetle poniedziałkowego poranka wydawał się bardziej realny i nasycony kolorami niż rzeczywistość.

Zaczął się jak zwykle, że znów jest kelnerką w La Cagoule. Chodzi między stolikami, goście coś do niej wołają i nagle poniżej pasa jest naga. Są tam Jacques Daelmans, Guy Dolhet, Nicolas Forgeron i Thomas w towarzystwie swojej doktorantki. Przejście między stolikami zamienia się w wybieg dla modelek, a jej biała kelnerska bluzka w zielony żakiet Chanel Gilberte de Ridder, który cuchnie krwią i zatęchłą piwnicą. Krew spływa po jej udach na wybieg...

Krew była prawdziwa, lepka, zalatująca żelazem. No tak, okres. Rozczarowana? Tylko trochę.

Thomas spał. Cicho postawiła stopy na podłodze i bezgłośnie wślizgnęła się do łazienki. Nieprzyjemny sen wciąż błąkał się na obrzeżach świadomości, przyprawiał o ból mięśni. Weszła pod prysznic, zamknęła oczy i puściła gorącą wodę, która uśmierzyła bóle krzyża i rozluźniła napięte mięśnie. Nie zakręcając prysznicą, umyła włosy i patrzyła na znikającą w odpływie pianę, podobną do bitej śmietany.

Włożyła tampon, owinęła się we frotowy szlafrok i wysuszyła włosy suszarką. Jak zwykle, kiedy miała okres, rozsypywały się i były niesforne. Dzisiaj musi się zadowolić końskim ogonem.

Czuła z kuchni zapach kawy. Thomas się obudził i przygotował śniadanie. Wczoraj wieczorem, kiedy wróciła do domu, już spał, co zasiało w niej niepewność, jakby na ich związek padł cień.

– Dobrze się bawiłeś ze swoją doktorantką? – spytała, przelewając podgrzane mleko do dzbanka.

Thomas uśmiechnął się.

– Nieźle – odparł i pocałował ją w czubek nosa.

– Mam okres.

– O.

Zapadła cisza. Martine próbowała czytać poranną gazetę, ale przebrnęła tylko przez pierwszy akapit korespondenta w Rwandzie. Napisał, że to nie ślepy i spontaniczny wybuch nienawiści na tle etnicznym doprowadził kraj do chaosu, że za masakrą krył się „diabelski plan”.

– Jak ci wczoraj poszło? – spytał Thomas.

Martine musiała się zastanowić. Od sobotniego wieczoru Thomas nie usłyszał niczego nowego, czyli nie wiedział ani o roli Nicolasa Forgerona w tragedii w Aubermont, ani o zamordowaniu Gilberte de Ridder. Oj, wczoraj mnóstwo się wydarzyło!

– Za długo by opowiadać. Zgnilizna na szczytach władzy, belgijskie państwo chwieje się w posadach, takie rzeczy.

– Chcesz powiedzieć, że *business as usual*?

– Otóż to. Aha, i została zamordowana ta szalona staruszka. Okazało się, że była najbogatszą kobietą w Villette.

Thomas gwizdnął.

– O, może to jest twoje brakujące ogniwo?

Martine pokręciła głową i zawahała się. Coś musnęło jej świadomość – jakaś myśl, skojarzenie – i zniknęło.

– Pytam poważnie: jak się bawiłeś z doktorantką?

– Poszliśmy do włoskiej restauracji przy Quai des Marchands, całkiem w porządku. Ponieważ jesteś ciekawa, to ci powiem, że Michèle jest atrakcyjną dziewczyną i przede wszystkim zdolną historyczką, która chyba mi pomogła w odnalezieniu mojego brakującego ogniwa.

– Czyli?

– Rolanda de Bioula, zadłużonego po uszy szlachcica, który zastawił cały swój majątek, i uratowało go wyłącznie to, że odziedziczył Mougins-la-Fontaine dzięki nagłej śmierci Béatrice de Waremme i jej dzieci, zamordowanych podczas rzezi.

Martine zmarszczyła czoło.

– Myślisz, że to on stał za tą rzezią?

– Taka jest moja hipoteza. Nie jestem pewien, czy można to udowodnić, ale wystarczą mi poszlaki, nie muszę mieć materiałów do procesu sądowego.

– *Cui bono* – powiedziała Martine w zadumie. – Pomyśleć, że prawie zawsze o to chodzi. Pieniądze i chciwość, żadne upojenie ani namiętność. Ciekawe, kto dziedziczy po Gilberte de Ridder.

Znów coś musnęło jej świadomość, jak leciutki dotyk skrzydeł niewidzialnego ptaka. I zniknęło.

Christian de Jonge siedział w nieoznakowanym samochodzie policyjnym na jednej z ulic Messières i zajadał lepkiego od cukru gofra. W uchwycie obok stał kartonowy kubek ciepłej kawy. Z samochodu miał widok na dom Nicolasa Forgerona, położony dziesięć metrów dalej przy ślepej uliczce.

Nie powinien tu być. Powinien być w Pałacu Sprawiedliwości i koordynować działania inwigilacyjne wobec Forgerona i Devosa. Ale kolega, który miał przejąć obserwację Forgerona, obudził się z czterdziestostopniową gorączką i nawet nie był w stanie podejść do telefonu. Wtedy Christian zaproponował, że dopóki nie znajdą zmiennika, sam pojedzie do Messières.

Rozejrzał się. Na długiej ulicy, gdzie zaparkował, ziało nudą. Stały przy niej puste domy o pustych oknach. Po prawej był bar, kilka kulawych stołów i popękanych plastikowych ławek, w którym kupił kawę i gofra.

Zastanawiał się, skąd mieliby się tu wziąć klienci. Oczywiście ulica nie była całkowicie wyludniona. Leżące tu i ówdzie czarne worki ze śmieciami świadczyły o ludzkiej aktywności. W dalszej perspektywie widział dym i mgiełkę nad Forvilem. Może robotnicy w drodze do pracy wpadali do baru na poranną kawę?

Musiał przyznać, że Forgeron żył skromnie. Jego dom był pośrodku pięciu ceglanych szeregowców, wybudowanych dla brygadzistów, jak wyjaśniła mu dziewczyna z baru, kiedy spytał o ceny pobliskich nieruchomości. Identyczne szeregowce, przeważnie zapuszczone, stały przy trzech poprzecznych uliczkach. Ale gdzieś dało się zauważyć zmiany na lepsze: świeżo pomalowane drzwi, kwiaty w skrzynkach i lśniące samochody na chodnikach.

Dom Nicolasa Forgerona miał czerwone drzwi i firanki, których nieskazitelna biel z daleka rzucała się w oczy.

Zjadł gofra, wytarł ręce o fotel pasażera i cisnął lepką serwetkę na podłogę, gdzie leżał ich imponujący zbiór w towarzystwie zatłuszczonych opakowań po frytkach.

Wysłuchał w radiu wiadomości, zniecierpliwiony zabębnił palcami w kierownicę i zastanawiał się, ile to jeszcze potrwa, zanim ktoś go zmieni. Naprawdę powinien już być w Pałacu Sprawiedliwości.

Wtedy zobaczył, że otwierają się drzwi domu Forgerona. Pojawił się w nich Nicolas w szerokim ciemnoniebieskim płaszczu z podniesionym kołnierzem. Za nim wyszła kobieta, przypuszczalnie żona, Elisabeth Sardou. Niebrzydka, pomyślał z uznaniem. Ciemne włosy obcięte na pazia, ładna linia ciemnych brwi, beżowy trencz mocno ściśnięty paskiem w talii.

Nie była zadowolona. Mimo odległości zauważył jej zmartwioną minę i sine kręgi pod oczami. Ciekawe, ile wiedziała.

Usiadła za kierownicą stojącego przed domem ciemnozielonego renaulta safrane. Nicolas Forgeron zajął miejsce pasażera.

Nielatwo było śledzić kogoś niepostrzeżenie na tak odludnej ulicy. Christian czekał, dopóki się nie oddalą. Z jednej z przecznic wyjechał wóz mleczarski. Christian ruszył za nim.

Nie zapowiadało się na to, że Nicolas Forgeron zamierza uciec. Zielony renault przemierzał spokojnie i przepisowo małe uliczki, Christian nie tracił go z oczu, pilnując, żeby dzielił go od Forgerona co najmniej jeden samochód.

Nagle znaleźli się pod urzędem gminy w Messières, dwupiętrowym budynkiem o kompletnie chybionych proporcjach. Elisabeth Sardou zatrzymała się na otwartym dziedzińcu przed wejściem. Forgeron wysiadł, ona opuściła szybę, wychyliła się i coś powiedziała. Pokręcił głową, odwrócił się i odszedł bez pożegnania.

Po chwili zielony samochód zniknął. Pewnie pani Sardou jedzie na uniwersytet, pomyślał Christian.

Zaparkował dziesięć metrów od wejścia do urzędu. Na widok młodego mężczyzny w mundurze lokalnej policji, który zbliżał się do niego ze szczerą miną, szybko wyjął z portfela służbową legitymację.

– O nie, żadnego wywożenia samochodu, nie teraz – powiedział, podtykając mu dokument pod nos.

Hall wejściowy był przestronny i wysoki. Po prawej, za długim kontuarem, troje pracowników urzędu służyło mieszkańcom Messières wszystkim: od informacji po pieczętki. Christian upatrzył sobie osobę najmniej szczupłą, rudoblond kobietę około czterdziestki, i

cierpliwie czekał, dopóki nie wyjaśniła rodzinie z Zairu z piątką dzieci, jak trafić do wydziału dla cudzoziemców.

– Gdzie zastanę burmistrza? – spytał, kiedy była wolna.

– Prosto – powiedziała, wskazując dłonią – ale dzisiaj nie przyjmuje interesantów. Ma dyżury w środy i piątki.

– Ale jest u siebie?

Spojrzała na niego badawczo.

– Tak, przed chwilą przyszedł.

Uprzejmie podziękował. Przy wejściu zobaczył automat telefoniczny. Wyjął kartę z wewnętrznej kieszeni i wybrał numer centrali urzędu w Messières, przezornie wywieszony obok automatu.

– Chciałbym rozmawiać z Nicolasem Forgeronem.

– Chwileczkę – obojętnie odpowiedziała telefonistka i przełączyła go.

– Biuro burmistrza – odezwał się inny kobiecy głos.

– Chcę rozmawiać z burmistrzem.

– Z kim mam przyjemność?

– Christian de Jonge z „Le Soir” – skłamał, gotowy odwieść słuchawkę, gdyby go połączyła.

– Niestety – odparła dużo łagodniejszym tonem – jest na zebraniu do godziny jedenastej. Ale może chciałby pan porozmawiać z rzecznikiem prasowym?

– Nie, jeszcze się odezwę.

Rozłączył się, wybrał numer do dyżurnego wydziału kryminalnego w Pałacu Sprawiedliwości i poprosił o przysłanie zmiennika do urzędu gminy w Messières. I niech się trochę pospieszą.

Usiadł w hallu na jednej z ławek z wysokim oparciem na wprost korytarza, gdzie urzędował burmistrz i naczelnik gminy. Wcześniej okrążył budynek, żeby się upewnić, czy nie ma jakichś innych, bocznych wyjść. Mimo że przez najbliższą godzinę Forgeron powinien być w dobrze zabezpieczonym miejscu, Christian siedział jak na szpilkach.

Wysoko na przeciwległej ścianie wisiał zegar, który z każdym przesunięciem wskazówki minutowej irytująco zgrzytał.

Dlaczego wciąż nie ma zmiennika?

Z biura burmistrza wyszła grupka ludzi, prowadzących ożywioną rozmowę. Słyszał, że wymieniają nazwisko Forgerona.

Dochodziła jedenasta.

Nagle nabrał niedorzecznej pewności, że Forgeron mu się wymknął, mimo że było to raczej nieprawdopodobne.

Minął łukowate sklepienie i ruszył korytarzem. Przy drzwiach po prawej stronie wisiała tabliczka „Burmistrz Nicolas Forgeron”. Nacisnął klamkę i znalazł się w sekretariacie. Młoda kobieta stuknęła na maszynie.

– Szukam burmistrza – powiedział Christian i okazał legitymację.

Dziewczyna wystraszyła się.

– Oj, już wyszedł.

Christian zaklął w duchu.

– Myślałem, że do jedenastej będzie na zebraniu.

Wybałuszyła oczy.

– Tak, ale odebrał pilny telefon...

– Od kogo? Proszę mówić, to bardzo ważne, muszę to wiedzieć.

Dziewczyna przysunęła do siebie duży kalendarz. Najwyraźniej skrupulatnie odnotowywała wszystkie przychodzące rozmowy. Christian przejrzał je z góry na dół i zauważył, że przed godziną dzwonił dziennikarz z „Le Soir”.

– Zadzwoił specjalista od spraw bezpieczeństwa pożarowego z Aubermont, powiedział, że Nicolas miał się z nim spotkać i że muszę mu przeszkodzić w zebraniu. Nicolas bardzo się przejął i powiedział, że musi natychmiast wyjść.

Coś takiego, specjalista od spraw bezpieczeństwa pożarowego z Aubermont! – pomyślał Christian. To na pewno Devos.

– Ale którą wyszedł? Na pewno nie głównym wyjściem, a innych chyba tu nie ma, prawda?

– Zjechał windą do piwnicy, skąd jest przejście do budynku parkingowego po drugiej stronie ulicy, gdzie stoją samochody służbowe naszego urzędu.

– Czy wie pani, gdzie miał się spotkać z tym specjalistą?

Pokręciła głową i popatrzyła na niego wytrzeszczonymi oczami.

– A o której wyszedł?



Spojrzała na zegarek.

– Mniej więcej dziesięć minut temu.

Christian znów zaklął, ale tym razem już nie w duchu.

Thomas siedział w gabinecie na uczelni i myślał o wczorajszej kolacji z Michèle. Odczuwał lekką ekscytację i jednocześnie spokój sumienia. Michèle rozpuściła swoje jasne włosy i włożyła czarną sukienkę z długimi rękawami. Była bardzo ładna. Nie miała okularów i żeby go wyraźnie widzieć podczas rozmowy, pochylała się nad stolikiem, dzięki czemu mógł zajrzeć w głęboki dekol. Jej krótkowzroczne oczy błyszczały obiecująco w blasku świec.

To zabawne, że przez cały czas myślał o swojej pierwszej kolacji z Martine jedenaście lat temu. Może dlatego, że też jedli we włoskiej restauracji. Martine miała na sobie obcisły męski garnitur w kredowe prążki, ściągnięty paskiem w talii, i nic pod spodem. Kupiła go w jednym z second handów niedaleko Place du Grand Sablon, gdzie się wtedy dość często zaopatrywała w garderobę. I inaczej wyglądała. Ale do dzisiaj w pani sędzi śledczej, która ubierała się u Armaniego na brukselskim Boulevard de Waterloo i myślała, że on nie wie, ile to kosztuje, wciąż była ta Martine, która nosiła ciuchy z second handów i miała za nic opinie innych ludzi. W każdym razie tamtego wieczoru po raz pierwszy przyznał przed samym sobą, że właśnie z nią chce spędzić życie, z nią i tylko z nią. I nic się nie zmieniło, pomyślał, patrząc z zainteresowaniem na krągłe piersi Michèle.

Być może Michèle uświadomiła sobie, że daleko mu do poświęcenia jej wyłącznej uwagi. Przy deserze wyjęła z torebki swoje okulary w czarnej oprawce i wdali się w owocną rozmowę na temat teorii historii. Nie mógł jednak nie zauważyć, że w okularach, z głębokim dekoltem i burzą jasnych włosów wyglądała jeszcze seksowniej.

Przed południem miał zebranie dyrekcji instytutu. Śmiertelnie nudne. Często się zastanawiał, czy jego tytuł profesorski jest wart tego całego administrowania i nasiadówek. Lubił uczyć i z wielką pasją oddawał się pracy naukowo-badawczej. Reszty chętnie by się pozbył.

Po zebraniu kupił w kawiarni podwójne espresso, wrócił z kawą do gabinetu, mimo zakazu wnoszenia kubków i filiżanek, i zabrał się do planowania grafiku dla doktorantów w semestrze wiosennym. Szybko mu poszło i był zadowolony.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła Michèle, której okulary nie spadły z nosa chyba tylko dzięki boskiej opatrności.

– Mam! – wykrzyknęła.

– Co masz? – siłąc się na spokój, spytał Thomas.

Spojrzała na niego dzikim wzrokiem.

– Dowód!

Kiedy podsunął jej krzesło, usiadła, oparła łokcie na kolanach i ukryła twarz w dłoniach.

– Przepraszam – powiedziała po chwili, podnosząc głowę. – Trochę mnie poniosło. W dokumentach biznesowych Rolanda de Bioula znalazłam list. Czytałam go jakiś czas temu, ale nie miałam pojęcia, o co chodzi. Teraz rozumiem. Potwierdza wszystkie nasze teorie. Koszmar! Musisz to zobaczyć!

Raz na zawsze przestała go tytułować profesorem.

Poszli do biblioteki uniwersyteckiej, gdzie w dwóch pojemnych kartonach archiwizacyjnych przechowywała materiały do pracy doktorskiej. Włożyła białe bawełniane rękawiczki i ostrożnie wyjęła jakąś kartkę.

Thomas, nie dotykając dokumentu, czytał wyblakły list Rolanda de Bioula z nieznaney miejscowości, w której ukrywał się przed wierzycielami, do jego zarządcy Pierre'a le Pasteura. W zawołowanych słowach, niemal sześćset lat później całkowicie zrozumiałych dla Thomasa i Michèle, informował, że wszelkie próby zdobycia pieniędzy spęły na niczym i majątek Martigny należy do Banco Santangelo. Tym samym Pierre le Pasteur i jego rodzina najprawdopodobniej będą musieli go opuścić. Pozostawała tylko jedna deska ratunku. Gdyby żona de Bioula, Catherine d'Orbais, odziedziczyła po zmarłym bracie Mougins-la-Fontaine, można byłoby przekazać posiadłość bankowi w ramach spłaty zobowiązania. To rozwiązałoby sprawę. Problem polegał na tym, że Pierre d'Orbais pozostawił żonę i dzieci, mające większe prawa do dziedziczenia.

„Byłbym w nieutulonym smutku – pisał Roland de Bioul – gdyby droga małżonka mojego szwagra i jego ukochane dzieci zeszły z tego świata, lecz smutek uśmierzałaby świadomość, że majątek, gdzie obaj dorastaliśmy, pozostałby własnością mojej rodziny i nikt nie musiałby go opuszczać. O ile jeden wypadek śmiertelny mógłby skierować spojrzenia ku temu, kto najwięcej by na tym zyskał, o tyle inaczej rzeczy by się miały, gdyby jednocześnie umarło wiele osób, tak jak na wojnie. Zważ, że proste umysły łatwo wzburzyć, a umysły wzburzone często rwą się do złych czynów. Stara wiedźma Mahaut od dawna żyje w spokoju, chociaż wszyscy wiedzą, że rzuca bezbożne zaklęcia na ludzi i zwierzęta i wywołuje choroby. Wszyscy chrześcijanie powinni o tym pamiętać, kiedy następnym razem choroba nawiedzi naszą wieś”.

Zakończenie zjeżyło Thomasowi włosy na karku: „Co ma być, to się stanie, taka jest wola Boga. A jeśli coś się stanie, byłoby najlepiej, żeby nie pozostał nikt, kto mógłby wystawić złe świadectwo swoim bliźnim”.

– Instrukcja masowego morderstwa – cicho powiedziała Michèle. – „Podburz kilku wieśniaków, żeby zabili moją szwagierkę i jej dzieci. Niech wytną w pień wszystko, co się rusza, żeby nie był o nic podejrzany. I dopilnuj, na Boga, żeby nie przeżył ani jeden świadek!”. Chyba zwymiotuję.

– Zastanawiam się, ile pogromów i rzezi w historii miało podłoże czysto egoistyczne – odezwał się po chwili Thomas. – Zastanawiam się, czy do masowych morderstw kiedykolwiek dochodziło i dochodzi spontanicznie, czy zawsze jest jakiś podżegacz, inicjator, ktoś, kto to planuje.

Dzwon kaplicy uniwersyteckiej wybił pół godziny. Dwa czyste tony niosły się w powietrzu. Nagle list Rolanda de Bioula przypomniał Thomasowi o czymś, co mówił ojciec Domitien, i dopatrzył się pewnego podobieństwa, które przyprawiło go o zawrót głowy.

Położył dłoń na ramieniu Michèle.

– Jeszcze o tym porozmawiamy. Teraz muszę natychmiast zadzwonić do żony. Myślę, że to sprawa życia i śmierci.

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy Martine weszła do gabinetu i odwieszała płaszcz.

Odebrała Julie.

– Tak, jest. Z kim mam przyjemność? Moment...

Zdumiona przykryła słuchawkę dłonią i dała znak Martine.

– Z kancelarii premiera – szepnęła jej do ucha. – Wdepnęliśmy w gniazdo os.

Martine zaschło w ustach, serce zabiło szybciej.

– Madame Poirot – odezwała się, przybierając maksymalnie autorytatywny ton.

– Dzień dobry, madame, nazywam się Jacques Pelgrims i dzwonię z kancelarii premiera. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

Głos starszego mężczyzny, subtelny i pełny jak wieloletni szlachetny koniak, głos, który nasunął jej skojarzenie z zapachem drogich cygar i obrad pod kryształowymi żyrandolami, głos wyćwiczony do ukrywania myśli.

– Mam dość dużo pracy i gdyby zechciał pan od razu przejść do rzeczy...

Jacques Pelgrims zaśmiał się z uznaniem.

– Prosto z mostu. Bardzo dobrze, madame Poirot, sporo o pani słyszeliśmy. Podobno prowadzi pani śledztwo w sprawie morderstwa Gilberte de Ridder. Czy to prawda?

– Tak.

– I jeśli zostałem dobrze poinformowany, w sprawie morderstwa madame Jeanne Demaret. Na jakim jest etapie?

– Mam pewne poszlaki i nadzieję na rychły przełom – neutralnie odparła Martine.

– Rychły?

– Mniemam, że bardzo rychły. Tyle mogę powiedzieć.

– Widzi pani związek między tymi morderstwami?

– Tak. Z pewnych powodów wychodzimy z założenia, że istnieje związek. Proszę wybaczyć, monsieur Pelgrims, nie bardzo rozumiem, dlaczego kancelaria premiera interesuje się moim śledztwem.

– Niestety, nie mogę tego ujawnić, ale zapewniam, że w żadnym razie nie zamierzamy wpływać na jego przebieg. Bylibyśmy wdzięczni, ogromnie wdzięczni, gdyby zechciała nas pani informować o postępach, zwłaszcza gdy dojdzie do przełomu.

Martine się zezłościła.

– Chodzi o Nicolasa Forgerona? Kandydata na ministra? Jeśli tak, to musi pan wiedzieć, że nie ma szansy, najmniejszej szansy na zatuszowanie jego roli w tej historii.

– Nicolas Forgeron? – powiedział Pelgrims, a Martine mogłaby przysiąc, że w jego głosie słyszy autentyczne zdumienie. – Zaskoczyła mnie pani jak rzadko kto. Jeszcze raz proszę o informowanie nas na bieżąco. Odezwę się jutro.

Martine odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Julie.

– Rue de la Loi numer szesnaście uprzejmie prosi o przekazywanie informacji dotyczących przebiegu śledztwa w sprawie morderstwa pań Demaret i de Ridder.

Julie była oburzona.

– Forgeron! Chcą go chronić i wszystko uciszyć.

Teraz nawet dla Julie jest Forgeronem, pomyślała Martine. Bohater narodowy stał się domniemanym przestępcą pozbawionym imienia.

– Myślę, że nie chodziło o Nicolasa Forgerona – powiedziała niespiesznie. – On się naprawdę zdziwił. Chodziło o coś innego, tylko o co?

– O władzę. Na pewno chodzi o kogoś, kto ma władzę. Inaczej rząd nigdy by się tym nie zainteresował.

Oczywiście Julie miała rację. Martine uświadomiła sobie, że przemawiają za tym dwa tropy. Nicolas Forgeron jest politycznym dysponentem władzy, a Gilberte de Ridder, dziedziczkę jednego z najbogatszych Belgów i córkę ambasadora, łączyły z władzą układy polityczno-finansowe.

Jacques Pelgrims na pierwszym miejscu wymienił morderstwo Gilberte de Ridder.

Nagle Martine przypomniała sobie anonimową darowiznę na rzecz funduszu stypendialnego robotników stalowni w roku 1962, która przewyższała środki zebrane przez związek zawodowy i gminę. Czy mogła stanowić część fortuny Léo Dequenne'a?

Znów odezwał się telefon.

– To Annick – powiedziała Julie. – Christian siedzi w urzędzie gminy w Messières, ma pod obserwacją Nicolasa Forgerona, nie mogą wytrzasnąć zmiennika i chciałaby wiedzieć, czy mimo wszystko spotykamy się w sprawie Gilberte.

Martine spojrzała na zegarek.

– Tak. Alice Verhoeven będzie lada moment, powiedz Annick, żeby natychmiast przyszła.

Do pokoju wparowała wytworna siwowłosa kobieta z aktówką pod pachą. Miała na sobie czarne spodnie i beżowy żakiet Armaniego, doskonale leżący na jej szczupłej sylwetce. Czarne wypucowane czółenka i perełki w płatkach uszu dopełniały wrażenia dyskretnej elegancji.

Martine ze zdziwieniem popatrzyła na nieznajomą, napotkała jej błękitne spojrzenie i drgnęła.

– Alice! – krzyknęła zmieszana.

Alice Verhoeven uśmiechnęła się przeprasząco.

– Tak, wiem, dość nieciekawie, prawda? Odwiedziła mnie córka. Zawsze wtrąca się w to, jak się ubieram, a ja nie protestuję. Ale do czasu, dopóki nie wróci do swojego domu.

Usiadła przy stole konferencyjnym i wyjęła dokumenty. W tym momencie pojawiła się Annick w towarzystwie technika kryminalistyki Luca Santiniego. Oboje spieszyli się i oniemieli na widok Alice Verhoeven w nowej wersji od Armaniego.

Alice Verhoeven powiedziała, że Gilberte de Ridder zmarła w sobotę przed południem, między siódmą a dwunastą. Zawartość żołądka świadczyła o tym, że kiedy przyszedł morderca, właśnie zaczęła jeść śniadanie.

– Ponieważ nie wyjęła gazet ze skrzynki, stało się to najprawdopodobniej bardzo wcześnie, może przed siódmą. Ale nie zginęła od razu. Najpierw została pozbawiona przytomności. Ktoś zadał jej kilka ciosów w skroń płaskim zaokrąglonym przedmiotem, czymś w rodzaju pałki z ołowiem. Zmarła od rany tłuczonej podstawy czaszki. Jej kształt zgadza się z zakrwawionym rogiem gzymsu kominka w pokoju, w którym została znaleziona. Miało to wyglądać na nieszczęśliwy wypadek, ale aranżacja załatuje amatorszczyznę. Nie mogła tak upaść, była zdecydowanie za niska.

– To jak to się odbyło? – spytała Annick.

Alice Verhoeven zakasłała.

– Przypuszczam, że morderca podniósł nieprzytomną Gilberte i z dużą siłą uderzył tyłem głowy o kominek...

– Co przemawiałoby za tym, że zrobił to silny mężczyzna, prawda? – włączyła się Martine.

– Nie musiał być bardzo silny, ważyła nie więcej niż czterdzieści dwa kilo, była wręcz niedożywiona.

Martine zamyśliła się.

– Bogata i niedożywiona. Czy sekcja wykazała coś więcej?

– Niedożywiona, od lat nie chodziła do dentysty, nie była *virgo intacta*, o czym pewnie już wiecie, ale nigdy nie rodziła. I nie myła się zbyt często.

Luc Santini poinformował, że plamy krwi i włosy na brudnej wykładzinie świadczyły o tym, że sprawca tam ją zaatakował, pozbawił przytomności i przeniósł do salonu. Przeniósł, bo na wykładzinie i na podłodze nie było śladów ciągnięcia. Nic też nie wskazywało na to, żeby próbowała się bronić; pod jej najczystszyimi paznokciami nie znaleziono fragmentów skóry ani krwi. W hallu i na podłodze w salonie nie brakowało żwiru, piasku i ziemi. Wszystko zabezpieczono, ale żadną miarą nie da się ustalić, co pozostawił po sobie morderca, a co się tam nagromadziło „od ostatniego odkurzenia, czyli mniej więcej od lat osiemdziesiątych”. Ale po ujęciu sprawcy będzie to można wykorzystać. W dużym domu o powierzchni blisko czterystu metrów kwadratowych, na którą składały się trzy kondygnacje i strych, Gilberte korzystała tylko

z parteru, sądząc po warstwach kurzu zalegających na pierwszym i drugim piętrze. Stały tam pojedyncze meble, przeważnie cenne antyki i obrazy. Między innymi dwa płótna Jamesa Ensora, jedno Chagalla i „pieprzony rysunek Picassa”. Chyba oryginalne, szukają ekspertów, którzy mogliby to ocenić. Na strychu, w czarnych workach na śmieci, było mnóstwo jakichś papierów.

Annick westchnęła.

– Przejrzenie ich zajmie tygodnie. Ale nie sądzę, żeby się nam do czegoś przydały.

Na oko większość była z Brukseli, te z późnych lat siedemdziesiątych dotyczyły ryb, kiedy Gilberte specjalizowała się w tłumaczeniu obrad poświęconych polityce rybołówstwa.

Na pierwszym piętrze, przypuszczalnie w niegdysiejszej sypialni, w ścianie za obrazem był sejf.

– Nasi chłopcy nie znaleźli szyfru – powiedziała Annick. – Jeśli nie zna go adwokat, otworzymy sejf z użyciem siły.

– Adwokat przyjdzie za pół godziny – poinformowała Martine.

Według relacji Annick odpytywanie sąsiadów Gilberte przyniosło jeden rezultat. W sobotę około wpół do siódmej rano, kiedy prawie wszyscy jeszcze spali, dziesięcioletnia dziewczynka wyszła na spacer z młodym pieskiem. Była pewna, że w ogrodzie „fisińskiej pani” widziała jakiegoś mężczyznę.

Annick przytoczyła słowa małej Letycji:

– „Był napakowany, miał bardzo krótkie włosy i czarną koszulę, wyglądał jak łobuz i się zakradał”.

– Napakowany, bardzo krótkie włosy? To wypisz, wymaluj Luc Devos – powiedziała Martine, pamiętając, co mówił o nim Christian. – Świetnie, że jest pod nadzorem.

– Niestety, mamy pewien problem – z ubolewaniem przyznała Annick. – Wczoraj o dziesiątej wieczorem, kiedy zaczęliśmy obserwację, nie było go w mieszkaniu. Rano z dużego domu wyszła chyba jakaś gosposia, żeby wyrzucić śmieci i wziąć gazety, i wtedy Serge zapytał ją o Devosa. Nie miała pojęcia, gdzie jest, w każdym razie w niedzielę około szóstej po południu widziała, jak wyjeżdża jednym z samochodów pułkownika.

– Czyli po wizycie Christiana. Byle tylko nie ostrzegła Devosa!

– Nie należy do jego fanklubu. Jest wobec niej bezczelny i obiecała Serge’owi, że kiedy Devos wróci, nic mu nie powie. Ale nie wrócił.

– Szukajcie go, szukajcie samochodu.

– Mamy go zatrzymać?

– Poczekamy na billingi z Belgacomu – zdecydowała Martine. – Jeśli będzie dużo połączeń z Forgeronem, jestem gotowa wydać nakaz aresztowania za zamordowanie Jeanne Demaret. Na razie wystarczy nam wiedza, gdzie on obecnie jest.

Martine zdawała sobie sprawę, że nie powinna się koncentrować wyłącznie na Devosie. Wprawdzie czuła do szpiku kości, że istnieje związek między morderstwem Jeanne Demaret i Gilberte de Ridder, nie mogła jednak pominąć innych prawdopodobnych motywów zabójstwa Gilberte. Muszą przejrzeć jej papiery, przeszukać sejf i rozpytać sąsiadów.

I porozmawiać z jej adwokatem.

Okazało się, że jest nim Louis Bougard, stryj męża Brigitte Onckelinx. Wysoki, ironiczny sześćdziesięciolatek o srebrzystoszarych skroniach, który w czasie wolnym grał na altówce w towarzystwie orkiestrowym w Villette. Martine lubiła go, mimo powinowactwa z Brigitte.

Pocałował ją w policzek, uściśnął rękę Julie i położył na stole dwie opasłe aktówki.

– No dobrze, Martine, co chcecie wiedzieć? O sprawach Gilberte de Ridder mógłbym opowiadać godzinami, ale nie macie czasu ani ochoty tego wysłuchiwać.

– Jak bardzo była bogata?

Bougard roześmiał się.

– Jak zwykle od razu przechodzisz do rzeczy. Niestety, nie mogę ci odplacić tym samym. W dalszym ciągu sporządzamy inwentarz spadkowy, poza tym dużo środków jest ulokowanych w akcjach, których wartość zmienia się z dnia na dzień. Tak czy inaczej, Gilberte de Ridder była bogata, bardzo, bardzo bogata. Mogę powiedzieć tylko tyle, że jej majątek jest dziesięciocyfrowy.

Cyfry nigdy nie były mocną stroną Martine.

Julie okazała się szybsza.

– Miała miliardy? – zapytała bez tchu.

Louis Bougard skinął głową.

– Tak, mademoiselle Wastia, miliardy franków belgijskich.

Godzinę później Martine już wiedziała, że Gilberte de Ridder była głównym akcjonariuszem Forvilu i miała znaczące udziały w wielu przedsiębiorstwach belgijskich, francuskich i niemieckich. Nie licząc domu w Villette, była właścicielką zamku pod Bordeaux i



rezydencji przy Avenue Louise w Brukseli, które wynajmowała. W skład jej majątku wchodziła również warta grube miliony kolekcja dzieł sztuki Léo Dequenne'a.

– A gdzie ona jest? – spytała Martine.

Louis Bougard westchnął.

– W różnych miejscach. Kilka obrazów wciąż znajduje się w domu na Clos des Lilas, gdzie każdy może wejść, kilka jest w zamku pod Bordeaux, a większość udało mi się zabezpieczyć i ulokować w skarbcu bankowym.

– Kto po niej dziedziczy?

– Na szczęście spisała testament. W przeciwnym razie byłby kłopot, ponieważ nie miała bliskich krewnych. Kolekcja trafi do Musées Royaux des Beaux Arts w Brukseli. Zasoby finansowe będą rozdzielone na cele dobroczynne...

– Na schroniska dla kotów albo coś w tym rodzaju?

– Jeden legat rzeczywiście dotyczy domu dla bezpańskich kotów, ale opiewa na zaledwie milion franków, co w tej sytuacji jest śmiesznie małą sumą. W pozostałych zapisach widać pewną konsekwencję. Chce wspierać młodzież, edukację, międzynarodowe zrozumienie. Wiele milionów przeznaczyła na stworzenie w zamku pod Bordeaux europejskiego centrum kształcenia tłumaczy i intensywnych kursów nauki języka francuskiego. Zapewniam, że będę miał co robić przez lata.

Louis Bougard popatrzył na Martine z uśmiechem i błyszczącymi oczami.

Znów zobaczyła przed sobą chudą śmierdzącą staruszkę w poplamionym żakiecie Chanel, poczuła ostry odór brudu i kociego moczu i próbowała to jakoś pogodzić z nieruchomościami, dziełami sztuki i miliardami w akcjach, o czym z taką pewnością mówił Louis Bougard. Jaka katastrofa spowodowała, że wszystko odrzuciła i żyła w nędzy w zapuszczonym domu na Clos des Lilas?

Jeszcze raz pomyślała o Philippie, o tajemnicach, które z żelazną konsekwencją ukrywał przez wiele lat, i jego szybkim upadku na dno, kiedy w końcu przestał udawać kogoś, kim nie był.

Tak czy inaczej, w testamencie Gilberte trudno się było doszukać jakiegoś motywu morderstwa. Chociaż, rzecz jasna, miłośnicy kotów bywali fanatyczni.

– Znając jej majątek, którym pan zarządzał, jak mógł pan dopuścić do tego, żeby wegetowała? W chwili śmierci była niedożywiona – powiedziała Martine.

Louis Bougard usłyszał w jej głosie zakamuflowaną pretensję i nawet się speszył, ale tylko trochę.

– Rozumiem twoje wątpliwości, Martine, tylko co ja mogłem? Spływały do mnie jej rachunki, pilnowałem terminów płatności za prąd i gaz, i za prenumeratę gazet, dbałem o to, żeby dach nie przeciekał. To wszystko, na co mi pozwalała.

– Była chora psychicznie!

– Sugerujesz, że powinienem był ją wysłać na przymusowe leczenie? Owszem, przeszło mi to przez myśl, ale przecież pogwałciłbym jej niezależność. Poza tym miała jasny umysł. Wiedziała, że jest bogata, wiedziała, co posiada, sama wybrała taki sposób na życie.

– Ale dlaczego?

Louis Bougard pokręcił głową. Poznał Gilberte w roku 1978, po śmierci jej rodziców. Wtedy była zupełnie normalną czterdziestolatką, miłą w obejściu, nieśmiałą i małomówną. Pracowała na niepełnym etacie jako tłumaczka w Brukseli i lubiła tę pracę. Nie udzielała się towarzysko w Villette, ale przyjaźniła się z kolegami z Komisji Europejskiej.

– Wiedzieli, że jest bogata? – spytała Martine.

– Jeden wiedział na pewno: Jean-Claude Kieffer, z którym zamieszkała na początku lat osiemdziesiątych. Wtedy zaczęły się podróże, bywanie w restauracjach, szyte na miarę garnitury dla niego, *haute couture* dla niej. Ale trwało to nie dłużej niż rok.

– Czy to Jean-Claude Kieffer przespał się z pomocą domową?

Bougard uśmiechnął się cynicznie.

– Tak. Był to zapewne jeden z najdroższych stosunków seksualnych w historii. Wcześniej żył w luksusie, miał wszystko, czego zapragnął, ba, sporządziła testament, w którym uczyniła go jedynym beneficjentem. A kiedy nakryła go w łóżku z Consuelo, natychmiast wyładował na bruk.

– Co się z nim stało?

– Nie mam pojęcia.

– A kto to był?

– Francuz, zdaje się, że pracował w komisji do spraw rybołówstwa, kilka lat młodszy od Gilberte, przystojny.

– Kiedy zmieniła testament?

– Od razu kiedy go wyrzuciła, w osiemdziesiątym drugim. Potem wprowadziła jeszcze drobne korekty.

Czy Jean-Claude Kieffer wiedział, że Gilberte zmieniła testament? Jeśli myślał, że wciąż po niej dziedziczy, mógłby być mordercą. I mogłoby się zgadzać to nieudolne upozorowanie nieszczęśliwego wypadku. Tylko dlaczego czekałby z tym tak długo?

Jeszcze coś zaintrygowało Martine.

– Dlaczego się nie pobrali? To byłoby chyba całkiem naturalne, skoro Gilberte go kochała, a Kiefferowi zależało na pieniądzach.

– Masz rację, ale nie wiem dlaczego. Ucieszyłem się, że tak łatwo się go pozbyła.

– Jest pan pewien, że nie była mężatką? Victor Florival, emerytowany inspektor lokalnej policji z Luton, powiedział, że kiedy państwo de Ridder przeprowadzili się do Villette, Gilberte miała męża.

– Z tego, co wiem, nie. Chociaż...? Szmata życia spędziła za granicą, dzieciństwo w Londynie, młodość w Ankarze, Genewie i Waszyngtonie. Może gdzieś jej się przytrafił jakiś niewydarzony małżonek.

Martine uświadomiła sobie, że Louis Bougard też był wystawiony na nie lada pokusy. Od przeszło dwudziestu lat zarządzał ogromnym majątkiem kobiety, która żyła jak nędzarka i nie zadawała żadnych pytań. Nic prostszego, jak od czasu do czasu przelać kilkaset tysięcy na swoje konto...

Louis Bougard wykrzywił się w uśmiechu.

– Przejrzałem cię, młoda damo. Oczywiście ilekroć nadarzała się okazja kupna altówki z Cremony, przychodziło mi do głowy, że Gilberte w ogóle się nie zorientuje, jeśli zbiednieje o milion albo dwa. Ale gdyby tak było, chciałbym, żeby żyła jak najdłużej. Teraz, po jej śmierci, rewidenci przenicują na wylot jej majątek. Na szczęście nie mam powodów do niepokoju. Poza tym za prowadzenie jej spraw finansowych otrzymywałem sowitą zapłatę.

Martine pomyślała o sejfie, którego nie udało się otworzyć.

– W sypialni na pierwszym piętrze jest sejf. Czy przypadkiem nie zna pan szyfru?

– Owszem, znam, jeśli, rzecz jasna, Gilberte nie zmieniła kombinacji. Ale nie sądzę.

– Co tam jest?

– Chyba trochę biżuterii i prywatne papiery, naprawdę prywatne, takie, których nie zna nawet jej adwokat. – Bougard sięgnął po pliki starannie uporządkowanych dokumentów, znalazł

to, czego szukał, spisał ołówkiem rząd cyfr i wręczył kartkę Martine. – Możecie otworzyć sejf. Sądzę, że leży to w interesie mojej klientki.

Włożył dokumenty do dwóch aktówek i wstał, gotowy do wyjścia.

Kiedy na korytarzu wybrzmiał odgłos jego kroków, odezwał się telefon. Odebrała Julie. Jej napięta twarz nagle pojaśniała.

– Tak, przekażę. Zaraz po lunchu? Dobrze, będziemy. – Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Martine rozpromienionym wzrokiem. – Dzwonili ze szpitala Saint-Sauveur. Dominic się wybudził! Chce z tobą rozmawiać!

Pod Martine niemal ugięły się kolana. Poczowała ogromną ulgę. Bardzo się martwiła o Dominica. Poza tym był ważnym świadkiem, przecież mógł rozpoznać swojego niedoszłego zabójcę.

– Zaraz po lunchu? To co, pójdziemy coś zjeść do À la Justice Aveugle?

Julie kręciła pasemko ciemnych włosów między palcami.

– Nie jestem szczególnie głodna i...

– I...?

– Pomyślałam, że mogłabym od razu pojechać do szpitala, przed tobą...

Martine roześmiała się.

– Żeby położyć chłodną dłoń na rozpalonym czole Dominica? Jedź, będę za godzinę.

Julie sięgnęła po swój czerwony płaszcz i wyszła z pokoju tanecznym krokiem. Martine zastanawiała się, czy aby na pewno jest głodna. Może napije się kawy i przejrzy zapiski o Gilberte.

Karteluszek z szyfrem do sejfu sfrunął na podłogę. Trzeba go włożyć do plastikowej okładki, żeby się nie zawieruszył. Zobaczyła jedną, wystawała ze sterty papierów na biurku, i wyciągnęła. Było w niej zdjęcie, które Christian znalazł w koszu na śmieci Luca Devosa.

Jeszcze raz mu się przyjrzała. Król, pułkownik i młoda kobieta w stroju z lat sześćdziesiątych. Co takiego Devos chciał ukryć?

Nagle ją olśniło. Od razu powinna była zaufać podszeptom podświadomości. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, pokój zawirował, musiała nisko pochylić głowę.

To dużo tłumaczyło, zwłaszcza telefon z Rue de la Loi. Ale wciąż nie ogarniała całości. Brakowało jednego puzzla.

Znów ktoś dzwoni. Odebrać? Teoretycznie wyszła na lunch. Nie chciała z nikim rozmawiać, chciała pomyśleć.

Ale uporczywe dzwonki nie milkły. Dla świętego spokoju odbierze. Prostując się, uderzyła głową o kant biurka.

– Martine Poirot – warknęła, dotykając głowy lewą dłonią.

Oby tylko nie nabiła sobie guza.

– Martine – odezwał się w słuchawce podniecony głos Thomasa. – Czy w śledztwie jest ktoś, kto nazywa się Basti? Jeśli jest, to on jest mordercą, to on za wszystkim stoi!

– O czym ty mówisz? Uspokój się, nic nie rozumiem!

Thomas zebrał się w sobie i zaczął opowiadać o księdzu, o małżeństwie, o liście i kobiecie, która zginęła w płomieniach w starej szkole w Aubermont.

Martine słuchała, nie odrywając wzroku od zdjęcia. Ależ tak, zgadzało się, to był ten brakujący puzzel.

– Profesorze Héger – rzekła podniośle – jest pan cudowny, myślę, że wspólnie rozwiązaliśmy tę sprawę. Wieczorem wszystko ci wyjaśnię.

Odłożyła słuchawkę i jeszcze raz popatrzyła na zdjęcie. Basti, pomyślała, tym razem się nie wywiniesz, cokolwiek by mówili na Rue de la Loi.

Oczywiście nie było niezbitego dowodu. Zastanawiała się, czy list się zachował. Jeśli tak, znajdą go tylko w jednym miejscu. Nie chciała czekać. Spojrzała na zegarek. Za pół godziny ma być w szpitalu.

Nie zaszkodzi rzucić okiem. A może zaszkodzi? Po namyśle uznała, że z wielu powodów nie powinna jechać sama do domu Gilberte. Przede wszystkim nie powinna otwierać sejfu, w którym mogą być ważne materiały dowodowe, bez obecności swojej kancelistki.

Ale była tak podniecona wnioskami, do których doszła, że nie potrafiła się oprzeć impulsowi. Tylko rzuci okiem. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Schowała plastikową okładkę do torebki i zeszła do samochodu.

# ROZDZIAŁ 16

Poniedziałek 11 kwietnia 1994

Martine zaparkowała na Clos des Lilas. Kiedy zbiegła piętro niżej do wydziału kryminalnego po klucz do willi Gilberte, tak się spieszyła, że o mały włos nie przewróciła starszego księdza, który rozglądał się po recepcji. Spojrzała na zegarek. Miała tylko kwadrans, jeśli nie chciała się spóźnić do szpitala. Chociaż Julie na pewno się nie zmartwi dłuższym tête-à-tête z Dominikiem.

Otworzyła furtkę i ostrożnie przestąpiła przez taśmę policyjną. Wielki dom w zarośniętym ogrodzie. To jej trzecia wizyta. Poczula odmienny nastrój, teraz nie było tu żywej duszy. Dziwne, że obecność niedożywionej, na wpół obłąkanej staruszki robiła taką różnicę. No i oczywiście koty. Ciekawe, co się z nimi stało. Pewnie zostały uśpione. Miała nadzieję, że Didier Marchal zdążył wziąć przynajmniej jednego kociaka dla swoich dzieci. Musi go zapytać o ich imiona.

Obraz, jaki się wyłonił, kiedy Thomas dostarczył jej ostatniego puzzla, głęboko nią wstrząsnął. Czowała bezsilną wściekłość na myśl, ile osób przez lata milczało i kłamało, żeby chronić nie tych co trzeba, pomagało napinać lepka sieć łgarstw i tajemnic, godząc się na śmierć tylu niewinnych istnień. Widziała przed sobą ich twarze, jak w galerii portretów, poważne i oskarżające: Cécile, mała Marie-Félice, Jeanne, Gilberte. Patrzyły na nią, domagając się sprawiedliwości.

Miała tylko wejść na piętro i otworzyć sejf. Tymczasem coś, może jakiś dźwięk albo ruch dostrzeżony kącikiem oka, kazało jej zajrzeć do salonu z marmurowym kominkiem, gdzie za jej ostatniej bytności leżały zwłoki Gilberte.

W pierwszej chwili nie wierzyła własnym oczom. Pomyślała, że adrenalina, ból głowy i zmęczenie przyprawiły ją o zwiady. Znow zobaczyła zwłoki. Tym razem nie chudej, drobnej kobiety, tylko silnie zbudowanego, ostrzyżonego na jeża mężczyzny, zbyt masywnego jak na przywidzenie. Leżał na brzuchu, z głową w kałuży krwi.

Na kilka sekund, które wydawały się godzinami, Martine wmurowało w podłogę. Mocno waliło jej serce, ścisnęły się wnętrzości. Nagi strach. Widziała dużo ofiar przestępstwa, pociętych, pobitych, zgwałconych, ale zwykle przychodziła wtedy, kiedy bezosobowa machina

sprawiedliwości już została wprawiona w ruch, dzięki czemu można było zachować profesjonalny dystans do brutalnych aktów przemocy. Teraz na własnej skórze doświadczyła, czym jest odkrycie morderstwa.

Z jakąś prymitywną, pierwotną pewnością czuła, że to ciężkie ciało przed kominkiem już nie jest człowiekiem, tylko górą kości, mięsa i skóry, poddaną naturalnemu procesowi rozkładu. Mimo to zmusiła stopy do zrobienia kilku kroków, pochyliła się nad zakrwawionym mężczyzną i ujęła go za nadgarstek, żeby sprawdzić puls. Nie żył.

Niczego nie słyszała, coś ją jednak ostrzegło, może zagęszczenie atmosfery w salonie, może jej zmysły podświadomie zareagowały na chemiczne objawy strachu i stresu. Odwróciła głowę do tyłu i w tym momencie padł cios.

Ocknęła się na podłodze przed kominkiem, nieprzyjemnie blisko martwego mężczyzny i kałuży krwi przemieszanej z jego substancją mózgową. Miała ręce związane na plecach własnym szalem, nogi w kostkach krępował jakiś rzemień.

Bolała ją głowa, miała spuchnięty język i klejące się oczy, które ledwo, ledwo mogła otworzyć. Struzka śliny spłynęła z kącika ust i zaschła na skórze. Zbierało jej się na mdłości. Przeraziła się, że zwymiotuje, ale skończyło się na kwaśnym beknięciu.

Co się stało? Pamiętała, że weszła do hallu i miała pójść na górę do sypialni, gdzie był sejf, a potem... Nie odwracając obolałej głowy, obrzuciła spojrzeniem martwe ciało leżące przed kominkiem. Tak, w domu Gilberte znalazła zwłoki. I ktoś ją uderzył.

Z wysiłkiem dźwignęła się do pozycji siedzącej i oparła o kominek. Kant z zielonego marmuru przyjemnie chłodził skroń. Która godzina? Ile czasu upłynęło od jej przyjscia do domu Gilberte? Światło za oknem niewiele jej powiedziało, w każdym razie nie był to wieczór. Miała się spotkać z Dominikiem i Julie w szpitalu. Pewnie się zastanawiają, gdzie się podziewa.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Słyszała czyjś oddech i czuła czyjaś obecność, napawającą grozą jak czarna dziura w kosmosie.

Nicolas Forgeron siedział na jedynym meblu w salonie, dębowym stole jadalnianym na co najmniej dwanaście osób, w ciemnoniebieskim płaszczu, jakby zmarł. Obok, na blacie, leżał pistolet. Patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem, w przyszłość bez przyszłości i w przeszłość bez prawa łaski. Martine wątpiła, czy jest świadom jej obecności i tego, że jest przytomna.

Nagle spojrział na nią.

– Po co pani tu przyszła? – spytał oskarżycielskim tonem.

– Chciałam coś wziąć. – Podejrzewała, że wiedział, kim ona jest. – A to Luc Devos, prawda?

– Tak, zastrzeliłem go. Od lat nie zrobiłem nic lepszego. Ktoś powinien był go załatwić dawno temu. Chciał, żebym mu pomógł w znalezieniu jakichś papierów, ale miarka się przebrała.

Ciekawe, co teraz, pomyślała Martine. Wolała nie pytać. W jego spojrzeniu było coś, co świadczyło o tym, że jest niepoczytalny.

Ukradkiem lustrowała mężczyznę, na którego chciała głosować, a od dwudziestu czterech godzin podejrzewała o masowe morderstwo. Kim on jest? Wczoraj wieczorem, kiedy leżała w łóżku i nie mogła zasnąć, długo rozmyślała o Nicolasie Forgeronie.

Potrafiła zrozumieć, dlaczego nieukształtowany czternastoletni Nicolas dzięki pochlebstwom i możliwości zobaczenia zupełnie innego świata niż osiedla robotnicze w Aubermont dał się nabrać na manipulacje André Fontaine'a i Luca Devosa. Imponowali mu, nie więc dziwnego, że poszedł do kwatery uchodźców na wzgórzu i aktywnie uczestniczył w masowym morderstwie.

Ale potem odciął się od wszystkiego, co reprezentował Fontaine. Ten Nicolas Forgeron, który napisał *Chrzest ogniem* i *Rynek kości słoniowej*, był idealistą i pokutnikiem. W każdym razie polityk Nicolas Forgeron był idealistą, który wielokrotnie pokazał, że nie waha się iść własną drogą, kiedy w jego mniemaniu aparat partyjny popełniał błędy i szedł na zbyt duże ustępstwa, zapominając o pryncypiach ideologicznych. Nigdy nie był zamieszany w afery korupcyjne i już samo to było prawdziwym wyczynem w środowisku politycznym, w którym się obracał.

I zaryzykował, poświęcając wszystko, co udało mu się zbudować.

Musiał nim powodować inne, mroczniejsze siły niż idealizm, żeby osiągnąć aż tyle mimo skromnego pochodzenia i mimo że nosił pamięć strasznego wydarzenia z roku 1961 jak martwego albatrosa na szyi<sup>4</sup>. Żądza sławy, przemożna chęć bycia kimś czasami prowadzi prosto ku ideałom, a czasami znosi na manowce. Dobrze to znała.

Zastanawiała się, co on zamierza zrobić. Musiał mieć absolutną jasność, tak jak ona, że teraz nie ma wyboru.

---

<sup>4</sup> Nawiązanie do Rymów o sędziwym marynarzu S.T. Coleridge'a (1772–1834).



Strach rozpuścił jej wnętrzności. Wiedziała, jak się zachować w sytuacji zakładniczki. Była na kursie. Musi do niego jakoś dotrzeć, postarać się, żeby zobaczył w niej człowieka i uświadomił sobie, że jeśli cokolwiek jej zrobi, nic nie zyska.

– Zabijanie do niczego nie prowadzi. Drogo zapłaciłeś za to, co zrobiłeś w młodości ze zwykłej głupoty.

Martine starała się przybrać ciepły, łagodny ton, tykanie go wydało jej się całkowicie naturalne, ale niestety głos ją zawiódł, drżał i chrypiał, jakby wygłaszała mowę przy kolacji.

Nicolas Forgeron chyba tego nie zauważył.

– Ach tak, więc wiesz. To ty jesteś Martine Poirot, prawda? Domyśliłem się, że coś się święci, kiedy twoja policjanteczka przysłała wczoraj do siedziby partii i zadawała pytania.

Martine próbowała usiąść wygodniej. Zastanawiała się, jak uwolnić dłoń. Jedwabny szal był miękki i gładki, ale mocny. Raczej go nie przetnie o żaden ostry kant. Ale gdyby udało jej się poluznić węzeł... Kiedy zawiązywała szal pod szyją, śliski materiał zwykle sam się luzował.

– Wydaje mi się, że nie wiesz wszystkiego – odezwała się konwersacyjnym tonem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał podejrzliwie.

– Że zostałeś oszukany i wykorzystany, ty i twoi przyjaciele, i że zatuszowanie tego, co zrobiliście, chroniło innego, prawdziwego winowajcę.

Ściągnęła jego uwagę, nie jest źle. Zsunął się ze stołu i usiadł naprzeciwko niej. Pistolet położył obok.

Przed kominkiem stał żeliwny ekran. Gdyby nadziała węzeł na jeden z wystających końców, może go rozwiąże. Byle Nicolas się nie zorientował. Musi go zająć rozmową.

– Mów – powiedział.

– Dobrze, ale najpierw chcę o coś spytać. Czy w lecie sześćdziesiątego pierwszego ty i twoi przyjaciele z Aubermont bywaliście w tym domu?

– Tak – przyznał z goryczą. – Przywozili nas tutaj André i Congo. Boże, jak mi to imponowało! Antyki, lustro w złotych ramach, alkohol, szampan, homary, gęsie wątróbki, raj na ziemi dla chłopaków z robotniczych szeregowców z Aubermont. I książki. Wielka biblioteka z książkami od podłogi po sufit, nawet mi przez myśl nie przeszło, że jedna osoba może mieć tyle książek.

– Jak wchodziliście?

– Congo, to znaczy Luc Devos, miał klucz. Nie wiem skąd. W każdym razie miał go do tej pory.

– Teraz coś ci opowiem. Ta historia zaczęła się dawno temu, na długo przed sierpniem sześćdziesiątego pierwszego roku.

Szeherazada, pomyślała Martine. Dopóki uda mi się utrzymać jego zainteresowanie, nie zrobi tego, co zaplanował.

– Wszystko miało swój początek w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, kiedy młody oficer służący w oddziałach kolonialnych przyjechał do Kigali. Nazywał się Jean-Bastien Theroux.

Nicolas Forgeron drgnął i zrobił wielkie oczy.

– Poznał młodą tubylkę, Cécile Naigiziki, i zaczął się do niej zalecać. Ale poszedł z nią do łóżka dopiero wtedy, kiedy w największej tajemnicy ją poślubił. Krótco potem wrócił do Belgii i nie zaprzętał sobie głowy rwandyjską małżonką. Później trafił do Konga z pułkiem komandosów, gdzie spotkał Luca Devosa, który został jego wiernym przybocznym.

Martine zawahała się. Nie miała całkowitej jasności co do dat i przebiegu zdarzeń, ale była dość pewna ogólnych zarysów.

Olśnienie spadło na nią jak grom z jasnego nieba. Oglądając zdjęcie wyciągnięte z kosza na śmieci przed domem Devosa, zauważyła, że młoda kobieta ma na sobie identyczny zakiet Chanel, jaki nosiła Gilberte de Ridder, acz jeszcze niepoplamiony i niespłowiały. Rozpoznała model, guziki, krój. Trudniej było rozpoznać w ładnej, uśmiechniętej dziewczynie wychudzoną i wyniszczoną Gilberte z postrzępionymi kosmykami włosów, ale raz rozbudzona myśl zamieniła się w pewność. Na zdjęciu była młoda i szczęśliwa Gilberte de Ridder w towarzystwie Jeana-Bastiena Theroux i króla. Kiedy zadzwonił Thomas, ostatni puzzel trafił na swoje miejsce. Thomas powiedział, że ludzie, którzy zginęli w pożarze szkoły, musieli zostać poświęceni, żeby Basti mógł się pozbyć swojej czarnej żony, tak jak Roland de Bioul zaaranżował rzeź, żeby przejąć spadek. Martine, nie odrywając wzroku od fotografii Theroux i bogatej dziedziczki Gilberte, zrozumiała, jak silny motyw musiał mieć Basti Theroux, żeby usunąć kobietę, z którą wziął ślub w Kigali.

– Na pewno ożenił się z obiema – powiedziała raczej do siebie. – Theroux trafiła się prawdziwa gratka, udało mu się zdobyć jedną z najbogatszych dziedziczek w Belgii, wnuczkę Léo Dequenne’a, Gilberte de Ridder. To musiało być pod koniec lat pięćdziesiątych,

przypuszczalnie wtedy, kiedy Gilberte mieszkała z rodzicami za granicą. Wydaje mi się, że pobrali się za granicą, może przez kilka lat mieszkali w Kongu, raczej nie było ich w Belgii do lata sześćdziesiątego pierwszego...

– Devos wrócił w okolicach Bożego Narodzenia w sześćdziesiątym roku razem z szefem, który dostał jakąś posesję w SHAPE w Mons – przerwał jej Nicolas Forgeron niemal normalnym tonem. – Opowiadał nam o tym.

– Aha. Tak więc Theroux jest w Belgii ze swoją bogatą żoną i wspaniale zapowiadającą się karierą. I wtedy następuje katastrofa. Dziewczyna, z którą się ożenił w Rwandzie i o której prawie zapomniał, przyjeżdża do Belgii, nawiązuje z nim kontakt i informuje, że ma z nim dziecko. Nie wiem, jak go odnalazła, może zobaczyła jego zdjęcie w gazecie, w każdym razie napisała do niego. Theroux wpadł w panikę. Jego małżeństwo z Gilberte było nieważne, bo wcześniej wziął legalny ślub z Cécile, ale myślał, że nikt się o tym nigdy nie dowie. Musiał uciszyć Cécile. Inaczej straciłby majątną żonę i narobił sobie wrogów wśród jej wpływowych krewnych. Śmierć Cécile w pożarze to rzecz praktyczna, bo przy okazji mogą spłonąć wszystkie kompromitujące dokumenty.

Martine zauważyła, że Nicolas Forgeron nie spuszcza wzroku z jej ust, oczarowany jak chłopczyk, który słucha strasznej, ale fascynującej bajki na dobranoc. Musi mówić jak najdłużej. Prędzej czy później Julie zacznie się zastanawiać, dlaczego nie przyszła do szpitala, zadzwoni do Pałacu Sprawiedliwości, żeby się dowiedzieć, gdzie się podziała, i ktoś sobie przypomni, że wzięła klucz do domu Gilberte.

– Nie wiem – podjęła w zadumie – jak Theroux wpadł na pomysł pozbycia się Cécile, aranżując masowe morderstwo, żeby nikt nie wypytywał tylko o nią. Tak czy inaczej, André Fontaine był w to zamieszany. To on postanowił wykorzystać chłopców z Aubermont.

– André znał wszystkich dzięki ojcu pijanicy, który kiedyś leczył śmietankę towarzyską Vilette. Chwalił się, że zna Léo Dequenne'a, a Devosa pewnie poznał na jakimś mityngu ultraprawicy. Theroux też pochodzi z Vilette.

– W każdym razie ukuli plan, którego ty i twoi przyjaciele byliście częścią składową. Fontaine zaczął się z wami kolegować latem sześćdziesiątego pierwszego, prawda? Myślę, że od początku mieliście wziąć udział w podpaleniu kwatery uchodźców w starej szkole, tak żeby to wyglądało na szczeniacki rasistowski wygłup, który się przerodził w niezamierzone masowe morderstwo. Dlatego zapraszali was tutaj na frykasy i częstowali alkoholem. Mieliście się czuć

jak grupa wybrańców. Dom stał wtedy pusty. Léo Dequenne zmarł wiosną, jego córka i zięć, rodzice Gilberte, wprowadzili się dopiero jesienią. Theroux bez trudu mógł sobie przywłaszczyć klucz teściów. Bawiliście się po królewsku, byliście w siódmym niebie, a Fontaine i Devos nie tracili czasu, żeby zaszcześcić w was trochę rasistowskich poglądów.

Martine nigdy dotąd nie widziała kogoś tak głęboko nieszczęśliwego jak Nicolas Forgeron.

– Dałem się nabrać – powiedział. – Miałem zaledwie czternaście lat, siedziałem w bibliotece, pośród tych wszystkich książek, piłem koniak i słuchałem André, który mówił o różnicach między ludźmi, że istnieje elita i że ja do niej należę, bo jestem bardzo inteligentny. Kupowałem ten szajs tylko przez kilka tygodni i zrujnowałem sobie życie!

Miał łzy w oczach. Martine nie mogła mu nie współczuć, ale nie roztkliwiała się nad nim tak jak on nad sobą, zwłaszcza że dobrze pamiętała słowa Michela Pirola. Dziewczynka wepchnięta w płomień, Marie-Félice, w której się tamtego dnia zadurzył Dominic, była córką Cécile Naigiziki i Jeana-Bastiena Theurox. Ojciec przyzwolił na jej śmierć, skazał na śmierć własne dziecko.

– Tak, szkoła spłonęła, Cécile i jej dzieci też, ale Theroux miał pecha. Gilberte odkryła prawdę, może znalazła list Cécile, i go rzuciła. Trochę mu się jednak poszczęściło, bo przeżyła załamanie nerwowe i została wysłana do kliniki w Szwajcarii. Jej rodzina nie chciała skandalu, więc sprawę wyciszono. Dla dobra chłopców z Auberfontaine Dolhet i Daelmans też zadbali o zmwę milczenia, co można uznać za wyjątkowo fortunną okoliczność. – Napotkała spojrzenie Forgerona. – Czy myślałeś o tym, że gdyby prawda o pożarze wyszła na jaw, Devos prawdopodobnie zostałby skazany za podpalenie, a wy uniknęlibyście kary?

– Ja bym nie uniknął, przecież wiesz, co zrobiłem...

– Wiem, ale byłeś bardzo młody, nie groził ci wysoki wyrok i wszystko szybko poszłoby w niepamięć.

– Próbowałem zapomnieć i nigdy mi się nie udało. Noc w noc śnił mi się pożar, krzyki i ludzie, którzy zginęli w płomieniach. Bałem się, myślałem, że jeśli to się wyda, spędzę resztę życia w więzieniu, myślałem o tym, jaki wstyd przyniosę rodzicom. Dlatego wyjechałem na studia do Paryża, byle dalej od Belgii.

– I napisałeś dwie powieści.

– Napisałem, ale czułem niedosyt, czułem, że muszę zmienić świat, żeby odkupić swoją winę. I odkupiłem. Odkupiłem! Tak czy nie?! – Forgeron podniósł głos do krzyku i wbił wzrok w Martine, która przez chwilę myślała, że się uspokoił i pozbierał, tymczasem nadal był jak nitrogliceryna: jedno dotknięcie i eksplozja. – Gadaj! – Pochylił ku niej głowę. – Co, może nie odkupiłem?!

– Owszem... gdyby nie Jeanne Demaret... To było głupie i niepotrzebne. Zadzwoiła do ciebie, prawda?

Teraz był zły.

– Wiedziała o tym od początku, przez te wszystkie lata milczała i nagle jej odbiło, nie chciała dłużej milczeć tylko dlatego, że miałem szansę wejść do rządu. Zadzwoiła i joczyła, że powinienem zrezygnować z ubiegania się o takie zaszczytne funkcje i zająć się „kształtowaniem podstaw ideologicznych”, bo jeśli nie, to nie będzie już dłużej milczeć. Ale ja przecież okazałem skruchę, odpokutowałem!

Martine pomyślała o sterylnym, wysprzątanym mieszkaniu Jeanne Demaret, o miłości, której się wyrzekła, o dzieciach, których nie miała. Niewinni zapłacili najwięcej – Jeanne Demaret, Gilberte de Ridder, Dominic di Bartolo. Potrafiła zrozumieć, że Jeanne Demaret uznała swój błąd, kiedy się okazało, że sama dźwiga całe brzemie, podczas gdy winni znakomicie prosperują.

– I co zrobiłeś? – spytała.

– Zadzwoiłem do André. Powiedziała, że do niego też dzwoniła i że ją wyśmiał. Mnie też wyśmiał, ale obiecał, że mi pomoże. I skontaktował mnie z Devosem, który wszystko zaplanował. Miałem nadzieję, że Demaret się rozmyśli i żaden plan nie będzie potrzebny, ale w poniedziałek wieczorem znów zadzwoniła i powiedziała, że napisała list do prokuratora, który wyśle we wtorek, jeśli sam się do wszystkiego nie przyznam. Nie miałem wyboru. Nie mogła wysłać tego listu!

– Ty prowadziłeś samochód, a Devos stał na czatach?

– Tak.

– Nie wahałeś się? – spytała cicho. – Czym innym jest błąd popełniony we wczesnej młodości, a czym innym na zimno zaplanowane morderstwo.

Przeszył ją wzrokiem.

– Przecież powiedziałem, że za to zapłaciłem, i czułem, że mogę dużo wnieść do polityki. Tyle lat milczała i nagle akurat teraz naszły ją wyrzuty sumienia? Dlaczego? Zresztą była stara, niewiele jej już życia zostało.

Na dobrą sprawę tak jak w roku 1961 dał się zmanipulować przez Fontaine'a i Devosa, żeby chronić Theroux, ale jeszcze to do niego nie dotarło. Fontaine na pewno miał niezły ubaw, że po raz drugi wciągnął Nicolasa Forgerona w pułapkę.

Zwłaszcza że układ sił między nimi diametralnie się zmienił. Wtedy Nicolas Forgeron był przedwcześnie dojrzałym, ale dającym się formować nastolatkiem, któremu imponował syn lekarza obracającego się niegdyś wśród lokalnego establishmentu i twardy, doświadczony żołnierz. Teraz Nicolas Forgeron był politycznym decydem, dobrze znanym i podziwianym, Fontaine – szemranym Hitlerkiem, a Devos zwykłym szoferem bez statusu społecznego.

Tym razem Nicolas Forgeron zrobił to, co zaproponował mu Fontaine, ponieważ chciał to zrobić. Tylko nie wiedział, że w ten sposób osłania Theroux.

– A Dominic di Bartolo? – spytała Martine.

Nicolas spuścił głowę i w tym samym momencie udało jej się wsunąć węzeł na wystający szpic ekranu.

– Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie – odezwał się po dłuższym milczeniu. – Wszystko szlag trafił. Zawsze się zastanawiałem, czy Dominic coś wiedział. Bez przerwy przesiadywał u Jeanne Demaret, jakby łączyła ich wielka tajemnica. Coś mnie podkusiło, żeby powiedzieć o tym Devosowi, i Devos zaczął go śledzić. W sobotę, kiedy Dominic pojechał do ciebie, Devos czekał na niego w bramie jego domu, ale go zgubił, bo Dominic wyszedł przez podwórze. Zadzwonił do mnie i powiedział, żebym pojechał do Abbaye-Village i sam się nim zajął. Zostawił mi samochód z kluczykiem w stacyjce...

– Ale już było za późno, Dominic o wszystkim zdążył opowiedzieć. – Poczula lekką odrazę, że z łatwością potrafił się wytłumaczyć z zabójstwa Jeanne Demaret i że nawet nie próbował się wytłumaczyć z usiłowania zabójstwa Dominica. – A Gilberte de Ridder?

– To ta, która tu mieszkała? Nic o tym nie wiem, to pewnie robota Devosa, ale nie mam pojęcia, dlaczego to zrobił.

Martine wiedziała. Gilberte rozpoznała starego wiernego sługę mężczyzny, którego kiedyś uważała za męża. Dla Theroux stała się największym zagrożeniem, kiedy się okazało, że jest gotowa pójść na policję i opowiedzieć o morderstwie Jeanne Demaret.

Zawisła między nimi cisza. Ciężka jak ołów. Martine zaschło w gardle, wszystko już powiedziała, nie licząc pytań, których nie miała odwagi zadać. Ostrożnie manipulowała węzłem. Chyba zaczął puszczać.

– Na pewno jesteś ciekawa, co mam zamiar zrobić.

– Nie – odparła dziarsko niczym liderka skautów. – Udasz się ze mną do Pałacu Sprawiedliwości. Nie masz żadnych szans, żeby się z tego wywinąć. Mnóstwo policjantów z naszego wydziału wie, że jesteś podejrzany o zabójstwo Jeanne Demaret, twój telefon jest na podsłuchu, twój dom pod obserwacją. Poza tym mamy świadków, którzy widzieli cię w Aubermont, kiedy podpalaliście szkołę.

Chyba się zastanawiał.

– Sama powiedziałaś, że to uległo przedawnieniu, byłem bardzo młody, byłem dzieckiem. W sprawie Demaret nic na mnie nie macie, nie macie żadnych dowodów. Devos wiedział, ale nic już nie powie. André Fontaine też nic nie powie, bo uciszę go raz na zawsze.

Ja też wiem, pomyślała Martine.

Forgeron popatrzył na nią chłodno jak gracz, który postanowił postawić wszystko na jedną kartę.

– Zostałaś tylko ty.

Martine przeszył dreszcz. Pewnie tak wyglądał, kiedy docisnął pedał gazu, żeby zabić Jeanne Demaret.

– Opanuj się! – Usiłowała przywołać go do porządku, wydając z siebie piskliwy głos, podszyty strachem. – Nie możesz uśmiercać ludzi na prawo i lewo jak Charles Bronson, jesteś bez szans. Ktoś cię widział, kiedy tutaj jechałeś, ktoś cię zobaczy, kiedy pojedziesz do Fontaine’a, Dominic di Bartolo na pewno cię rozpozna.

Węzeł nareszcie puścił. Uwolniła rękę. Dźwignęła się na kolana i pochyliła ku niemu, jakby chciała go przekonać, tymczasem zależało jej na tym, żeby się znaleźć jak najbliżej pistoletu, który położył po swojej prawej stronie mniej więcej w odległości dwudziestu centymetrów.

– Nicolas, zrobiłeś dużo dobrego, ale jeśli będziesz dalej zabijał, zaprzepaścisz cały swój dotychczasowy dorobek. Jeśli teraz z tym skończysz, może jeszcze nie wszystko stracone.

Jego spojrzenie pozostało nieprzejednane. Popatrzyła mu w oczy, rzuciła się w lewo i zanim zdążył zareagować, chwyciła pistolet oburącz i celując w niego, wstała. Forgeron wciąż siedział na podłodze.

– Rozwiąż mi nogi – powiedziała.

– Po co? – Też się podniósł. – Przecież nie strzelisz.

– Jeśli będziesz chciał mi odebrać broń, strzelę.

Stał zdecydowanie za blisko. Skórzany pasek krępujący nogi ograniczał swobodę ruchów. Z pistoletem wymierzonym w Nicolasa, drobiąc jak gejsza, zaczęła się cofać w kierunku drzwi. Okropnie wolno. Żeby uwolnić nogi, musiałaby się schylić i trzymać broń w jednym ręku, a przy tak niewielkiej odległości, jaka ich dzieliła, bez trudu ją obezwładni.

Usłyszała syreny.

Była coraz bliżej drzwi i wtedy runął na nią z całym impetem, przewrócił na podłogę i chwycił za pistolet. Walczyła desperacko, żeby go jej nie odebrał, śmiertelnie przerażona, że któreś z nich odda przypadkowy strzał.

Poczuła nagły powiew powietrza i w pokoju jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaroilo się od ludzi, rozbrzmiały kroki i głosy.

Ulżyło jej i mimowolnie rozluźniła uścisk na rękojeści. Nicolas Forgeron błyskawicznie wyrwał jej pistolet i w pustym salonie gruchnął strzał. Odbijał się echem od ścian wespół z głośnym krzykiem. Czy to ona krzyczała? Nicolas Forgeron zwałił się na nią, przygważdżając do podłogi.

Kiedy ktoś go z niej zdjął, usiadła. Miała cały żakiet we krwi.

Julie błyskawicznie klękła przy niej.

– O Boże, jest ranna!

Ale to nie była jej krew, tylko Nicolasa. Leżał na plecach, biały na twarzy, krew wciąż wypływała z rany gdzieś na brzuchu.

Martine rozejrzała się. Był Christian de Jonge, Didier Marchal, policjanci w mundurach i ksiądz. Ksiądz?

– Co ksiądz tu robi? – spytała.

– Nazywam się Domitien Rolland, rozmawiałem z pani mężem, przyszedłem do Pałacu Sprawiedliwości, żeby się z panią spotkać, i wszyscy akurat wyjeżdżali na poszukiwanie pani.

– Ach, to ojciec znał Cécile i Marie-Félice?



– Tak. Teraz już wiem, co się z nimi stało i że między innymi ten mężczyzna ponosi winę za ich śmierć.

Popatrzył na Nicolasa Forgerona, który pobałdł jeszcze bardziej, ale oczy miał otwarte i wydawał się przytomny.

Martine zwróciła się do młodego policjanta, który usiłował zatamować krwawienie:

– Czy on przeżyje?

Odpowiedział jej zaciętym spojrzeniem.

– Karetka jest w drodze – powiedział Christian.

Ojciec Domitien ukląkł obok rannego.

– Ksiądz ją znał – ledwie słyszalnie wyszeptał Nicolas Forgeron. – Proszę mi wybaczyć.

– Bóg panu wybaczy.

– Nie wierzę w Boga, ale ktoś musi mi wybaczyć...

Martine widziała tysiące myśli i emocji malujących się na szczupłej twarzy Domitiena Rollanda – wspomnienia, gniew i smutek po tych, których brak odczuwał i właśnie się dowiedział, że nie żyją. Mocno zaciskając kciuki, obserwowała jego wewnętrzną walkę. Choć trwała sekundy, jej się zdawało, że upłynęły godziny. Nie miała pojęcia, dlaczego to dla niej takie ważne.

Z głęboką ulgą i dłońmi mokrymi od potu usłyszała w końcu ojca Domitiena:

– Wybaczam ci.

Oczy Nicolasa Forgerona zapadły się, twarz się rozluźniła i Martine zrozumiała, że po raz pierwszy od sierpniowej nocy 1961 roku zaznał spokoju.

# ROZDZIAŁ 17

Wtorek 12 kwietnia 1994

Jacques Pelgrims nosił garnitur w kredowe prążki jak zbroję. Miał czarujący uśmiech i nieprzeniknione mahoniowobrazowe oczy, które absorbowały światło, nie oddając blasku. Wyglądał zgodnie z wyobrazeniami Martine, kiedy rozmawiała z nim przez telefon. Dyplomata od dziesiątków lat mający do czynienia z kryzysami w kraju i na świecie, zawsze w nieskazitelnej marynarce. Jediną oznaką słabości była zaczeska maskująca początki łysiny na ciemieniu.

Zadzwoił tak jak wczoraj, ledwie Martine weszła do biura. Nie potrafiła się opanować i palnęła mu tyradę o wszystkim, co gnije w państwie belgijskim.

– Sądzę, że powinniśmy się spotkać – powiedział, gdy udało mu się dojść do słowa. – Jeśli to pani odpowiada, będę za trzy godziny.

Nie miała nic przeciwko temu.

To był gorączkowy, stresujący dzień. Przy śniadaniu wysłuchiwała w wiadomościach radiowych wypowiedzi ministra spraw zagranicznych na temat „chaosu społecznego” w Rwandzie i jego zapewnień, że Belgia nie popełniła żadnego błędu i nie „opuści” Afryki.

– Zaczynamy się wycofywać z Rwandy – stwierdził Thomas, który poprzedniego wieczoru rozmawiał z siostrą Christine pracującą w ministerstwie.

– Przecież tam umierają ludzie! – wybuchnęła Martine. – Umierają tysiącami i mamy ich tak po prostu zostawić?!

Nagle się rozplakała, nie bardzo wiedząc czemu.

Thomas przytulił ją. Od wczesnego rana urywał się telefon, dopóki nie wyłączył go z gniazdka. W „Gazette de Villette” były największe i najczarniejsze nagłówki, jakie Martine kiedykolwiek tam widziała. Pierwsi reporterzy zjawili się w domu Gilberte w tym samym czasie co karetka. Przypuszczalnie słuchali policyjnego radia albo dostali cynk. Nie dało się ukryć, że jeden z czołowych polityków kraju jest umierający.

Martine zdziwiła wiedza dziennikarzy. Ojciec Domitien rozmawiał z nimi, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, na pierwszej stronie uśmiechały się do czytelników niewinne buzie Marie-Félice i Christophe'a Naigiziki.

„Gazette de Villette” skontaktowała się również z Michele Pirottem, który szczerze i bez zahamowań opowiedział o tym, co się wydarzyło w sierpniu 1961 roku, i o zмовie milczenia. Mało tego, fotoreporterzy zrobili mu zdjęcie na wzgórzu, gdzie kiedyś stała szkoła. Bardzo korzystnie wyszedł: poważny mężczyzna z zatroskaną miną. Spryciarz, przejął inicjatywę, pomyślała Martine, Długi Jacques i tak jest na niego wściekły. Ciekawe, jak do niego dotarli? Wszystko stało się jasne, kiedy zobaczyła, kto przeprowadził wywiad – szef działu informacji Jean-Luc Pirot. Kilka razy go spotkała. Był zapewne tym młodszym bratem, z którym tamtego feralnego wieczoru Michel wolałby zostać w domu i się pobawić.

Christian i Julie nalegali, żeby Martine odwiedzić z willi Gilberte do szpitala. Nie sprzeciwiała się, bo po uderzeniu w głowę i silnym stresie czuła się fatalnie. Kiedy w zakrwawionym żakiecie szła chwiejnym krokiem do karetki i reporterzy radiowi i telewizyjni zaczęli wykrzykiwać do niej jakieś pytania, nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

W szpitalu spotkała żonę Nicolasa Forgerona, Elisabeth Sardou. Do tej pory nie mogła zapomnieć widoku jej suchych ciemnych oczu i skupionego wyrazu twarzy. O tym, że jej świat się zawalił, świadczyła jedynie góra petów w popielniczce i opakowania po papierosach marki Gauloises na podłodze.

Martine zdobyła się na wysiłek, żeby z nią porozmawiać, ale Elisabeth Sardou nie miała do niej żadnych pytań, powiedziała, że nie teraz i że domyślała się, że coś jest nie tak. Wybierała się do Francji, do rodziców mieszkających pod Albi, i na razie nie planowała powrotu.

– Musi być pogrzeb, ale nie wiem gdzie, nie wiem kiedy i nie wiem jak. Nie spodziewam się pocztów sztandarowych ani przemówień ku czci – dodała z grymasem na twarzy.

Martine zobaczyła się z Dominikiem di Bartolo. Błady i osłabiony siedział na szpitalnym łóżku. Powiedział, że w prowadzącym samochód, który chciał go przejechać, rozpoznał Nicolasa Forgerona.

Teraz, we wtorek rano, Martine zaczęła pisać raport do biura prokuratora. Morderstwo Jeanne Demaret zostało wyjaśnione, Gilberte de Ridder również, ale sprawców nie można było postawić przed sądem, ponieważ nie żyli.

Miała cień nadziei, że uda się oskarżyć André Fontaine'a o podżeganie do zabójstwa, chociaż nie było na to większych szans, nawet gdyby dała z siebie wszystko. To, co usłyszała od Nicolasa Forgerona w domu Gilberte, to za mało. Może billingi z Belgacomu pozwolą ustalić sieć powiązań i rolę Fontaine'a.

O trzeciej miała konferencję prasową razem z Christianem, ale jeszcze nie wiedziała, co powie.

Chodziło o Jeana-Bastiena Theroux. Była pewna, że to on stał za masakrą w Aubermont i morderstwem Jeanne Demaret, nie miała jednak żadnych dowodów. Nie licząc jednego zdjęcia i garści wniosków.

I tego, czego się dowie od Jacques'a Pelgrimsa.

Pelgrims był osobą wpływową, co zrozumiała, kiedy się okazało, że na ich spotkanie zorganizował najpiękniejsze pomieszczenie w Pałacu Sprawiedliwości: mały pokój bez okien sąsiadujący z dawną salą audiencyjną biskupów, z malowidłami ściennymi i połączonym sufitem kasetonowym z XVI wieku.

Mieli rozmawiać w cztery oczy.

– Bez kancelisty – powiedział przez telefon. – Chyba się pani domyśla, że będzie to rozmowa *off the record*.

Już po tych trzech słowach zorientowała się, że Jacques Pelgrims mówi po angielsku z perfekcyjnym oksfordzkim akcentem.

Czekał na nią pod połączonym sufitem. Na wypolerowanym stole, na tacy, była kawa w srebrnym dzbanku, dwie filiżanki z delikatnej porcelany i talerzyk ciemnych czekoladek.

– Jak się pani miewa, madame Poirot? – zapytał, ujmując z gracją trufkę czekoladową kciukiem i palcem wskazującym. – Podejrzewam, że miała pani wczoraj wyczerpujące popołudnie. Przeglądałem poranne gazety i muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem ogromu informacji, do jakich udało się dotrzeć naszym czujnym dziennikarzom.

Martine przyglądała mu się. Uderzyło ją jego lekkie podobieństwo do przedostatniego biskupa Villette, kardynała Massarta, którego portret wisiał w gabinecie biskupów.

– Nie ma tam jednak żadnej wzmianki o pułkowniku Theroux, Jeanie-Bastienie Theroux – powiedziała Martine.

Jacques Pelgrims uniósł brwi.

– O pułkowniku Theroux...? Ach, chodzi pani o naszego byłego ministra obrony. A dlaczego, jeśli wolno spytać, jego nazwisko powinno się pojawić w tym smutnym kontekście?

Martine położyła na lśniącej blacie fotografię Gilberte, Theroux i Devosa. Pelgrims milczał. Opowiedziała mu o wszystkim, od początku do końca, zgodnie ze swoją wiedzą i rozeznaniami.

Słuchając, Jacques Pelgrims starannie wybrał następną czekoladkę. Pozycja jego ciała świadczyła o absolutnym skupieniu.

– Widzi pani – odezwał się, kiedy skończyła – znałem Philippe’a de Ridder, był dla mnie kimś w rodzaju mentora. Kiedy objąłem pierwszą posadę zagraniczną w Ankarze, on był tam wówczas ambasadorem i kilka razy spotkałem jego córkę. Dlatego czuję się w pewnym sensie osobiście zaangażowany w tę przykrą sprawę. Mogę stwierdzić, że pani wnioski są całkowicie słuszne. Może to panią zdziwi i nieco oburzy, ale to, co usłyszałem, jest mi doskonale znane. – Podniósł filiżankę kawy i popatrzył życzliwie na Martine. – Otóż Philippe de Ridder, dobrze służący państwu, krótko przed śmiercią złożył w ministerstwie pisemny raport o tych wydarzeniach. Naturalnie dokument natychmiast został uznany za ściśle tajny i trafił do archiwum. Ale nie zapomnieliśmy o nim. Jest oznakowany małą flagą ostrzegawczą, czyli w razie potrzeby możemy go wykorzystać. Na przykład teraz, kiedy biedna Gilberte została zamordowana.

Wsunął do ust fioletową pralinkę. Martine wpatrywała się w niego oniemiała.

– A co jest w tym raporcie? – zapytała, kiedy była pewna, że głos jej nie zawiedzie.

– Och, niemal wszystko pani już wie. Gilberte de Ridder przypadkiem usłyszała relację, jaką Devos zdawał Theroux z pomyślnie wykonanego zadania. Klasyczna scena. Kiedy Theroux i Devos weszli do pokoju, Gilberte, nękana bezsennością, siedziała w wysokim fotelu zwróconym do okna. Potem przeszukała szuflady biurka swojego męża i znalazła list młodej kobiety z Rwandy. Była to naturalnie niewiarygodna nieostrożność ze strony Theroux, że go zachował. Zamknięta szuflada nigdy nie powstrzyma ciekawskiej żony. Popęłnił błąd. Gilberte wyprowadziła się do rodziców, o wszystkim im powiedziała, potem przeżyła załamanie nerwowe i została wysłana do kliniki w Szwajcarii. Biedactwo. Była zbyt wrażliwa. Oczywiście Philippe de Ridder wpadł we wściekłość. Ponieważ myślał przede wszystkim o dobru córki, nie chciał skandalu. Wyplacił Theroux, gwoli ścisłości zrobiła to jego małżonka, jednorazową kwotę, pod warunkiem że będzie się trzymał z daleka od Gilberte i nigdy nie rościł sobie żadnych praw do jej

majątku. Państwo de Ridder udzielili również wsparcia finansowego młodemu Fontaine'owi, żeby mógł podjąć studia medyczne we Francji. Nie chcieli, żeby włączył się po Villette i opowiadał niestworzone historie, przysparzając nikomu niepotrzebnych kłopotów.

– Ale dlaczego Philippe de Ridder złożył raport w ministerstwie?

– Moja droga – odparł Pelgrims pobłażliwym tonem – mamy do czynienia z żądnym zaszczytów młodą wojskowym o wyraźnych ambicjach politycznych, który jest odpowiedzialny za masowe morderstwo na belgijskiej ziemi. Proszę pomyśleć o ryzyku szantażu. Dwie osoby, Fontaine i Devos, znały jego rolę.

– Ale nikt nie pomyślał o tym, że za masowe morderstwo powinien stanąć przed sądem!

Pelgrims wzruszył ramionami w znakomicie uszytej marynarce i znów skupił się na czekoladkach. Nie widziała wyrazu jego oczu. Popatrzyła na malowidło ściennie za jego plecami: iluzjonistyczny obraz okna łukowego z widokiem na Place de la Cathedrale. Siedziała w tym miejscu, gdzie linie perspektywiczne zbiegały się pod takim kątem, że złudzenie trójwymiarowości było doskonałe: gdyby wyjrzała przez namalowane okno, poczułaby zapachy i usłyszała gwar na namalowanym placu.

– Musi pani zrozumieć – odezwał się po dłuższej chwili – że raport pojawił się dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy wywlekanie tej sprawy wydawało się nieco przebrzmiałe i zbyteczne.

– Nie, nie rozumiem. Przecież Theroux był ministrem obrony, nawet dwukrotnie, i flaga ostrzegawcza się nie podniosła?

– Podniosła, ale szybko opadła. Ryzyko szantażu uznano za nikłe, a sytuacja była taka, że Theroux mógł się przysłużyć rządowi.

– A teraz?

Jacques Pelgrims znów zamilkł i oparł brodę na dłoni. Za nim, nad namalowanym placem, drgało ciepłe letnie powietrze.

– Madame Poirot, pozostaje pani w przekonaniu, że Theroux stoi za trzema przestępstwami z użyciem przemocy fizycznej, których wyjaśnieniem pani się zajmowała – odezwał się po dłuższej chwili, starannie dobierając słowa. – Nie zadała pani sobie jednak pytania, co uzasadniałoby tak drastyczną reakcję na groźbę demaskacji. Tragicznie zmarły monsieur Forgeron, którego los godny jest ubolewania, był wyjątkowo obiecującym politykiem,

gotowym do poczynienia desperackich kroków, ponieważ grał o najwyższą stawkę. Mógłby zająć bardzo wysoko w naszej rodzimej polityce. A Theroux?

Pelgrims popatrzył na Martine jak nauczyciel, który liczy na odpowiedź średnio zdolnej uczennicy. Nie wiedziała, do czego zmierza, i bezradnie pokręciła głową.

– Ostatnio jego nazwisko często było wymieniane – odpowiedział.

– NATO!

– Tak. Jak pani wie, Pakt Północnoatlantycki wkrótce musi powołać nowego sekretarza generalnego, wcześniej niż zwykle, ponieważ, między nami mówiąc, osoba piastująca ten urząd jest bardzo chora.

– I Theroux świetnie się nadaje? – spytała zgodnie z oczekiwaniami rozmówcy.

Pelgrims lekko się skrzywił.

– W jego ocenie byłby doskonałym kandydatem. Naturalnie gdyby nie obarczono go odpowiedzialnością za tragiczne wydarzenia w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym.

– Mówi pan, że w jego mniemaniu byłby dobrym kandydatem, a co na to rząd?

– Nie wykluczam, że nie do końca podziela tę opinię. Ale Theroux ma dobre kontakty po drugiej stronie Atlantyku, bardzo dobre kontakty, starannie je pielęgnował, co zawsze liczyło mu się na plus. I, jak pani wie, w NATO i o NATO decydują jego transatlantyccy przyjaciele.

W końcu Martine zrozumiała.

– Nasz rząd obawia się, że Waszyngton narzuci nam belgijskiego szefa, którego nie chcemy? Dlatego dobrze mieć pod ręką raport o Theroux? I kto tu kogo szantażuje?

Pelgrims lekko się uśmiechnął.

– Theroux nie wie o istnieniu raportu, ale może już czas, żeby go o tym poinformować i uświadomić mu, że jego amerykańscy przyjaciele najprawdopodobniej uznałyby te rewelacje za nadzwyczaj... ciekawe.

– Myśli pan, że dzięki temu szybko straci zainteresowanie posadą szefa NATO?

Pelgrims spojrział na nią z nieodgadzioną miną.

Czuła zimny pot na dłoniach. Wytarła je o spodnie pod blatem stołu. Na ramionach marynarki w kredowe prążki dostrzegła kilka płatków łupieżu i próbowała się na nich skoncentrować. To tylko stary człowiek z łupieżem na ramionach i śmieszna zaczeska, pomyślała i głęboko odetchnęła.

– Wszystko jest ogromnie interesujące, ale tak się składa, że prowadzę śledztwo w sprawie przestępstwa, które popełniono w tym tygodniu, i uważam pułkownika Theroux za podejrzanego w tej konkretnej sprawie. Tym się zajmuję i zamierzam kontynuować to, co zaczęłam.

– Sądzę, że bardzo trudno będzie pani znaleźć jakiegokolwiek dowody winy Theroux w wydarzeniach z ostatnich dni, zwłaszcza że bezpośredni sprawcy nie żyją. Może pani nie wie, ale Theroux cały tydzień spędził w Waszyngtonie. Nie twierdzę, że się pani myli w swoich podejrzeniach, mogło jednak być i tak, że Devos jako dobry sługa działał z własnej inicjatywy, ponieważ myślał, że tego by sobie życzył jego szef. I jak pani udowodni, że było inaczej? Nie ma już kogo przesłuchać poza Theroux, a on, proszę mi wierzyć, na pewno się nie złamie i do niczego się nie przyzna.

– Billingi – mruknęła Martine.

– To żaden dowód – zareplikował Pelgrims. – Nawet jeśli pułkownik dzwonił do Devosa z Waszyngtonu, mogli rozmawiać o pogodzie, o samochodach, o ogrodzie, o wszystkim.

Z ciężkim sercem musiała przyznać mu rację.

– Naturalnie nie prosimy o umorzenie śledztwa, to byłoby niezgodne z konstytucją, ale nie zaszkodziłaby odrobina dyskrecji, dopóki nie dojdzie pani do wniosku, że dalsze działania są pozbawione sensu. Mamy dosyć skandali politycznych, które stawiają nasz kraj w niekorzystnym świetle. Tak czy owak, rozwiązała pani tę sprawę, winni zostali wykryci, mimo że na nieszczęście nie żyją i nie mogą stanąć przed sądem.

– Jean-Bastien Theroux skazał na śmierć w płomieniach rodzoną córkę, ożenił się z dwiema kobietami i obie kazał zamordować, a pan mi mówi, że nie poniesie za to kary?!

– Nigdy nie zostanie sekretarzem generalnym NATO. – Pelgrims subtelnie włożył do ust ostatnią czekoladkę. – Może mi pani wierzyć, że to dla niego najsurowsza kara. – Lekko przekrzywił głowę i popatrzył na Martine. – Prawdopodobnie to ja skontaktuję się z Theroux, żeby go poinformować o raporcie de Riddera. Prawdopodobnie dojdzie do tej rozmowy w Waszyngtonie, ponieważ nieprędko wróci do Villette. Może chciałaby mi pani towarzyszyć? To dobry powód, żeby go zapytać o zbrodnicze dokonania jego szofera i przy okazji mu wygarnąć, co pani leży na sercu.



– Dziękuję za propozycję. Zanim podejmę decyzję, muszę się zastanowić nad dalszym przebiegiem śledztwa. Mam pytanie: Dlaczego pan tutaj przyszedł, żeby mi to wszystko powiedzieć?

Jacques Pelgrims spojrział na nią z ojcowską miną.

– Och, rano, kiedy rozmawialiśmy, domyśliłem się, że sporo pani już odkryła, i uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli podzielimy się z panią naszą wiedzą, niż gdyby miała pani tygodniami szukać dowodów na to, co się wydarzyło w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym. Wiedzieliśmy, że się pani nie podda. Proszę to potraktować jako komplement. – Pelgrims wstał. – Teraz muszę już niestety panią pożegnać, madame Poirot. Spotkanie z panią było prawdziwą przyjemnością i mam nadzieję, że znów się zobaczymy.

Wyciągnął rękę. Miał mocny uścisk i chłodną suchą dłoń. Jak wąż, pomyślała Martine i przeszył ją dreszcz.

– Ponieważ pracuje pan w kancelarii premiera, może pan wie, czy wycofamy się z Rwandy?

Pelgrims podsunął bladoniebieski mankiet koszuli i spojrział na zegarek.

– Za kilka godzin minister spraw zagranicznych spotka się w Bonn z sekretarzem generalnym ONZ. Zamierza podkreślić, że warunki stacjonowania jednostek ONZ w Rwandzie przestały obowiązywać z chwilą złamania postanowień układu pokojowego i zwiększenie liczebności oddziałów i silniejszy mandat nie wydają się realne. Dlatego naszym zdaniem dalszy udział w misji jest niewskazany i poważnie rozważamy możliwość wycofania naszych żołnierzy, kiedy udzielą pomocy w ewakuacji obywateli belgijskich.

– Czyli się wycofujemy – powiedziała Martine. – Tam dokonuje się ludobójstwo, a my się wycofujemy.

– Nie jestem politykiem, pani też nie, ale oboje wiemy, że politycy muszą się liczyć z opinią publiczną. Czy w jej ocenie warto poświęcać życie belgijskich żołnierzy w zamian za ewentualne ocalenie garstki Afrykanów? Może czytała pani opublikowany kilka dni temu artykuł wstępny o Rwandzie w „La Dernière Heure”, zatytułowany, jeśli dobrze pamiętam, „Niech sami sobie poradzą!”?

Ostrożnie zamknął drzwi do połączanego pokoju bez okien. W dawnej sali audiencyjnej biskupów patrzył na nich wyniośle z portretu, odziany w purpurę, kardynał Massart, znany w swoim czasie jako Machiavelli z Villette.

– Podobno trochę jest do mnie podobny, prawda? – powiedział Pelgrims i zniknął w korytarzu.

Martine niespiesznie przemierzyła pasaż łączący renesansowy pałac, jego połączone sufity i marmurowe schody, z dobudowanym w latach siedemdziesiątych aneksem, jego igłowanymi wykładzinami i płytami gipsowymi na suficie. Była pora lunchu, wszędzie cicho i pusto.

Stała przy oknie i patrzyła na Rue des Chanoines. Szyld przed À la Justice Aveugle kołysał się na wietrze. Gdyby otworzyła okno, usłyszałyby, jak skrzypi. Kilka uczennic z pastelowymi plecakami szło pod rękę, twarz przy twarzy, jakby dzieliły się jakąś tajemnicą. Jedna miała jasne warkocze, druga kręcone ciemnobrązowe włosy i ciemną skórę. Pomyślała o Marie-Félice Naigiziki, która nigdy nie założy szkolnego plecaka i nie będzie beztrząsco chichotać na ulicy w Vilette.

W głębi serca wiedziała, że Jacques Pelgrims ma rację. Nigdy nie udowodni, że Jean-Bastien Theroux stoi za morderstwem Jeanne Demaret i Gilberte de Ridder, a dopóki nie może go o to oskarżyć, nie ma podstaw do ujawnienia jego roli w roku 1961.

Ale bardzo by tego chciała. Chciała, żeby Theroux stanął pod pręgierzem opinii publicznej. Tylko tyle mogła zrobić dla Cécile, Marie-Félice, Jeanne i Gilberte. Tylko tyle mogła zrobić dla swojej mamy Renée i wszystkich kobiet, upodlonych, okaleczonych i zniszczonych przez pozbawionych skrupułów, władczych mężczyzn.

Czasami żałowała, że nie jest dziennikarką. Wtedy miałyby większą swobodę. Ale nigdy nie poznałyby roli Theroux w masakrze w Aubermonet i Jacques Pelgrims nigdy nie ujawniłby tajnego raportu Philippe'a de Ridder.

Cóż, nie ma tego złego. Valerie kiedyś powiedziała, że chętnie wykorzystuje informacje pochodzące ze źródeł, na które nie może się powoływać, ale jeśli wie, co się naprawdę stało, zawsze znajdą się inni świadkowie i stosowne dokumenty,

Na pewno są ludzie, którzy pamiętają, że Gilberte i Theroux żyli jak małżeństwo. Ich ślub na pewno jest odnotowany w jakichś rejestrach. Ktoś, kto zacznie badać losy Gilberte, musi się natknąć na Jeana-Bastiena Theroux i zadać sobie pytanie, dlaczego Gilberte rozstała się z nim w sierpniu 1961 roku.

Zadzwoił telefon. Podniosła słuchawkę i usłyszała ciemny głos Valerie.

– Martine, co się z tobą dzieje? Dzwonię od rana!

– Biorąc pod uwagę różne okoliczności, mam się nie najgorzej. Ale chyba nie dzwonisz tylko dlatego, żeby spytać o moje samopoczucie?

– O mojej najlepszej przyjaciółce trąbią wszystkie media i mam nadzieję, że usłyszę od ciebie coś super ekstra na wyłączność.

Martine zamilkła. Miała wrażenie, że telefon od Valerie, o której właśnie myślała, to jakiś znak. I podjęła decyzję. Wóz albo przewóz.

– Wpadnij do nas dzisiaj na kolację. Chyba będę miała dla ciebie prawdziwą bombę.